Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się

NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1 zł 25 gr — 12 stron | Warszawa, 21 grudnia 1952 r. | Nr 51/52 (143/4) Rok III

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Niepodległość wszystkich narodów — warunkiem pokoju

Wśród pytań, jakie Światowa Rada Pokoju postawiła naszemu Kongresowi, znajduje się również pytanie: jak zapewnić niepodległość narodową i zagwarantować bezpieczeństwo wszystkim narodom? Tym samym zagadnienie niepodległości narodowej stanęło przed nami, tutaj zebranymi, w całej swej rozciągłości. Jest to zagadnienie tradycyjne niejako dla mojego narodu, zagadnienie głęboko demokratyczne, które przez cały wiek XIX było dla nas zagadnieniem życia i śmierci. Było ono dla nas również zagadnieniem życia i śmierci podczas ostatniej wojny, gdy rozhukane siły faszyzmu zagroziły mojej ojczyźnie już nie tylko utratą niepodległości, ale skierowały się przeciwko biologicznemu istnieniu mojego narodu. Wieloletnie, półtorawiekowe polskie doświadczenie poucza nas, że nie można osiągnąć niepodległości w pełnym tego słowa znaczeniu, nie wiążąc tego zagadnienia z postępowymi prądami istniejącymi na całym świecie. Problemat niepodległości narodowej wysuwa się teraz na czoło zagadnień międzynarodowych. Przede wszystkim dotyczy on ludów kolonialnych szczególnie wyzyskiwanych. Dużo się mówi o sytuacji w Afryce. W ogólnym obrazie walki o niepodległość narodów Afryka odgrywa rolę specjalną. Cały ten olbrzymi kontynent przez długie wieki był przedmiotem eksploatacji państw kolonialnych. Ale Afryka budzi się i pragnie prowadzić walkę z obcym najeźdźcą, tak długo żywiącym się jej krwią. Mimo woli oczy wszystkich patriotów tego wielkiego kontynentu kierują się w naszą stronę, w stronę Światowej Rady Pokoju, w stronę naszego Kongresu, który w imię pokoju wypowiada walkę organizatorom trzeciej wojny, t.zn. tym samym czynnikom zaborczym, które są przyczyną ich upośledzenia.

Wybrałem przykład Afryki, ale narody walczące o niepodległość, o jedność, o uwolnienie się z pęt kolonialnego wyzysku istnieją na całym świecie. O to samo walczy nie tylko Korea, o to samo walczy Vietnam, o to samo walczą narody Bliskiego Wschodu. Powinniśmy sobie zdawać sprawę z wielkiej odpowiedzialności, jaka ciąży na nas, obrońcach pokoju. Musimy odpowiedzieć na skierowane do nas pytanie wszystkich tych walczących ludzi.

Ale niepodległość znaczy tak wiele nie tylko dla narodów, które już od wieków były jej pozbawiane przez najeźdźców. Przychodzi mi na myśl wspaniały poemat Pablo Nerudy „Canto General". Dla mnie najważniejszą stroną poematu, najbardziej uderzającym w nim obrazem jest obraz Ameryki Południowej. U nas w Europie te sprawy mało są znane — ale cóż może być piękniejszego niż południowo-amerykańskie walki o wyzwolenie spod jarzma Hiszpanii? A czym się stała dzisiejsza Ameryka Łacińska? Terenem najwyższego wyzysku przez koncerny północno - amerykańskie, takie jak Standard Oil Company, Anaconda Coper Mining Co, czy United Fruit Co. Z poematu Nerudy wyłania się, na przykład, piękna postać José Manuel Balmaceda, który był prezydentem Chile pod koniec zeszłego wieku. Człowiek ten znalazłszy się u władzy zamyślał cofnąć koncesje wydane obcemu kapitałowi na słynne kopalnie chilijskiej saletry i dochód z nich obrócić na podniesienie ogólnej kultury zacofanej ojczyzny. Zamach zorganizowany przez wrogów narodu obalił Balmacedę i wcisnął mu do ręki rewolwer samobójcy — koncesje zaś pozostały przy miliarderach City i Wall Street. Czy sytuację krajów Ameryki Południowej i Środkowej — owych „republik bananowych", jak je nazywają businessmeni Nowego Jorku — można uważać za sytuację krajów całkowicie niepodległych?

Jasne jest, że te narody i kraje mają tego samego wroga, co i pokój: magnatów zbrojeniowych, organizatorów wojny. W pogoni za zyskami wyczerpują oni wszystkie środki eksploatacji ludów i grożą potworną wojną światu, potrząsają bombą atomową i wodorową, zrzucają bomby napalmowe i bakteriologiczne.

Państwa wyzyskiwane przez podżegaczy wojennych także oczekują od nas słowa. Musimy im powiedzieć: walka o pokój — to walka o niepodległość. Samo przygotowanie wojny zawiera jednocześnie w sobie groźbę dla niepodległości narodów.

Zastanówmy się na przykład nad powszechnie znanym faktem zakładania amerykańskich baz lotniczych w poszczególnych krajach. Bazy te są zakładane w mniejszej czy większej odległości od ich centrum dyspozycyjnego, ale bez względu na to czy znajdują się one w Iranie, w Iraku, w Izraelu, w Afganistanie, w Egipcie, w Norwegii, w Islandii, w Afryce Północnej, czy we Włoszech lub Danii — cel jest ten sam: przygotowanie nowej wojny agresywnej.

Jest rzeczą charakterystyczną, że są one zwrócone przede wszystkim przeciwko niepodległości tych krajów, w których się znajdują. Budowa strategicznych dróg i zakładanie baz lotniczych grozi bezpośrednio w niepodległość polityczną i ekonomiczną krajów, w których te przygotowania się rozwijają. Walka zatem z przygotowaniami wojennymi, to znaczy walka o pokój — jest jednocześnie obroną niepodległości.

Istnieją jeszcze oprócz tego inne państwa, które cieszą się opinią „niepodległych", ba, uchodzą jeszcze za mocarstwa. Ale tylko uchodzą... Czują się one zagrożone w swoich interesach życiowych, ekonomicznych i politycznych przez swych mocniejszych partnerów.

Cóż możemy powiedzieć tym ludom uciemiężonym, krajom wyzyskiwanym, państwom zagrożonym? Odpowiedź nasza jest jasna i jednoznaczna: jednym z najważniejszych warunków zachowania i utrwalenia pokoju jest zachowanie i utrwalenie niepodległości wszystkich narodów świata. Naszym zdaniem, każdy naród musi mieć zapewnioną integralność swojego terytorium i możność niezawisłego rozstrzygania swoich wewnętrznych zagadnień politycznych, społecznych, ekonomicznych i kulturalnych. Musi jednocześnie mieć możność wymiany z innymi niepodległymi krajami wszelkich dóbr kulturalnych i gospodarczych na zasadzie całkowitego równouprawnienia.

Wydaje się nam, że najbliższą drogą do urzeczywistnienia tych zasad jest zawarcie tak przez wszystkich pożądanego paktu pokoju między pięcioma wielkimi mocarstwami. Pakt taki może zapewnić światu długie lata pokoju; zapewni on także możność pokojowego, systematycznego rozwoju poszczególnych narodów i pokojowe uregulowanie wszelkich kwestii spornych.

Że najtrudniejsze problemy dadzą się rozwiązać przy obopólnej dobrej woli — najlepszym dowodem są obecne stosunki między Polską Rzeczpospolitą Ludową a Niemiecką Republiką Demokratyczną. Stosunki polsko - niemieckie, nie potrzebuję chyba tego przypominać, układały się tragicznie w ciągu długich wieków historii Europy. Były one zarzewiem niejednej wojny, przyprawiały oba narody o straty moralne i materialne. Przezwyciężenie wiekowych zadrażnień między naszymi narodami, zwycięstwo ich dobrej woli — jest jednym z największych pokojowych osiągnięć po ostatniej wojnie. Naród polski gorąco pragnie, aby przyjazne stosunki, łączące Polskę i NRD, rozwinęły się w stosunki między Polską a całymi Niemcami, Niemcami demokratycznymi, zjednoczonymi i pokojowymi.

My, Polacy, zapewniamy wszystkich Niemców dobrej woli, wszystkich bojowników o pokój w Niemczech zachodnich, że ich dążenie do zbudowania Niemiec zjednoczonych i demokratycznych całkowicie odpowiada interesom Polski, ponieważ zawiera w sobie niezbędny warunek pokoju w Europie. Z tego względu z wielkim zadowoleniem przyjęliśmy wyniki konferencji dla pokojowego rozwiązania problemu niemieckiego, która odbyła się ostatnio w Berlinie, a która wypowiedziała się przeciwko układom z Bonn i Paryża. Szczególnie gorąco przyjęliśmy ten wielki akt historyczny, jakim stała się wspólna deklaracja Niemców wschodnich i zachodnich. Konferencja berlińska ma jeszcze inne bardzo ważne znaczenie — wykazała ona całemu światu, że przy dobrej woli można znaleźć wspólne rozwiązania wśród ludzi różniących się między sobą poglądami, wśród ludzi, należących do najrozmaitszych ugrupowań. Witamy również z całego serca przemówienie kanclerza Wirtha, które wykazało jak słuszna była polityka zbliżenia między Niemcami a Związkiem Radzieckim, zapoczątkowana przez niego, lecz później zdławiona przez wrogów pokoju. Witamy serdecznie to przemówienie, przede wszystkim dlatego, że opierając się na uchwałach poczdamskich, wskazuje ono narodowi niemieckiemu właściwą drogę do pokoju, niezawisłości i wielkości.

Naród polski — wolny, niepodległy, zjednoczony w szerokim froncie narodowym, obejmującym wszystkie partie polityczne, organizacje masowe i wszystkich ludzi dobrej woli — w pełni popiera tę politykę przyjaźni z narodem niemieckim w interesie obu krajów. W szczerym pragnieniu utrwalenia dzieła pokoju — naród polski wyciąga dłoń dla wspólnej walki o pokrzyżowanie zbrodniczych planów podżegaczy do nowej wojny.

Jarosław Iwaszkiewicz

—— W numerze: ——

FRYDERYK JOLIOT-CURIE

Nauka w służbie pokoju

Żyjemy w świecie, który nie zdołał jeszcze przyjść całkowicie do siebie po straszliwych wstrząsach drugiej wojny światowej. A jednak już teraz sroży się wojna w trzech punktach naszej planety. Rozwija się przerażający wyścig zbrojeń, rujnując gospodarkę, hamując postęp ludzkości, zwiększając groźbę wojny. Pod pretekstem obrony bezpieczeństwa zawierane są pakty, traktaty i układy które przyczyniają się jedynie do wzmożenia niebezpieczeństwa pożogi wojennej. Pod tym samym pretekstem wzmaga się zagrożenie niezawisłości narodowej i swobód demokratycznych. Trwa zimna wojna, prowadzona przy pomocy oszczerstw i kłamstw, a niektóre koła, tworząc atmosferę krucjaty, usiłują sfanatyzować ludność i przygotować ją, w imię jakiejś rzekomej misji nakazanej przez Boga, do najokropniejszej rzezi.

Oto, ujmując rzecz w kilku słowach, sytuacja, w jakiej znaleźliśmy się w połowie tego stulecia, które było już widownią dwóch straszliwych konfliktów światowych i czterech zlokalizowanych wojen. Mieliśmy 17 milionów zabitych w latach 1914 — 1918 oraz 50 milionów mężczyzn, kobiet i dzieci zabitych w czasie ostatniej wojny światowej, przy czym zniszczenia materialne, jakie wojna ta spowodowała, sięgają tysiąca miliardów dolarów...

Dodajmy, że od tego czasu nauka poszła naprzód. I jeśli zachowujemy niezachwianą wiarę w zbawienne, nieocenione usługi, jakie może ona oddać ludzkości, to z drugiej strony wiemy, że daje ona zbrodniarzom rozpętującym wojnę coraz bardziej niszczycielską broń. Pozwala to nam wyobrazić sobie, jak wyglądałby bilans trzeciej wojny światowej...

...Aspekt odprężenia międzynarodowego, który musimy uwzględnić to sprawa stosunków kulturalnych. Każdy wyłom uczyniony w murze, jaki wznosi się na drodze rozpowszechniania dzieł naukowych, literackich i artystycznych lub swobodnego kontaktowania się ludzi, jest poważnym wkładem do sprawy utrzymania pokoju i wzajemnego zrozumienia między ludźmi.

Światowa Rada Pokoju starała się stworzyć warunki odprężenia międzynarodowego, popierając inicjatywę spotkań między uczonymi, lekarzami, architektami itd. oraz organizując w skali międzynarodowej obchody jubileuszów wielkich osobistości, których dziełami szczyci się ludzkość.

Chciałbym zwrócić Wam uwagę na jeden szczególnie drogi memu sercu aspekt wymiany kulturalnej. Nauka jest niewątpliwie tą dziedziną aktywności ludzkiej, która dostarcza najbardziej uderzających przykładów olbrzymich korzyści, jakie przynieść może światu swobodna wymiana idei i bezpośredni kontakt między ludźmi. Nie ma odkryć dokonanych w pewnym określonym miejscu, które nie byłyby szczęśliwym ukoronowaniem całokształtu prac, prowadzonych w rozmaitych punktach świata, prac, których znajomość była niezbędnym warunkiem dokonania danego odkrycia. Postęp nauki, a zatem i cywilizacji, wymaga swobodnego rozpowszechniania informacji naukowych. Informacje te interesują nie tylko specjalistów, lecz również — i to w najwyższym stopniu — szerokie rzesze publiczności. Wszyscy ludzie dobrze rozumieją, że nauka, dzięki wynikom technicznym swych dociekań z jednej strony i umożliwianiu coraz głębszego poznania wszechświata z drugiej, odpowiada ich dążeniom do wyzwolenia materialnego i duchowego. Jasne jest więc, jak dalece ten aspekt zagadnień kulturalnych, związany z nauką, może przyczynić się do odprężenia międzynarodowego i doprowadzić do potężnej akcji na rzecz pokoju.

Fryderyk Joliot-Curie

(fragmenty przemówienia na Kongresie Pokoju w Wiedniu)

ARTUR MIĘDZYRZECKI

PRZEZ LUDZKĄ ZIEMIĘ

Wnętrze ziemi — ogień i lawa.
Nie straszcie nim.
W prawdziwym ogniu płonęła Warszawa,
Nad ogniem wznosił się dym.

Za pierś się chwytał brat mój zraniony
Nim padł na ziemię chłodną.
A jak umierał? Niepogodzony,
Niepogodzony ze zbrodnią.

Nie miał on, żywy, na czole piętna
Niesłusznej śmierci młodzieńczej —
Dotąd wspomina dziewczyna piękna
Oczy jego i ręce;

A ja pamiętam jego nienawiść,
Jak ona — miłość jego.
I w łunach niską jesień Warszawy,
Domy, drzewa i niebo.

Miasta w ogniu już nie zapomnę,
Nie wiem o piekle innym —
Żywi, polegli przychodzą do mnie;
Bądź silny — mówią — bądź silny;

Przez kontynenty gniewu i łuny
Idziemy we dnie i w nocy,
Nie straszcie wojną. Człowiek jest czujny.
Człowiek jest mocny.

W SIEDEMDZIESIĄTĄ TRZECIĄ ROCZNICĘ URODZIN JÓZEFA STALINA



Pokój będzie zachowany i utrwalony, jeżeli narody ujmą w swe ręce sprawę zachowania pokoju i będą broniły jej do końca. Wojna może stać się nieunikniona, jeżeli podżegaczom wojennym uda się omotać siecią kłamstw masy ludowe, oszukać je i wciągnąć je do nowej wojny światowej.

Dlatego też szeroka kampania na rzecz zachowania pokoju jako środek zdemaskowania zbrodniczych machinacji podżegaczy wojennych ma obecnie znaczenie pierwszorzędne.

(JÓZEF STALIN — Rozmowa z korespondentem „Prawdy")

Współczesny ruch w obronie pokoju ma na celu zmobilizowanie mas ludowych do walki o utrzymanie pokoju, o zapobieżenie nowej wojnie światowej. A zatem ruch ten nie zmierza do obalenia kapitalizmu i ustanowienia socjalizmu — ogranicza się on do demokratycznych celów walki o utrzymanie pokoju. Pod tym względem współczesny ruch na rzecz utrzymania pokoju różni się od ruchu w okresie pierwszej wojny światowej na rzecz przekształcenia wojny imperialistycznej w wojnę domową, ponieważ ten ostatni ruch szedł dalej i zmierzał do celów socjalistycznych.

Być może, że przy określonym zbiegu okoliczności walka o pokój rozwinie się gdzieniegdzie w walkę o socjalizm, ale nie będzie to już współczesny ruch na rzecz pokoju, lecz ruch na rzecz obalenia kapitalizmu.

(JÓZEF STALIN — z pracy „Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSRR").

Gdy towarzysz Thorez lub towarzysz Togliatti oświadczają, że ich narody nie będą walczyły przeciwko narodom Związku Radzieckiego, to jest to poparcie, przede wszystkim poparcie walczących o pokój robotników i chłopów Francji i Włoch, a następnie również poparcie pokojowych dążeń Związku Radzieckiego. Ta szczególna cecha wzajemnego poparcia tłumaczy się tym, że interesy naszej partii nie tylko nie są sprzeczne, lecz, przeciwnie, pokrywają się całkowicie z interesami miłujących pokój narodów. Co się tyczy Związku Radzieckiego, to jego interesy są w ogóle nieodłączne od sprawy pokoju na całym świecie.

(JÓZEF STALIN — z przemówienia na XIX Zjeździe Partii).

* * *

Miliony ludzi Związku Rad i krajów idących drogą socjalizmu tworzą świat nowy, niosąc w sercach i na ustach imię: STALIN.

Ludowa armia chińska wypędza ze swego kraju przemoc obcą i niewolę pieniądza i kroczy naprzód z imieniem STALINA.

W Vietnamie, Burmie, na Wyspach Malajskich bojownicy wolności, niepodległości i sprawiedliwości walczą przeciw kolonizatorom wołając: STALIN!

Górnicy francuscy trwają w strajkach i wyciągają dłonie na wschód z okrzykiem: STALIN!

Chłopi włoscy zajmują obszarnicze nieużytki i, odpędzani gwałtem, wołają: STALIN!

Poeta wypędzony ze swej ojczyzny za umiłowanie wolności i sprawiedliwości społecznej, piękny poeta chilijski pisze poemat o STALINIE.

Zmiażdżona okrutnie Warszawa dźwiga swe okrwawione cegły tym szybciej z imieniem STALINA.

Wszędzie na świecie, gdzie sięga przemoc pieniądza, bagnet żołdaka i pałka policjanta, ludzie walczą i będą zwyciężali z imienem STALINA.

Setki milionów ludzi wołają: STALIN! STALIN! STALIN!

Władysław Broniewski
(„Słowo o Stalinie")

STANISŁAW LEM

Widmo trzeciej wojny w USA

„Żyjemy w świecie, który nie zdołał jeszcze przyjść całkowicie do siebie po straszliwych wstrząsach drugiej wojny światowej. A jednak już teraz sroży się wojna w trzech punktach naszej planety. Rozwija się przerażający wyścig zbrojeń, rujnując gospodarkę, hamując postęp ludzkości, zwiększając groźbę wojny. Pod pretekstem obrony bezpieczeństwa zawierane są pakty, traktaty i układy, które przyczyniają się jedynie do wzmożenia niebezpieczeństwa pożogi wojennej. Pod tym samym pretekstem wzmaga się zagrożenie niezawisłości narodowej i swobód demokratycznych. Trwa zimna wojna, prowadzona przy pomocy oszczerstw i kłamstw, a niektóre koła, tworząc atmosferę krucjaty, usiłują sfanatyzować ludność i przygotować ją, w imię jakiejś rzekomej misji nakazanej przez Boga, do najokropniejszej rzezi".

Joliot-Curie

(Z przemówienia inauguracyjnego na Kongresie Pokoju w Wiedniu).

Amerykanie są w kłopocie. Do wszystkich części świata, znajdujących się pod ich wpływem, eksportują broń, amunicję, papierosy, oficerów sztabowych i konserwy, ale zdają sobie sprawę z tego, że to mało. Chcieliby eksportować jakąś ideologię, *made in USA*, w dobrym gatunku, przystępną, solidnie zrobioną, która raz na zawsze przekona Greków, Francuzów czy Włochów, że muszą walczyć, a gdyby do tego przyszło, i umierać za amerykański styl życia.

Potrzeba ideologii jest paląca, ale na razie Amerykanie posiadają na składzie tylko jedno hasło, które nie bardzo starczy za doktrynę; to kwiat wolności amerykańskiej, najwyższa swoboda, „freedom of enterprise", czyli wolność robienia interesów. Wyznaczyła ona drogę Ameryki na przestrzeni ostatnich stu kilkudziesięciu lat i dzisiaj jeszcze ją wyznacza. Tylko czy nadaje się do eksportu? Bo za jej maską kryje się podstawowe prawo społeczeństwa kapitalistycznego: dążenie do największego zysku. Byłoby ciekawe zbadać zakres ważności tego prawa i stwierdzić, czy i jak działa ono u dna zjawisk najmniejszych i największych, w doniosłych wydarzeniach politycznych — i w najintymniejszych przeżyciach jednostek. Podejmiemy taki eksperyment.

Dla przeprowadzenia pierwszego „próbnego sondowania" cofniemy się w czasy wojny, do lat 1941 — 43. Kiedy Stany Zjednoczone znalazły się w stanie wojny z Niemcami, wyprawianie statków z portów obu oceanicznych wybrzeży Ameryki zostało otoczone ścisłą tajemnicą. Pomimo to niemieckie łodzie podwodne torpedowały wielką ilość okrętów — tak wielką, że stało się jasne, iż Niemcy muszą dysponować jakimś tajemniczym źródłem informacji. Przez długi czas wywiad pracował usilnie choć bez rezultatów, a tymczasem fale wyrzucały na brzegi stanów Południowej i Północnej Karoliny, New Jersey i Virginii szczątki przemoczonego ładunku i statków. Im większy stawał się ruch okrętowy, tym bardziej rosły straty i osiągnęły niepokojące wymiary, gdy niespodziewanie tajemnica się wyjaśniła. Każdy statek handlowy jest ubezpieczony od wypadku w towarzystwach ubezpieczeniowych przy czym jest w zwyczaju, że towarzystwo otrzymuje każdorazowo dokładne informacje o wypłynięciu statku na morze, jego ładunku i porcie przeznaczenia. Towarzystwa ze swej strony, pragnąc zmniejszyć ryzyko finansowe, ubezpieczają swoje polisy w innych towarzystwach, i tak kompanie amerykańskie były związane z podobnymi instytucjami prywatnymi w Szwajcarii, a te ostatnie pozostawały w stosunkach z niemieckimi towarzystwami w Monachium. Tak tedy ilekroć amerykański statek opuszczał port, do Zurychu biegły depesze z wyczerpującymi wiadomościami. Monachium, otrzymawszy je, przekazywało Niemieckiej Kwaterze Głównej, i gdy statek wypływał na ocean, czekał tam już na niego jeden z podwodnych krążowników Doenitza.

Historia do tej pory ciekawa staje się odtąd osobliwa. Zdawałoby się, że rząd Stanów zakaże prywatnym przedsiębiorstwom jakimi są towarzystwa ubezpieczeniowe przekazywania za granicę informacji o ruchu statków, i tym samym Niemcy stracą źródło wiadomości. Nic jednak podobnego nie zaszło. Finansiści z towarzystw ubezpieczeniowych nie chcieli ubezpieczać okrętów na wyłączną własną odpowiedzialność, gdyż poważnie zmniejszyłoby to ich dochody. Armatorzy znowuż nie chcieli wyprawiać w morze nieubezpieczonych statków. Rozpoczęły się konferencje, narady, targi z przedstawicielami ministerstwa sprawiedliwości, które toczyły się przez osiemnaście miesięcy, a przez cały czas okręty tonęły, marynarze ginęli, łodzie niemieckie topiły dziesiątki tysięcy ton regestrowych, wszystko zaś dlatego, że prywatni przedsiębiorcy obawiali się o swoje zyski, a rząd nie dysponował dostatecznymi sumami, żeby nabyć na własność ilość statków, niezbędną do przewożenia produkcji przemysłu zbrojeniowego. Sprawa została załatwiona kompromisowo, tak, by nikt nie poniósł straty.

Trudno chyba o lepszy przykład na to, jak pogoń kapitalistów za zyskiem może górować nad najsilniejszymi antagonizmami państwowymi.

Dobrze będzie zachować w pamięci powyższą, pouczającą historię, gdyż dzięki niej łatwiej będziemy mogli zrozumieć zawiłe zygzaki amerykańskiej polityki wewnętrznej i zewnętrznej w latach 1945—52.

V-Day, dzień zwycięstwa nad państwami osi, był wielkim świętem narodu amerykańskiego, wybuchem radości milionowych rzesz. Nie cieszyli się tylko wielcy przemysłowcy, a mieli po temu, jako ludzie dalekowzroczni, poważne powody.

Przed wojną znane były wypadki masowego niszczenia w Ameryce dóbr konsumpcyjnych, jak kawy czy zboża. Podobne fakty wywoływały wielkie wzburzenie opinii publicznej. Podnosiły się biadania intelektualistów, którzy wyrzucali Amerykanom brak rozumu, brutalność i nieludzkość. Naiwni nie pojmowali, że motywacja takich działań nie kryła się w brzydkich cechach psychologicznych Amerykanów, ale w dążeniu prywatnych przedsiębiorstw do utrzymania cen.

Trzeba powiedzieć, że kapitalizm w swoim niepowstrzymanym „rozwoju w dół" daleko w tyle pozostawił podobne sposoby podtrzymywania gospodarki narodowej. Palenie kawy, zboża, topienie melonów i pomarańcz to błahostki w porównaniu z rozmachem dzisiejszych metod, jakich imają się oligarchowie przemysłu dla rozkręcenia koniunktury gospodarczej.

Kiedyś, przed kilkudziesięciu laty, wojna nie była jeszcze zmechanizowana. Stanowiła wtedy dla większości kapitalistów nie sam cel, ale środek do jego osiągnięcia, środek do nowego podziału światowych rynków. Dawniej w samym prowadzeniu, w długim trwaniu wojny były zainteresowane bezpośrednio tylko stosunkowo nieliczne „profesje" kapitalistów: właściciele hut stalowych, fabryki broni, butów, producenci żywności. Dzisiaj dla zaopatrzenia nowoczesnej armii pracować muszą także huty szkła i zakłady optyczne, kopalnie bauksytu, uranu i miedzi, wytwórnie precyzyjnych urządzeń mechanicznych, elektrycznych i elektronowych, laboratoria syntezy mas plastycznych, fabryki syntetycznych paliw, i lekarstw.

Kiłka truizmów: podczas gdy socjalizm jest głównie zainteresowany w zaspokajaniu potrzeb ludzkich, kapitalizm produkuje nie dla ich zaspokojenia, ale dla zysku. Kiedy rynek przestaje chłonąć towary, nastaje dla kapitalistów straszliwa sytuacja: zaczynają się dusić, „zadławieni" towarami, które sami wyprodukowali.

Z tych powodów wojna jest dla kapitalizmu jednym z najdoskonalszych urządzeń tego świata, jak żadne bowiem inne unicestwia olbrzymie masy wytwarzanych przedmiotów.

Trudno się dziwić smutkowi kapitalistów w lecie i jesieni 1945 roku. W ogólnej wrzawie radości, jaka przepełniała wówczas świat, mało kto zwrócił uwagę na liczne fakty masowego niszczenia przez powracające do ojczyzny wojska amerykańskie ich własnego uzbrojenia. Tysiące bombowców, samochodów, łodzi desantowych i wszelakiego ekwipunku zostały spalone lub w inny sposób zniszczone tak, by nie nadawały się więcej do użycia. Zwłaszcza niektóre wyspy Pacyfiku stały się istnymi cmentarzyskami amerykańskiej techniki wojennej. Działały wysyłane po cichu z Waszyngtonu rozkazy, wydawane za poduszczeniem przemysłowców, którzy w ten sposób zapewnili sobie pierwsze zamówienia powojenne.

Rozwój wypadków powojennych poważnie pogmatwała sprawa bomby atomowej. Jest już dziś dobrze wiadome, że Amerykanie rzucili na Hiroszimę i Nagasaki jedyne dwie bomby jakie wówczas posiadali, nie po to, żeby zakończyć wojnę z Japonią, ale po to, żeby rozpocząć nową, „zimną" wojnę ze Związkiem Radzieckim. Było to pierwsze posunięcie, za którym poszły następne, obliczone na szantaż i zastraszenie. Na nieszczęście dla Amerykanów, partner nie chciał grać narzuconymi przez nich metodami.

Bezpośrednio po wojnie warstwy rządzące nie mogły ujawnić w pełni nienawiści do Związku Radzieckiego, gdyż świeże były jeszcze wspomnienia bohaterskich walk Armii Czerwonej i szerokie masy dobrze pojmowały, jak wielkie ofiary ponieśli Rosjanie dla wspólnego zwycięstwa. Trzeba było dokonać zwrotu opinii publicznej o 180 stopni, rozpoczęły więc pracę wielkie koncerny prasowe, radiowe i telewizyjne, wydawnictwa, i wytwórnie filmowe. Należy sobie uprzytomnić, że Stany Zjednoczone wytworzyły w ciągu lat zażartej konkurencji kapitalistów precyzyjne metody reklamowe, że dysponują całą armią psychologów i innych wysoko wykwalifikowanych fachowców, znających umysłowość przeciętnego „człowieka z ulicy". Cała ta wiedza została teraz zmobilizowana. Olbrzymi aparat do stwarzania „publicity" począł pracować z właściwą sobie sprawnością. Był to początek montowania i rozdymania jednego z największych superbluffów — widma „czerwonego niebezpieczeństwa". Związek Radziecki, który poniósł w wojnie ogromne straty z całymi miastami, fabrykami i kopalniami w ruinach, ze zdewastowaną połacią kraju, dorównującą połowie Europy, przedstawiano jako potężne, niesamowite mocarstwo, które w swej polityce zagranicznej powoduje się tajemniczymi przesłankami, niepojętymi dla Amerykanina. Równocześnie rozpoczęto kampanię przeciw własnym komunistom i sympatykom ruchów lewicowych; kampania ta, opracowana w najdrobniejszych szczegółach, obliczona była na wiele „pięter" poziomu umysłowego, skala jej rozciągała się od dzieł naukowych, upstrzonych wykresami, w których komunizm był przedstawiony jako „zboczenie umysłowe", aż po metody nieustannego powtarzania krótkich, prosto sformułowanych sloganów, celem wytworzenia nierozumnych odruchów warunkowych. To była, jeśli można tak rzec, „negatywna" strona roboty propagandowej. Po stronie „pozytywnej" figurował jeden tylko, ale za to olbrzymi „szlagier": bomba atomowa. Popularyzowały ją gazety, książki, filmy, audycje radiowe, jej imieniem chrzczono kabarety i pomadki do ust, fizycy z prawdziwego i nieprawdziwego zdarzenia wypisywali morza atramentu, żeby własnemu społeczeństwu ukazać nieskończoną moc atomów, przed którą muszą się ukorzyć wszystkie narody. W tym czasie oficjalnie ogłoszono monopol broni atomowej, mający zapewnić hegemonię Stanów Zjednoczonych nad światem. Powstała tak zwana Komisja Energii Atomowej (Atomic Energy Comission — w skrócie AEC), która miała z ramienia rządu kontrolować sektor przemysłu, związany z problemami produkcji bomb atomowych.

W samym łonie Komisji Energii Atomowej wkrótce nastąpiły niesnaski. Prywatni przedsiębiorcy, którzy zbudowali dla rządu wielkie fabryki bomb atomowych, sarkali na kontrolę państwową, która utrudniała im powiększenie zysków. Wielu uczonych, przerażonych skutkami własnego odkrycia, usiłowało wycofać się ze służby we wielkich koncernach i powrócić do cichych sal uniwersyteckich. Właśnie wtedy rozpoczęła działalność osławiona Komisja do Badania Działalności Antyamerykańskiej, która zainicjowała swe istnienie poszukiwaniem członków partii komunistycznej, skończyła zaś na tym, że za komunistę uznawano każdego, kto mówił dobrze o powieściach rosyjskich albo wyrażał niezadowolenie z rosnących kosztów utrzymania.

Pewien doskonały specjalista, profesor chemii, Spitzer, stracił katedrę, gdyż ośmielił się powiedzieć, że być może, Łysenko ma w swojej teorii biologicznej trochę racji.

W całą tę, rozrastającą się do nieprawdopodobnych wymiarów manię prześladowczą, podniesioną do rangi rządzenia państwem, uderzyła jak grom z jasnego nieba wiadomość, że Związek Radziecki dysponuje energią atomową. Z tą chwilą olbrzymia robota propagandowa, którą z ogromnym nakładem środków i energii prowadzono dla zastraszenia świata, obróciła się przeciw narodowi amerykańskiemu. Ironią losu on właśnie najbardziej ucierpiał na odkryciu własnych uczonych. Do tej pory bomba była opiewana wszystkimi możliwymi i niemożliwymi sposobami. Dawało się obserwować powolne, lecz nieustające przemienianie jej w symbol osobliwego kultu o charakterze prawie religijnym, czego dowodem choćby fakt, że, aby „nadaremnie nie używać jej imienia", nazywano ją niekiedy po prostu „Bombą" (The Bomb). Teraz nastąpił rozpad głównej linii oficjalnej propagandy. Zastąpił ją chóralny wrzask pomieszanych głosów, kłócących się nawzajem sobie przeczących i miotających obelgi. Były nieśmiałe próby zmniejszenia strategicznego znaczenia atomówek (wsławił się tu dr Austin Bruce, który wyjaśniał ziomkom, że „poddawanie się promieniotwórczemu działaniu skraca wprawdzie życie, ale skraca je także palenie papierosów, a przecież je palimy...") — ale ta droga nie odpowiadała przemysłowi. Zjawiła się nowa, lepsza idea, obiecująca nowe zamówienia: myśl stworzenia „superbomby" wodorowej, której produkcji podjęły się niebawem, po przyznaniu kredytów, zakłady du Ponta.

Kongres USA przeżywał także przykre chwile. Na porządek dnia wypłynął nowy problem, logicznie wynikający z dotychczasowej roboty propagandowej: problem obrony Stanów przed atakiem atomowym. Co prawda, nikt na świecie nie przygotowywał się do ataku na Amerykę i stwierdzenie takiego stanu rzeczy uczyniłoby bezprzedmiotową całą rozpętaną wokół tego zagadnienia wrzawę, dyskusję i szantaż ze strony wielkiego przemysłu, wietrzącego okazję do przeprowadzenia nowego planu budżetowego, ale na taki krok nie mogli sobie kapitaliści pozwolić. Przeciwnie, zastraszenie społeczeństwa widmem bomb, które lada dzień runą na bezbronne miasta (był to październik 1949!) umożliwiło zatwierdzenie przez Kongres nowego budżetu z miliardowymi kredytami na zbrojenia. Ale i ta sprawa miała swą nieprzyjemną dla wielkiego przemysłu stronę. W Kongresie poczęto wałkować plan „dispersal'u", rozproszenia wielkich miast i decentralizacji ciężkiego przemysłu. Prawie jedna trzecia ludności Stanów mieszka w wielkich miastach, argumentowali głosiciele „dispersal'u", przemysł nasz skoncentrowany jest tak bardzo, jak nigdzie na świecie, i w razie wybuchu wojny będziemy w sytuacji bardziej narażonych. Obliczono nawet z grubsza, że cała akcja, rozłożona na parę lat, mogłaby kosztować około 200 miliardów dolarów (pesymiści twierdzili, że nawet ćwierć biliona, to jest 250 miliardów dolarów w złocie). Komisje pracowały i senat obradował, ale cała historia spaliła oczywiście na panewce. Któż bowiem miał dać pieniądze na tę równie gigantyczną jak niepotrzebną aferę? Rząd uważał, że przemysłowcy, i namawiał ich do tego ustami swych rzeczoznawców, którzy usiłowali przedstawić plan „dispersal'u" jako świetny „business", rozumiejąc, że jest to jedyna możliwość zainteresowania wielkiego kapitału. Przemysłowcy jednak wyśmieli tę propozycję; zresztą nawet gdyby rząd dał pieniądze (których nie miał), nie zgodziliby się nigdy na realizację przedsięwzięcia. Motywy ich oporu były proste: każdy zakład produkcyjny, przesunięty od wielkich miast czy portów, tych naturalnych arterii zbytu, gdzieś w głąb kraju, zwiększyłby automatycznie koszty własne, gdyż do kosztów produkcji musiałyby dojść zwiększone koszty skomplikowanego i długiego transportu — zarówno surowca i paliwa jak produktów. Prawo największego zysku poczęło działać i automatycznie zadławiło cały plan w zarodku. Zostało po nim tylko trochę protokołów z zanotowanymi wyzwiskami i, jak zwykle w każdej sprawie kongresowej, nieco afer korupcyjnych. Wielkie obrady kongresu zakończyły się stworzeniem tak zwanej „Administracji Obrony Cywilnej", która miała nie tyle zająć się obroną kraju przed wyimaginowanym atakiem atomowym, co próbować znalezienia środków zaradczych przeciw rozszerzającej się coraz bardziej „chorobie strachu" — „sickness of fear". Nie darmo karmiono przez lata obywateli opowieściami, fikcyjnymi reportażami i pseudonaukowymi rozważaniami na temat, „coby się stało, gdyby atomówka wybuchła nad Chicago, czy Nowym Jorkiem". Choroba strachu przechodziła w stadium następne, w stadium psychozy atomowej.

Może wystarczyłoby stwierdzić, że kieszonkowe aparaciki do wykrywania promieniotwórczości oferuje się w Ameryce równie powszechnie, jak u nas proszek do zębów, ale myślę, że warto się przyjrzeć bliżej temu odcinkowi amerykańskiej gospodarki, bo i tutaj, w sferze skrajnego nonsensu, obserwujemy działanie podstawowego prawa kapitalizmu.

Kiedy z wielkim szumem stworzona „Administracja Obrony Cywilnej" zabrała się do pracy, stwierdziła, że przedsiębiorczy businessmani zainteresowali się „rynkiem atomowym" dużo wcześniej. Strasząc reklamami, malowanymi w kolorowe płomienie wybuchu, wielkim głosem zwiastując „The Big Bang", czyli „Wielkie Bum", sprzedawali tysiącami jednorodzinne schrony przeciwatomowe, które, jak orzekli eksperci Obrony Cywilnej, nadają się tylko do tego, żeby chroniących się w nich „wycisnąć jak grapefruit". Ukazały się dziesiątki „przeciwatomowych" specyfików; analizy wykazały, że najlepszą ze wszystkich była maść „U 236 Atomic Shock Cure", składająca się z wody, lanoliny i farbki, najlepsza dlatego, ponieważ, choć bezskuteczna, nie była przynajmniej szkodliwa, jak większość innych. Sprzedawano ołowiane napierśniki „dla ochrony piersi kobiecych",

(Dokończenie na str. 11)

Z POEZJI RADZIECKIEJ

OLGA BERGHOLC

Do mieszkanki Leningradu

Jeszcze tak lud rozsławi twoje czyny,
Jeszcze tak uczci cię cały kraj nasz,
Że chyba powiesz: — O nie, byłam inna,
Surowszą, posępniejszą miałam twarz.

Lękałam się. Cierpiałam. Jakże często.
W wojennym znoju trudno było żyć.
I nie marzyłam nawet już o szczęściu.
Odpocząć tylko chciałam. Więcej nic.

Odpocząć. Tak. Już raz odpocząć przecie
Od starań o kąt jakiś, żywność, dach,
Od gorzkich trosk o wynędzniałe dzieci,
Od biedy, która gnębi nawet w snach.

Od niepokoju, lęku, że brak listów,
(Czy wróci, czy powróci do mnie zdrów),
Od bomb, co nad bezbronnym dachem świszczą,
Od gniewu i od heroicznych słów.

Lecz w tym znękanym mieście pozostałam,
By służyć mu, doglądać je i strzec,
Żeby nad życiem jego pieczę mieć.
Żyłam. Znużenie swe przezwyciężałam.

Czasem nuciłam nawet. Wciąż strudzona.
Z innymi dzieląc własny chleb i sól.
Kłóciłam się z sąsiadką. Tak jak ona
Skrywałam płacz. Skrywałam lęk i ból.

Tężała twarz z dniem każdym bardziej ciemna.
Siwizna bielą powlekała skroń.
Za to nawykła do trudów codziennych
Niby żelazną stawała się dłoń.

Patrz, jaki palców szorstki, twardy kształt.
Ryłam okopy. Bywałam grabarzem.
Zbijałam trumny dla stygnących ciał,
Dziecięce rany tuliłam w bandaże.

I nie mijają próżno owe dni,
Nie zniszczy czas ich ołowianych śladów
Spójrz. Oto gorycz całej wojny tkwi
W świadomych oczach kobiet Leningradu.

Nie ma już w twarzy mojej żadnych kras,
Nie ma barw młodych i kolorów jasnych.
Uroda zgasła, dawny uśmiech zgasł,
W znużonych oczach skry i blaski zgasły.

*

Lecz spoglądając w oczy te, w tę twarz,
Szukając w nich przebytej drogi śladów,
Mówi poeta: tak, lecz nie starł czas
Z twojego czoła sławy Leningradu.

Przełożył **Tadeusz Zelenay**

STIEPAN SZCZIPACZOW

* * *

Dochodzi trzecia, lecz ja spać nie mogę.
Zamieć mętnieje, noc do świtu leci,
Ziemia obiega planetarną drogę...
Przeminie pięć i dziesięć tysiącleci,
Ów wiek daleki (myśmy go poznali
Z marzeń) dął będzie, jak dziś, zawieruchą.
W tej nawet myślom niedostępnej dali
Ja chciałbym być choćby śnieżynką kruchą,
Z wiatrem unosić się w przyszłości krajach
I choćby raz na tamto spojrzeć życie,
Puszynką śniegu nad topolą wzbić się
I na policzku dziecinnym roztajać.

Przełożyła **Mieczysława Buczkówna**

Kometa

Jeszcze za cara, w głuchym kącie Rosji
Wieś zasypana wielkimi śniegami
Spała i skrzypiał śnieg pod walonkami,
W styczniu wśród nocy gwiaździstej i mroźnej.
Wtedy kometa ognistym ogonem
Przecięła niebo. Byłem jeszcze dzieckiem.
Stałem, zsunąwszy w tył głowy czapeczkę,
Ze wzrokiem w dziwną siostrę gwiazd utkwionym.

Znikł gość niezwykły: przepadła wśród mgławic,
Już się zatarły jej ślady w lunetach.
Lecz wyczytałem w książkach, że kometa
Za osiemdziesiąt lat ma znów się zjawić.
Ona powróci. I niech ja, przechodzień,
Nie spojrzę więcej ku tamtym przestrzeniom.
I chociaż życia ubywa mi co dzień,
Choć kocham życie całym swym istnieniem,
Przecież wiem dobrze, nie warto się smucić.
Wzrusza mnie, że nad mgłami zimowemi
Ludzie znów ujrzą gościa, który wróci
Za komunizmu już na całej ziemi.

Przełożyła **Mieczysława Buczkówna**

MIECZYSŁAW JASTRUN

WSPÓŁCZESNOŚĆ I TRADYCJA

Zapytajmy najpierw: czy w poezji różnych lat i różnych czasów wzór, to znaczy utwór wzorowy napisany w przeszłości albo współcześnie, mógł wpłynąć na późniejsze utwory innych poetów, czy mógł być przykładem i przewodnikiem po krainie poezji?

Doświadczenie historyczne uczy, że rola wzoru bywała olbrzymia w różnych okresach literatury i ukazuje równocześnie jak bardzo dzieła naprawdę twórcze, odskakiwały od jakiegokolwiek wzoru. Pojęcie oryginalności zmieniało się wielokrotnie w dziejach literatury. Horacy chełpił się tym że miary eolskie pierwszy wprowadził do poezji Italów, Dante obrał sobie za przewodnika po piekle i czyśćcu Wergilego, czym spłacił dług wielkiemu poecie rzymskiemu za pożyczenie niejednego szczegółu z opisu krainy podziemnej w Eneidzie. Kochanowski pochwałę własnej siły twórczej wyraził w wolnym przekładzie z Horacjusza. Szekspir brał z byle popularnej wówczas noweli fabułę do swoich dramatów Mickiewicz i Puszkin nie stronili od bliskich czy dalszych reminiscencji z poezji swych poprzedników i współczesników. Słowacki nie wstydził się zapożyczać tak wielu pomysłów u innych poetów, że można by z nich ułożyć antologię na uciechę szperaczy. I robiono to wielekroć.

Wszystkie te pożyczki, echa i trawestacje — wymieniłem pierwsze z brzegu — były bardzo różnego rodzaju i nasilenia. Były świadome i nieświadome, nacechowane większą lub mniejszą w stosunku do pierwowzoru samodzielnością. Określone były zawsze obyczajem i niepisanym prawem literackim epoki.

Kiedy renesans nawiązywał tak jak nie do starożytności to nie były to tylko lekcje brane u poetów i mistrzów sztuki antycznej, był to zarazem protest przeciw średniowiecznemu widzeniu, czy raczej niewidzeniu świata, wyraz rozkochania w pogańskim pięknie ziemi i człowieka. Słowacki, nawiązując do wielkiej tradycji kulturalnej, usiłował w ten sposób wyprowadzić naszą poezję z zaścianka na szerokie drogi swego wieku, rewolucjonizował ją, podobnie jak Mickiewicz.

W każdym z tych przykładów zależność od wzoru da się nazwać i określić pod względem społecznym i politycznym. Tak zwana byroniczna szata wczesnych poematów Słowackiego wyraża nie tylko postawę poety jako artysty, ale także jako ideologa. Mickiewicz w wykładach o literaturze słowiańskiej omawiając wpływ Byrona na Puszkina pisze: „Jest to kolej mimowolna i konieczna, każdy pisarz musi pierwej przejść szkoły, które go poprzedziły, musi szczeblować po warstwach przeszłości, nim wzbije się w przyszłość”. On sam o mało nie zniszczył poematu o Wallenrodzie, bo mu zanadto poematy Byrona przypominał, ale dzięki potędze swego natchnienia dał rzecz samodzielną polską, aktualną, którą w przystępie złego humoru nazywał nawet „broszurą polityczną”. Bronił się przed wpływami Byrona Goethe (a miał się czym bronić!), w końcu jednak poezję swego rywala uosobił w postaci Euforiona, syna Fausta i Heleny, i to dziecko cudowne obdarzył lotem, pragnieniem wolności. Nie były to tylko pomysły literackie — w epoce Świętego Przymierza wyrażały pęd do wolności indywidualnej i zbiorowej.

Nie podobna przejąć i twórczo kontynuować niczyich środków wyrazu. Nie ma twórczości bez porywu twórczego, który nasi romantycy nazywali natchnieniem. To zaś natchnienie, czy mówiąc prościej, żarliwość twórcza, wyraża zawsze jakiś kierunek napięcia, jakąś treść ideologiczną. Można oczywiście czerpać z tradycji bez zrozumienia jej kierunku ideowego, ale wtedy muszą powstawać utwory martwe, epigoniczne, oderwane od jednej i od drugiej współczesności. Zewnętrzne nawiązywanie nawet do największej tradycji literackiej nie prowadzi do stworzenia nowej i godnej życia poezji.

Przykłady? Wielu poetów w dobie dwudziestolecia bynajmniej nie stroniło od pożyczek wielkich naszego romantyzmu lecz w świadomości ich i w praktyce zmieniały się bojowe harfy Wenedów w mandoliny. A kiedy w znanym wierszu Broniewskiego „Poezja” odezwą się echa „Lilli Wenedy” to zabrzmią one czysto, gdyż nawiązując do harfy Słowackiego poeta wiedział czego chce i kierunek jego rewolucyjnego natchnienia był — żeby się tak wyrazić w sposób nieco uproszczony — dalszym ciągiem natchnienia Słowackiego i zarazem krokiem w socjalistyczną przyszłość. Podobne temu przykłady znajdziemy u innych rewolucyjnych i postępowych poetów dwudziestolecia.

Bezradność Huberta Rostworowskiego, gdy do swojego „Zmartwychwstania” wprowadził Mickiewicza z pomnika to nie tylko bezradność artysty, lecz przede wszystkim sprzeczna z ideologią Mickiewicza reakcyjna postawa tego dramaturga.

Wcześniej na próżno usiłował wielki poeta Wyspiański nawiązać bezpośrednio do tradycji romantyków, on, który nie był dziedzicem ich myśli rewolucyjnej i nie darmo w „Legionie” nie można odróżnić Mickiewicza od Krasińskiego w dialogu poetów na stopniach Colosseum. Już to kiedyś zauważono, że Wyspiański „walczył”, polemizował z romantyzmem z pozycji romantyka — ja dodam jeszcze — romantyka reakcyjnego.

Nie jest więc prawdą, że każda polemika z przeszłością służy postępowi. Trzeba jasno określić z czyn i w imię czego się polemizuje. W ostatnim okresie sanacji poeci reżimu polemizowali z przeszłością, rozprawiali się z jej „marami” w imię „rządu silnej ręki”, w imię kontrrewolucji i dyktatury faszystowskiej. Oenerowcy jawnie występowali wówczas przeciw romantyzmowi Mickiewicza i Słowackiego i ostrzyli noże.

W tym odrywaniu literatury od wielkiej rewolucyjnej tradycji narodowej była metoda. Burżuazyjne teorie literackie od dawna próbowały oderwać pisarstwo od podłoża kultury narodowej, głosiły one niewinną na pozór tezę absolutnej oryginalności, żywiołowości, samorództwa. Nacjonalistyczne odłamy burżuazji łączyły te atrybuty „absolutnej oryginalności” z rasizmem.

Program żywiołowości stał niewątpliwie w związku z przekonaniem o „niepowtarzalności przeżycia”, z Bergsonowską „osobowością głęboką” — *le moi profond*, z pojęciem sztuki jako ucieleśnienia Schopenhauerowskiej „woli”.

Program ten miał u nas od dawna zaorane i przygotowane pole. Sprzyjały mu resztki towianizmu w różnych odmianach hodowane na katedrach polonistycznych. Sprzyjały mu popularne niegdyś mistyfikacje Przybyszewskiego i Stanisława Brzozowskiego.

Cyganeria literacka przechwytywała je z entuzjazmem, zwalniały ją od odpowiedzialności moralnej i od przykrych obowiązków rozumienia i uczenia się otaczającego świata.

Chyba już dzisiaj nikt nie hołduje przesądowi, że im mniej poeta umie, im bliższy jest zielonej naturze, tym jest rzekomo bardziej autentyczny, samorodny itd.

Mówiono u nas niejednokrotnie — i jeszcze dziś słyszy się czasem — o „żywiołowości” tego czy innego pisarza. Sądzę, że pojęcia te, podszyte Młodą Polską, zostały już dostatecznie skompromitowane. Nie mają one nic wspólnego nie tylko z realizmem socjalistycznym, ale w ogóle z żadnym realizmem.

Podziwiamy dziś w Mickiewiczu nie tylko potęgę uczucia, lecz również czystość pojęciową, logikę, trafność obserwacji. Tego zaś nie zdobywa się bez wielkiego trudu, bez wysiłku intelektu, bez nauki i wiedzy.

Niejednokrotnie mówi się dziś jeszcze z przekąsem o „poezji intelektualnej”. Nikt jednak nie powiedział, co to właściwie jest intelektualizm w poezji. Słyszałem nieraz odżegnywanie się od intelektualnej poezji Norwida, oczywiście mówię tu o najlepszej części jego twórczości. A Mickiewicz? A Kochanowski? A poezja Oświecenia? Jak szydło z worka wyłazi tu stara miłość do żywiołu Młodej Polski i jej kontynuatorów, do gorszych stron stylu wielkiego Żeromskiego i karykaturalnych metafor wielu powieści i wierszy okresu dwudziestolecia.

Te niedobre tradycje zdają się trwać jeszcze gdzieniegdzie siłą inercji. Ale nie one stanowią o wadze naszej literatury.

O trwałości poezji polskiej z najlepszych okresów decyduje jej sprawdzalność wierność, z jaką odbijała procesy dziejowe, tak często bolesne i tragiczne. W czasie wojny i okupacji poezja romantyczna znów zaczęła opływać krwią, słowa wiersza „Do matki Polki” ożyły, niestety znów stały się naoczne.

Skompromitowana przez schyłkowe mieszczaństwo „poezja narodowa” wśród walki z barbarzyńskim wrogiem odzyskiwała dawny blask, przechodziła w usta i w ręce ludu.

Podobnie Wiktor Hugo, wzgardzony przez wyznawców tak zwanej czystej poezji, odzyskał we Francji swe wielkie imię. Pojęciu poety narodowego, pojęciu wynaturzonemu w zachodzącym we krwi wojen i rozbojów kolonialnych słońcu burżuazji, przywrócona została godność.

Poeta narodu tworzącego nowe formy życia nie może i nie powinien czerpać bezkrytycznie z dziedzictwa przeszłości; teraźniejszość i przyszłość jest jego dziedziną. Najlepsza nasza poezja wyprzedzała zawsze swoją współczesność.

Norwid mówił o poecie jako o organizatorze wyobraźni narodowej. Jeśli trudno nam przyjąć pojęcie wyobraźni w oderwaniu od całości kultury narodowej, łatwiej ocenić poetycką próbę usprawiedliwienia oryginalności indywidualnej na tle tradycji wiersza polskiego, tak jak Norwid ją pojmował w poemacie „Tęcza”:

„Wstęp wpierw uczynię, by
mnie lekkie słowo
Nie pomówiło gdzie o profanację
Mowy, że polską ja konchę
perłową
Zdrabniam na fraszki, na
improwizację,
W kramarne cacka łamiąc ją
i liche
Zamiast pielgrzymiej tuniki
upięciem
Zdobić i w ślady za wieszczów
pójść księciem,
Majestatyczne, a nikłe i ciche.
Nie! Kochanowski Jan co nam
kołyskę
Dawidowymi psalmy ośpiewywał,
Adam, którego dni nam były
bliskie,
I Zygmunt, który mnie, jak wy,
widywał,
Ni ty, Anhelli, sybirski poeto,
Dziś w niewidzialnym sejmie
wziąwszy krzesło
Swego mi tutaj nie rzucicie
„veto”!

Norwid wybrał tu z poezji narodowej to, co odpowiadało jego katolicyzmowi, jego przekonaniom i poglądom politycznym. Właśnie ten wiersz potwierdza znakomicie zdanie o sprawiedliwej tendencyjności, z jaką musimy odnosić się do tradycji literackiej. Dla nas w tradycji wartość trwałą ma to, co służyło postępowi, rewolucji, wyzwoleniu człowieka.

Byłoby rzeczą nierozsądną ograniczać się do wielkiego przykładu poetów realizmu romantycznego. Zarówno poezja Jana Kochanowskiego, jak poezja wieku oświecenia, niektóre utwory Konopnickiej, Lenartowicza, Norwida i wielu innych, poezja ludowa i pieśń rewolucyjna — całe to dziedzictwo nie dość jeszcze znane i uporządkowane, może służyć poecie współczesnemu pomocą, o ile, oczywiście, ma w sobie dość siły twórczej, by umieć dla swoich współczesnych celów wykorzystać to, co niegdyś było żywą, aktualną, walczącą sztuką.

Liryka w tym znaczeniu, w jakim pojęcie to przekazane zostało nam przez symbolizm i jego dalsze konsekwencje, coraz bardziej wysublimowane, „oczyszczone z brudu życia”, nie może wystarczyć poecie współczesnemu. Jest już chyba czas, by przywrócić liryce jej dawne bogate i obszerne znaczenie.

Powinniśmy wprowadzić na nowo do poezji elementy satyryczne, dydaktyczne, nie bójmy się formy felietonu lirycznego, gawędy, dialogu. U największych poetów przeszłości formy te znajdujemy w sąsiedztwie, lub w zmieszaniu z najbardziej lotną liryką.

Mickiewicz, Goethe, Heine, Puszkin mogą służyć przykładem i w tym względzie. W nowszych czasach Majakowski, idąc śladem Niekrasowa, wprowadził ten rodzaj do swojej poezji.

Oczywiście proszę nie mieszać tych spraw z jakimś „dążeniem do klasyczności”, powrotem do form przeżytych i strawionych.

W fałszywą klasyczność, to znaczy powierzchowne przejęcie czyli naśladowanie stylu dawnych poetów, popaść może łatwo poeta nie mający ani dość silnej indywidualności, ani dość żywego stosunku do współczesności. Wtedy czerpanie z głębokich źródeł tradycji grozi utonięciem. Ale według znanego przysłowia — „Co ma wisieć, nie utonie”. Cokolwiek byśmy powiedzieli, poezja musi być nowa, odkrywcza, na wskroś współczesna, to jednak nie znaczy, aby dziedzictwo kulturalne, a więc także poetyckie, miało być nam obojętne.

Jak wiadomo z rozważań Lenina, klasa robotnicza nie może od razu stworzyć nowej kultury, musi oprzeć się na dziedzictwie kulturalnym przeszłości. Podobnie klasyczna już formuła, mówiąca o treści socjalistycznej w narodowej formie, przyznaje każdemu narodowi właściwy mu wyraz. Określić ściśle, czym jest ta forma narodowa w sztuce, nie jest rzeczą łatwą.

Gdy chodzi o poezję, to niewątpliwie forma jej związana jest najściślej z językiem. Rodzi się dzisiaj dużo wierszy, które na skutek zaniedbania językowego i jakiejś zupełnej bezpłciowości kształtu nie są wierszami polskimi, gdyż w ogóle nie są wierszami w pełnym tego słowa znaczeniu. Wolę oszczędzić przykładów, ale nie mogę powstrzymać się od zacytowania charakterystycznego sloganu, który niedawno przeczytałem, umieszczonego na miejscu widocznym, dla zbudowania obywateli, sloganu takiej treści:

„Gdy chcesz siebie i kraj
wzbogacić,
Chroń się przed pryszczycą,
chorobą pyska i racic.”

Czyżby niektóre pegazy były dotknięte tą chorobą?

Chcę się tu jednak zastrzec, że nie podzielam poglądu niektórych krytyków na współczesną poezję naszą, jakoby miała być gorsza od naszej dzisiejszej prozy. Przeciwnie. I w ogóle sądzę, że generalizowanie tego rodzaju nie jest celowe ani słuszne. Widzę sporo talentów wśród młodych poetów. To prawda, że są również objawy zasmucające. Dla naszego zagadnienia jest to o tyle ważne, że trudno mówić o narodowej formie wiersza, gdy poeta lekceważy kardynalne prawa składni, sensu logicznego, gdy po prostu bredzi. Wybitne utwory poetyckie zawsze nacechowane są indywidualnością poety i języka narodowego. To zapewne miał na myśli Słowacki, pisząc:

...płaszcz na moim duchu był nie
wyżebrany,
Lecz świetnościami dawnych
moich przodków świetny.

Przy największych nawet różnicach i niezależnie od epoki w której powstały, jest coś wspólnego w utworach poetów jednego narodu. Jest to nie tylko znamienny dla danego języka chód wiersza, ale także związana z charakterem narodu atmosfera, barwa nalewająca jego poezję. Poezja jest w wyższym stopniu niż proza tworem językowym, w tym znaczeniu, że zrośnięcie treści pojęciowej i wyobrażeniowej z mową jest tu bardziej jeszcze ścisłe i nierozłączne. Stąd trudności przekładu poetyckiego, w którym zatracając barwę i temperaturę oryginału, zatracamy wszystko — niezupełnie tak jak w prozie, która nawet w słabym przekładzie zachować może wiele ze swojej materii znaczeniowej.

Geniusz językowy Słowackiego, nawet na najbardziej zależnych od cudzych pomysłów dziełach, wybijał tak wyraziste piętno, że odrywał je od pierwowzoru. Można mówić o indywidualnym toku lotnej arielicznej poezji Słowackiego, o ciężkim, podobnym do lotu orła, ważeniu się wiersza Mickiewicza, o melancholicznym toku trzynastozgłoskowca Malczewskiego, a przecież poznamy zawsze wspólny tym poetom koloryt ich epoki i zarazem jest w tych utworach jakiś

(Dokończenie na str. 4-ej)

MARIA JANION

Spór o Mickiewicza



Stefan Żółkiewski

Ukazanie się książki Stefana Żółkiewskiego pt. „Spór o Mickiewicza” stało się poważnym wydarzeniem w naszym życiu naukowym i literackim. Pierwsza — tak szeroko zakrojona próba rewizji poglądów tradycyjnej mickiewiczologii, próba nowego nakreślenia wizerunku największego poety polskiego wywołuje ogromne zainteresowanie i wzbudzi — z pewnością — dalsze spory. Książkę Żółkiewskiego tym bardziej warto gruntownie przedyskutować, że ma ona do spełnienia także odpowiedzialne zadanie organizacyjno-naukowe. Wyznacza ona tory dalszych badań naukowych nad twórczością Mickiewicza, których rezultaty powinniśmy zbierać w roku 1955 — Roku Mickiewiczowskim „Nowa Kultura” otwiera swe łamy dla dyskusji nad „Sporem o Mickiewicza”, licząc, że wezmą w niej udział naukowcy i pisarze, nauczyciele i czytelnicy.

Od kilku już lat toczy się w naszej polonistyce decydująca walka o rewindykację postępowej tradycji literackiej, przywłaszczonej i zafałszowanej w ciągu wieków przez klasy panujące. W ostatnim stuleciu wybuchał niejeden gwałtowny „spór o Mickiewicza”. Zbliżająca się setna rocznica śmierci poety, przypadająca na rok 1955, powinna przynieść ostateczne i w pełni udokumentowane rozstrzygnięcia tego wieloletniego sporu, wyczerpujące oświetlenie i wielostronne przyswojenie narodowi najcenniejszego ogniwa myśli i działalności minionych pokoleń.

150-lecie urodzin Mickiewicza, które przypadło na okres 1948/49, obchodziliśmy wówczas, gdy marksistowskie literaturoznawstwo w Polsce stawiało dopiero pierwsze kroki, gdy uczyło się poznawać i atakować wroga, uświadamiać sobie palące potrzeby badań. Książka H. Szypera szkicowała najogólniejsze zarysy nowego wizerunku Mickiewicza — mówiła o demokratyzmie i ludowości, kładła nacisk na obraz burzliwego żywota działacza politycznego. Piękna powieść M. Jastruna, przekazując wiedzę o trudnym i twórczym życiu wielkiego poety, nie stawiała sobie zadań naukowych. Rodząca się marksistowska nauka o literaturze nie mogła jeszcze wiele po wiedzieć na ten temat. Była to konieczna konsekwencja etapu jej rozwoju. Pochłaniała ją żmudna praca nad przyswojeniem sobie metody i zarysowaniem centralnych problemów badawczych polskiej historii literatury. Nawet niewątpliwie nowatorskie, chociaż nie pozbawione niedociągnięć, interpretacje niektórych utworów Mickiewicza dokonywane przez K. Budzyka, były bardziej sprawdzianem możliwości metody, niż planowym podjęciem problematyki mickiewiczowskiej. W tych warunkach ubiegła rocznica przyniosła — oprócz wymienionych prac Szypera i Jastruna — już tylko drobiazgi i przyczynki, nie sięgające do sedna twórczości Mickiewicza.

Inną sytuację obserwujemy obecnie, gdy niewiele już czasu dzieli nas od roku 1955, który obok wielkiego święta naszej kultury, święta Mickiewicza, przyniesie całemu życiu polskiemu podsumowanie zdobyczy sześciolatki i otwarcie nowego okresu zwycięskiego trudu dla socjalizmu. W pierwszych latach sześciolatki postępowa polonistyka dokonała ogromnego wysiłku naukowego, organizacyjnego i wychowawczego; dziś może już podejść do zadań Roku Mickiewiczowskiego planowo, z przekonaniem, że zdoła wypełnić rzucone przed laty wezwanie Bolesława Bieruta — „wydobyć, odsłonić i uwypuklić rzeczywiste, demokratyczno - ludowe podłoże społeczno - ideologiczne twórczości Mickiewicza, ziścić w pełni Jego najgłębsze marzenia, udostępnić Jego dzieło masom ludowym”. Do podjęcia zadań Roku Mickiewiczowskiego przystępujemy bogaci w doświadczenia kilku lat zespołowej pracy nad literaturą romantyzmu, mamy już za sobą pierwszy marksistowski zarys syntetyczny twórczości Mickiewicza — niedawno opublikowaną książkę Stefana Żółkiewskiego pt. „Spór o Mickiewicza” *). Przedyskutowanie jej osiągnięć i proponowanych przez nią rozwiązań stanowić musi pierwszy etap prac nad przygotowaniem wyczerpującej, historyczno-literackiej syntezy wiedzy o poecie.

Książka Stefana Żółkiewskiego odzwierciedla okres przełomu w naszej polonistyce, który nastąpił po przemyśleniu wniosków z prac Stalina o językoznawstwie i ze wskazań VI Plenum KC PZPR. Sygnalizuje ona przezwyciężenie błędnych koncepcji początkowych lat „sporu o metodę”, gdy zostawialiśmy w rękach reakcyjnych historyków pierwszoplanowe postacie naszej literatury, licząc na rewolucyjne odkrycia wśród pisarzy drugorzędnych. Żółkiewskiemu nie zbrakło odwagi do zaatakowania potężnego gmachu idealistycznej mickiewiczologii, do podjęcia największego tematu naszej historii literatury. O tradycyjnym literaturoznawstwie można przecież powiedzieć, że istniało głównie dla interpretacji twórczości Mickiewicza. W tej dziedzinie powstawały najoryginalniejsze prace, na użytek mickiewiczologii tworzono najambitniejsze koncepcje metodologiczne (Chrzanowski, Z. Łempicki, Kleiner). Każdy polonista uważał za honor i obowiązek dorzucić choćby drobny przyczynek do wiedzy o Mickiewiczu. „Spór o Mickiewicza”, dając nową interpretację najdonioślejszego zjawiska naszej tradycji literackiej, podważył tym samym twierdzenia burżuazyjnej nauki w punkcie dla niej decydującym.

Książka Żółkiewskiego jest wyrazem przełomu w naszej nauce o literaturze także i dlatego, że stanowi świadectwo wyznaczenia właściwego miejsca dla zainteresowań metodologicznych, które w pierwszym etapie rozwoju polonistyki musiały się znajdować z konieczności w centrum uwagi badaczy. Ustala ona słuszne proporcje zainteresowań teoretycznych i badań materiału historycznego. Koncepcja uprawiania metodologii badań nad literaturą, jako zamkniętej, spekulatywnej gałęzi wiedzy (w czym niewątpliwie przejawiały się wpływy odżywających wśród pewnej części naszych polonistów tendencji neopozytywistycznych) od dawna już zastąpiło właściwe rozumienie zadań literaturoznawcy. Niemniej jednak właśnie Stefan Żółkiewski reprezentuje wśród naszych literaturoznawców najwyższy poziom teoretycznej świadomości historyka, największą umiejętność uogólniania i wysnuwania daleko idących wniosków z pracy badacza, zgłębiającego konkretne dzieła literackie. „Spór o Mickiewicza” — który wyznaczając nową periodyzację twórczości Mickiewicza, zdołał zawrzeć twórczą koncepcję całej epoki literackiej, zdołał uchwycić zasadniczą dynamikę ideowego życia okresu — jest przykładem tego twórczego powiązania wiedzy i odkrywczości historyka literatury z szerokimi uogólnieniami teoretyka.

Praca Żółkiewskiego ma swoisty charakter — nie jest wyczerpującym monograficznym zarysem twórczości Mickiewicza, jak i nie jest, z drugiej strony, publicystyczną polemiką z tradycyjnym literaturoznawstwem, jak to, w zbytniej niewątpliwie skromności, chce zasugerować autor we wstępie do książki. Jest jednocześnie czymś mniej i czymś więcej. Nie przynosi szczegółowego, pełnego omówienia żadnego z etapów twórczości Mickiewicza, nie daje też — wbrew możliwym sugestiom tytułu systematycznej polemiki z wszystkimi kanonicznymi ujęciami burżuazyjnej mickiewiczologii. Książka rozbija to tylko, co przeczy bezpośrednio podstawowym zrębom marksistowskiej wiedzy o twórczości pisarza; rozwija te tylko elementy własnej koncepcji, które niezbędne są do zarysowania planu całości — ale jednocześnie jakby „mimochodem” przewraca tradycyjną koncepcję życia ideowego i literackiego pierwszej połowy XIX wieku, godzi w najważniejsze tezy przekazane nam przez burżuazyjną humanistykę. Żółkiewski „na marginesie” twórczości Mickiewicza zdołał nie tylko zarysować przekonywający obraz walk ideowych półwiecza prawie naszej historii, nie tylko „mimochodem” zarysował kierunek badań nad Słowackim i Goszczyńskim, Dembowskim, Kraszewskim, Rzewuskim, Krasińskim i Zaleskim. Nie będą mogli przejść obok książki także nasi specjaliści od literatur obcych okresu romantyzmu. „Nawiasowe” uwagi o „sternizmie”, „werteryzmie”, o recepcji Byrona, nade wszystko zaś zupełnie nowatorskie koncepcje związków ideowych i literackich Mickiewicza z dekabrystami, dorzucają nowe fakty i nowe interpretacje do wiedzy o społecznej treści tych wybitnych zjawisk kultury europejskie oraz ich historycznej roli w życiu ideowym epoki. Książka Żółkiewskiego może być traktowana jako trwały i mocny fundament naszej wiedzy o literaturze pierwszej połowy XIX wieku, położony na gruzach wrogich, obcych dalszemu rozwojowi kultury socjalistycznej narodu pojęć o najcenniejszej cząstce tradycji literackiej.

Gorący, bojowy ton książki Żółkiewskiego wywołał już znamienny rezonans u przeciwników marksizmu. Przechwytując sformułowania wstępu autorski, ale nadając im pogardliwy lub pobłażliwy odcień wyższości „obiektywnego”, uduchowionego mamuta wobec spraw ludzi żywych, walczących broniących wartości cenionych i drogich, puszczono w ruch słóweczko „publicystyka” i drugie — niemniej zabójcze w swych intencjach — słóweczko „ciekawe”.

Tak, niewątpliwie książka Żółkiewskiego jest zjawiskiem „ciekawym”; pokazuje bowiem, jak polemika o sprawy sprzed stu lat, utopione w mamrocie uczonej celebry, zaklajstrowane nudą obchodowej odświętności, mogą służyć dzisiejszemu życiu, mogą współdziałać w budowie kultury nowego człowieka socjalizmu. Pokazuje też jak żywe i pasjonujące — i właśnie bliskie — są toczone przed stu laty walki i o nasze dzisiaj.

Czy książka Żółkiewskiego jest publicystyką? — tak, o ile będziemy przez to rozumieć utwór bliski sprawom współczesności, walczący o jej sprawy w każdej dziedzinie twórczej myśli człowieka. Nie jest nią w sensie, jaki przydają temu pojęciu nasi wrogowie, nazywający „publicystyką” koncepcje ogólnikowe, „tendencyjne”, nie oparte na wnikliwym i rzetelnym badaniu materiału, koncepcje wyłącznie polemiczne, pozbawione wagi twórczego pozytywu. Książka Żółkiewskiego w tej specyficznej postaci, jaką nadały jej wymagania przeżywanego przez nas obecnie etapu walki o Mickiewicza i nową wiedzę o nim odgrywa właśnie rolę konieczną dla dalszego rozwoju naszych poszukiwań: podsumowuje i wyciąga wnioski ze spraw rozstrzygniętych, rozwiązuje problemy dostępne już naszej wiedzy o epoce i pisarzu, ustala koncepcję całości, wytycza zagadnienia, które stać się muszą przedmiotem szczegółowych badań w najbliższym czasie. „Spór o Mickiewicza” ujawnia największe zalety naukowego talentu Żółkiewskiego — żarliwość, ofensywność, celność argumentów świetnego polemisty, umiejętność teoretycznego uogólnienia szczegółowych interpretacji i szerokiego, całościowego widzenia epoki, pomysłowość i trafność analizy, głębokie umiłowanie wielkiej tradycji literatury narodowej.

Najistotniejsze tezy „Sporu o Mickiewicza” stanowią miarę dojrzałości naszej polonistyki w stawianiu i rozwiązywaniu problemów historii literatury pierwszej połowy w XIX. Zasadniczym pozytywem książki jest ostateczna likwidacja socjologistycznego sekciarstwa w traktowaniu charakteru i znaczenia twórczości Mickiewicza. Żółkiewski, wyciągając konsekwencje z obrad VI Plenum KC PZPR i prac Józefa Stalina o językoznawstwie ukazał Mickiewicza jako poetę narodowego. Przełamał w

*) Stefan Żółkiewski, Spór o Mickiewicza. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Wrocław, 1952. Studia historyczno-literackie IBL, tom XVI, s. 276.

ten sposób ciasną socjologistyczną koncepcję „poety drobnej szlachty" (zwłaszcza grupy gorzej płatnych urzędników i oficerów od kapitana w dół!), koncepcję poety „wyrastającego na fali kryzysu zbożowego" itp Nie zacierając klasowych i historycznych ograniczeń sztuki mickiewiczowskiej, nie poddając się sugestiom nacjonalizmu, Żółkiewski umiał ukazać jej postępową, ludową treść, jej swoiste narodowe oblicze. Szczególnie wyraziście ten kierunek badań Żółkiewskiego zarysował się przy analizie „Pana Tadeusza", opartej w dużym stopniu na prześledzeniu stosunku tego utworu do tradycji sztuki narodowej. Ten typ badań, przynoszący tak twórcze wyniki w radzieckiej puszkinologii, powinien zająć niewątpliwie czołowe miejsce w dalszej pracy nad twórczością Mickiewicza. Należy ukazać i zainterpretować odbicie procesu kształtowania się burżuazyjnego narodu polskiego w literaturze okresu. Trzeba bliżej sprecyzować treść przejętego z pracy Żółkiewskiego ogólnikowego pojęcia „ludowa koncepcja rzeczywistości", która odgrywa przecież bardzo istotną rolę w badaniach nad ludową treścią twórczości Mickiewicza.

Drugim doniosłym osiągnięciem książki Żółkiewskiego jest opracowanie nowatorskiej periodyzacji całej literatury polskiej okresu romantyzmu, a w szczególności — twórczości Mickiewicza. Dorobek nauki burżuazyjnej, która rzadko z pełną świadomością podchodziła do swoich zadań metodologicznych, jest w tym zakresie dość nikły, albo też tak przesiąknięty subiektywistyczną dowolnością (od „dziejów Gustawa" do „dziejów Konrada"; od prometejskiego buntu do „ukojenia w Bogu"), że trudno podejmować tu w ogóle dyskusję na płaszczyźnie naukowej. Żółkiewski w swojej książce zastosował do warunków polskich przyjętą w nauce radzieckiej (a szczególnie w pracach najwybitniejszych znawców epoki Puszkina — Błagoja i Mejłacha) znakomitą periodyzację Lenina (z artykułu „Pamięci Hercena"). Lenin wyróżnił trzy etapy w rozwoju dziewiętnastowiecznego rosyjskiego ruchu rewolucyjnego: etap oderwanej od mas ludowych „rewolucji szlacheckiej", etap rewolucyjno - demokratycznej ideologii przewrotu agrarnego i etap rewolucyjnego ruchu proletariatu. Te trzy ogniwa decydują o obliczu wieku XIX w większości krajów położonych „na wschód od Łaby". Okres, polskiego romantyzmu obejmuje oczywiście tylko dwa początkowe etapy z trzech wyodrębnionych przez Lenina. Dostrzeżenie specyficznych różnic między rewolucyjnym ruchem rosyjskim i polskim skłoniło Żółkiewskiego do uzupełnienia tej ogólnej periodyzacji ideowych dążeń epoki na gruncie polskim jeszcze etapem niekonkretnych, ograniczonych charakterem ruchu, kształtujących się pod wpływem zadań walki narodowo-wyzwoleńczej tendencji burżuazyjno-demokratycznych (klasyczna realizacja w programie Towarzystwa Demokratycznego Polskiego; przejawy tego stanowiska śledzimy u większości pisarzy epoki po 1830 r.). Etap ten reprezentuje nierównie większą dojrzałość społecznego programu niż okres samotnictwa „rewolucji szlacheckiej", nie osiąga jednak nigdy konsekwencji ideologii rewolucyjno - demokratycznej i jej bezkompromisowego hasła rewolucji agrarnej. Nie da się on jednocześnie na ogół podciągnąć pod tendencje zbliżone do liberalizmu i stanowi na pewno jedno z ogniw naszej *rewolucyjnej* tradycji historycznej. Decyzję Żółkiewskiego należy uznać za trafną, nasuwa ona bowiem możliwości precyzyjnej i bogatej analizy ideowych przejawów polskiego romantyzmu.

Szczególnym bogactwem interpretacji i uogólnień odznaczają się te początkowe partie książki Żółkiewskiego, które przynoszą omówienie odbicia we wczesnej literaturze romantycznej pierwszego etapu rozwoju naszego 19-wiecznego ruchu rewolucyjnego, etapu, gdy „protestuje znikoma mniejszość szlachty, bezsilna bez poparcia ludu" (Lenin, t 19, s. 336). Analiza romantyzmu przedlistopadowego i ówczesnej twórczości Mickiewicza — to trwały wkład Żółkiewskiego w rozwój naszej wiedzy o literaturze; pouczający pokaz subtelnej precyzji metody marksistowskiej. Jednocześnie w „Sporze o Mickiewicza" przejawiają się pewne niedociągnięcia tak w teoretycznym ujęciu problemów rewolucyjnej demokracji, jak i w praktycznej analizie ich przejawów w twórczości Mickiewicza. Do najbardziej pobieżnych partii książki Żółkiewskiego należy np. rozdział analizujący pozycje ideowe Mickiewicza w „Trybunie Ludów". Oczywiście duża część winy spada tu na naszych historyków, którzy dotychczas nie dostarczyli polonistom wyczerpującej interpretacji ruchów rewolucyjnych 1846 — 1848 i stanowiska polskich działaczy wobec wypadków Wiosny Ludów. Niejednokrotnie spotykamy się w książce z sądem, że stanowisko rewolucyjno - demokratyczne zdecydowanie przerasta program konsekwentnie burżuazyjno-demokratyczny (szczególnie ostro sformułowane na s. 182-3), chociaż jednocześnie autor nie precyzuje, w jakich elementach uwidocznia się to przerastanie. Zagadnienie to nie zostało jeszcze dostatecznie jasno opracowane teoretycznie, o czym świadczą wciąż powtarzające się spory wśród badaczy radzieckich (np. Porszniew — Birinkowicz). Wydaje się jednak niewątpliwe, że *obiektywnie* program rewolucyjno - demokratyczny nie może przerastać pozycji *konsekwetnej* rewolucji burżuazyjno demokratycznej (tzn. u nas rewolucji agrarnej przeprowadzonej pod hegemonią chłopstwa), gdyż odrzucenie takiego stanowiska kazałoby przyznawać tendencjom rewolucyjno demokratycznym dojrzałość proletariackiego ruchu rewolucyjnego i socjalistyczną świadomość. Jednocześnie nie ulega wątpliwości, że idee rewolucyjno - demokratyczne występują często wespół z koncepcjami socjalizmu utopijnego i wówczas, w utopijnych wizjach, przeskakujących konieczne ogniwa rozwoju historycznego, mogą wybiegać poza ramy programu burżuazyjno - demokratycznego. Nie ma to jednak wpływu na obiektywną, historyczną możliwość ich realizacji. Precyzyjne i bogate określenie charakteru ideologii rewolucyjno-demokratycznej to jedno z centralnych zagadnień dyskusji nad ideowym obliczem romantyzmu; opracowanie tego problemu musi zająć jedno z czołowych miejsc w przygotowaniach do Roku Mickiewiczowskiego.

Być może — jako konsekwencja tego teoretycznego niedopracowania występuje w książce Żółkiewskiego określenie „plebejskiego" skrzydła, „plebejskiego" nurtu polskiego romantyzmu. Autor sam zdawał sobie sprawę z „nieostrości" tego centralnego dla jego zasadniczej koncepcji określenia, skoro używa go wymiennie z cudzysłowem lub bez. Trudno bowiem precyzyjnie ustalić, jaki nurt kultury ma tutaj autor na myśli: wyrażający dążenia chłopskie? czy też w ogóle współczesne dążenia postępowe i demokratyczne? Określenie, posiadające sprecyzowane znaczenie w wieku XVII czy XVIII, w stosunku do pierwszej połowy XIX wieku nasuwa duże wątpliwości co do charakteru, a przede wszystkim roli historycznej jego rzeczywistych desygnatów. Poza tym zaś przymiotnik „plebejski" niepotrzebnie zwęża charakter antagonistycznego nurtu kultury w społeczeństwie burżuazyjnym, który w ogólności można za Leninem nazwać „demokratycznym"; „plebs" — lud wiejski odgrywa w nim podówczas bynajmniej nie przodującą rolę. Jeśli zaś Żółkiewski używa terminu „plebejski" w znaczeniu „ludowy", to i tak ten ogólnik wymaga historycznej precyzji.

Trzecim wartościowym osiągnięciem książki Żółkiewskiego jest konsekwentne przeprowadzenie i zilustrowanie tezy, że walka o realizm jest podstawą rozwoju artystycznego literatury okresu romantyzmu, że zobrazowanie tej walki stanowi centralny problem wszelkich badań nad twórczością Mickiewicza. Żółkiewski oparł się tutaj na przeniesionych na grunt estetyki przez Mejłacha tezach Żdanowa z dyskusji nad książką Aleksandrowa. Szczególnie interesująco wypadła analiza III części „Dziadów" pod kątem obrazu zmagań tendencji realistycznych i arealistycznych Jednak cały szereg zagadnień w tym zakresie domaga się nadal wyjaśnienia. Konieczne jest bliższe sprecyzowanie charakteru realizmu mickiewiczowskiego, ustosunkowanie go do linii rozwoju realizmu krytycznego, ustalenie poglądu na koncepcję odrębnego nurtu realizmu — tzw. „realizmu romantycznego".

Wreszcie dalszym niewątpliwym osiągnięciem „Sporu o Mickiewicza" jest szereg cennych interpretacji szczegółowych, które stanowią duży postęp w rozwoju naszej nauki o literaturze. Doskonałe rezultaty dało szczególnie przenikliwe opracowanie liryków lozańskich jako „narodowych wzorów liryzmu". Opierając się na pewnych szczegółowych spostrzeżeniach Przybosia, uniknął tu Żółkiewski zarówno formalizmu jak i niesprawdzalnych, subiektywnych impresji.

Szczególnie doniosłe znaczenie naukowe, widoczne nawet dla niespecjalisty, mają takie konkluzje Żółkiewskiego, jak odcięcie genezy postępowego romantyzmu od epigonów sentymentalizmu, jak ścisłe rozróżnienie stosunku romantyków do różnych ideowych nurtów Oświecenia, jak nowatorskie ujęcie ideowych i literackich związków Mickiewicza z dekabrystami (przypomnijmy, że nauka burżuazyjna wiadomości o tych kontaktach nazywała „nie pozbawionymi przesady"!), jak bogate zarysowanie politycznego kontekstu „Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego", jak słuszne i głębokie ujęcie genezy „towiańszczyzny". Oczywiście spotykamy też w książce tezy dyskusyjne, budzące sprzeciw, czasem niekonsekwentne. Do takich należą np. niewyjaśnione do końca sprzeczności w ocenie recepcji Byrona (na s. 75 i 103), przecenienie ideowej doniosłości elementów materializmu filozoficznego u liberałów wileńskich w zestawieniu z tzw. „irracjonalizmem" romantyków (s. 30) itp. Teoretycznego pogłębienia wymaga w partiach poświęconych „Odzie do młodości" sprawa sprzeczności między ideologicznym stanowiskiem pisarza, a przerastającą je emocjonalną wymową obrazu artystycznego. Każdy odnajdzie w książce Żółkiewskiego partie bezwzględnie przekonywające i śmiałe tezy pobudzające do krytycznego przemyślenia. A jest to przecież zaleta i przywilej każdej żywej książki.

Maria Janion

BOHDAN CZESZKO

SŁONECZNIK

Henrykowi Tomaszewskiemu

Nie wychodziłem już prawie wcale na ulicę, z obawy, że zostanę zabity. Mieszkałem przy ulicy Krzywe Koło w pustym lokalu, na pierwszym piętrze. Człowiek, do którego mieszkanie należało, wyniósł się za miasto z rodziną, kiedy nadeszła wiosna roku 1944. Dom był stary, wokół maleńkiego podwórka biegła na wysokości pierwszego piętra drewniana galeria zawalona gratami lokatorów. Stały tam zardzewiałe klatki po umarłych ptakach, suche rośliny w doniczkach ze spopielałą ziemią, odarte z płótna leżaki, kulawe krzesła, wózek dziecinny. Panował tu zawsze — nawet w pełni lata — mokry chłód, a dno podwórka pachniało zastarzałą, zieloną wilgocią. Wnętrze mieszkania było zgoła zeszłowieczne. W przedpokoju stał, odlany z żelaza, przyrząd do parasoli z cynową rynienką na wodę. Były ciężkie, podwiązane jedwabnymi sznurami portiery. Wyobrażałem sobie, jak przenikliwe zapachy zalegały wnętrza zamkniętych szaf i komód. Stróżowała meblom gospodyni — pani Zofia, kobieta wysoka, dostojna i piękna jeszcze w jesieni swego życia. Chodziła w pluszowych bamboszach i milczała poza najkonieczniejszą konwersacją. Nigdy nie dostrzegłem w jej bladych niebieskich oczach, którymi spoglądała uparcie w moje oczy, iskry zainteresowania dla mojego życia. Uwalniała mnie od konieczności wychodzenia na ulicę po żywność. Byłem jej za to wdzięczny.

Czas przesiewał się przeze mnie szybko, jak przez dziurawy przetak. Pracowałem dużo, miałem na ukończeniu cykl dużych drzeworytów stanowiących ilustracje do Pamiętników Jana Chryzostoma Paska. Tekę rysunków do pism Reya odniosłem niedawno wydawcy, który kupował grafiki, lokując w nich zarobki z handlu walutami i złotem. Wyzyskiwał mnie — dziś to wiem, ale i tak nic z tego nie wyszło, bo wszystko spłonęło w powstaniu. Przeżyłem zimę i przedwiośnie 44 roku. Stałem dwa razy z rękami uniesionymi nad głową. Ratowała mnie jakoś moja proteza i dobry niemiecki język. Od tego czasu unikałem wychodzenia na ulicę. Czy można uciekać, kiedy się zamiast sprawnej nogi ma sztywną kłodę, przywiązaną pasami do ciała?

Nerwy moje mimo systematycznej pracy rozklekotały się. Gnębił mnie strach podczas nocnych nalotów lotnictwa radzieckiego. Schodziłem do piwnicy, aby nie wzięli mnie sąsiedzi za ukrywającego się Żyda. Bałem się granatowej policji. Ale schodziłem również dlatego, że grube sklepione łuki, ciosowe kamienie u fundamentów domu i towarzystwo ludzi napawały mnie ufnością. Zauważyłem też od pewnego czasu, że mam lęk przestrzeni. Kiedy zdecydowałem się nad wieczorem wyjść, bywało, że zatrzymywałem się przy wystawie oglądając książki lub stare ryciny, tak bardzo mi ukochane, i później nie mogłem oderwać dłoni od poręczy chroniącej wystawę. Pot zlewał mi ciało. Wielkim wysiłkiem woli pokonując okrutny strach, puszczałem poręcz, co wydawała mi się ostatnią deską ratunku. Tak więc kiedy sumowałem wszystko nocami, nie żywiłem żadnej nadziei na przetrwanie — na zdrowy rozum rzecz biorąc. Przekroczyłem zaledwie czterdziestkę, życie miałem ciężkie, ponieważ byłem ubogi i pełen zawziętości, a „oni" dokonali reszty.

Z początkiem czerwca poszedłem do fryzjera Strzygłem się u niego w ciągu wielu lat, w ciasnym pełnym tytoniowego dymu zakładzie. Bomba ominęła tę razurę i ugodziła sąsiedni dom, a gruzy porosły zielskiem i cienkimi pędami młodziutkich drzewek.

Z ulgą po przebytej drodze zasiadłem w fotelu i podstawiłem głowę pod nożyce, a uszy pod strumień słów. Dobry pan Józef paplał odwiecznym zwyczajem fryzjerskim wiele bardzo i bardzo nieskładnie. Plótł dziwną tkaninę anegdot i przesadnych wiadomości radiowych, szepcząc, szeptem chichocząc pytał: dobre, co? tam, gdzie po prostu była kropka w zdaniu. Słuchałem — maścił oliwą moje biedne nerwy. Myślałem: „Tylko długoletni nawyk każe mi strzyc uwłosienie i golić podgardle".

Wtedy wszedł do zakładu mały, może ośmioletni chłopiec, którego wygląd mówił o najtragiczniejszej nędzy. Był obuty w rodzaj sandałów sporządzonych z opony i sznurka. Był odziany w uszyte z worka spodnie i wojskową, zapewne węgierską, bluzę złachaną do ostatecznych granic. W dłoniach wyciągniętych przed siebie niósł puszkę po konserwach. „Czego" — burknął pan Józef — „w piątki dajemy"...

„Chciałem wody" — powiedział chłopiec i jeszcze bardziej do przodu wysunął puszkę. „Weź z kran w kącie" — powiedział pan Józef i dopóki chłopiec dźwięknąwszy dzwonkiem u drzwi nie wyszedł, patrzył za nim. — „Taki w oczach ukradnie" — powiedział. Kiwnąłem głową. Istotnie, temu chłopcu mogło być wszystko jedno. Po chwili chłopiec wrócił zwiastując swe wejście cichym, perlistym dzwonieniem. „Chciałem jeszcze wody". Napełnił puszkę i niosąc ją ostrożnie, zapatrzony w chybotliwą powierzchnię płynu, wyszedł, aby za chwilę znów powrócić. Cichutki głos dzwonka nie niepokoił mnie, lecz przeciwnie uspokajał, tak samo jak złote światło zachodzącego słońca, padające przez szybę opatrzoną przesadnie krętym napisem „Fryzjer damsko-męski".

„Znów po wodę? Po co ci tyle wody? Nie żałuję, ale po co?" — powiedział pan Józef. „Ukradli klucz od hydrantu" — powiedział mały. — „Dozorca mówi: „to ty ukradłeś" i wody nie chce dać Po co mi klucz? Ja zasiałem na gruzach pięć słoneczników. Wyrosły — trzeba podlewać".

Stało się po tych słowach ciepło i radośnie we wnętrzu razury Pan Józef sięgnął z uśmiechem po pulweryzator z wodą kolońską i kręcąc głową, przyglądał się malcowi napełniającemu puszkę. Wymienili uśmiechy. Wychodząc, chłopiec zatrzymał się przy moim fotelu i podniósł twarz ku górze, patrząc w oczy pana Józefa, skrapiającego mi głowę. „Niech pan popsika" — poprosił zadzierając jeszcze wyżej nos. Pan Józef pocisnął kilka razy pompkę pulweryzatora — otoczył głowę chłopca obłoczkiem maleńkich pachnących kropel. „A a a" — westchnął błogo malec, wdychając zapach i cichutko zadzwoniwszy, wyszedł.

Przetrwałem okupację, choć przedtem — na zdrowy rozum rzecz biorąc — nie żywiłem żadnej nadziei. Wielekroć myślę o tym ogrodniku, ponieważ — jak sądzę — obudził na nowo prostą miłość do życia, która była obumarła we mnie.

Lub może było inaczej. Może to za sprawą owego malca, bunt przeciwko własnej słabości i zbrodni, co mnie otaczała — aktywny sprzeciw narastający we mnie stopniowo uświadomiłem sobie

Bohdan Czeszko



Rysował Henryk Tomaszewski

Współczesność i tradycja

(Dokończenie ze str. 3-ej)

mniej lub bardziej uchwytny, wspólny dla wszystkich okresów poezji polskiej, ton, który nazwać, znaczyłoby wynaleźć najtrudniejszą do oddania w słowach formułę uogólniającą i zarazem odróżniającą, jak ów ton mało uchwytny dla laika, ton, który różni muzykę Beethovena od Bacha i te obie od muzyki Szopena.

Zdaję sobie sprawę z tego, że określenia moje stanowią zaledwie jakieś przybliżenie do prawdy Niestety, nie potrafię tych spraw, z natury swej mało uchwytnych, zdefiniować.

Chciałbym w związku z tym przypomnieć znaną dowcipną strofkę Majakowskiego z wiersza o Puszkinie:

„Niejeden przypuszczaliśmy na lirykę atak,
że ściślej, nagiej mowy czas nastał.
A poezja — to jednak bestia rogata —
Jest, no bo jest, no i basta!"

Róża Luxemburg w jednym ze swych listów, pisanych z więzienia, mówi o poezji: „To tylko muzyka słów i rzadki czas tego wiersza kołysały mnie często do spoczynku. Sama nie wiem dlaczego, ale zawsze w chwilach wielkiego podniecenia lub wzruszenia, piękna poezja, zwłaszcza Goethe, wywiera na mnie głęboki wpływ i jest to niemal oddziaływanie fizjologiczne, niby jakiś rozkoszny napój, który piję spragnionymi wargami, który mnie orzeźwia, a duszę i ciało uzdrawia".

Poezja może działać tak lub inaczej, to wszakże pewne, że oddziaływanie jej nie podobna bezpośrednio określić i nazwać. Stąd też konieczność szukania zbliżeń, porównań, okrężnego opisu.

Jak na przykład wytłumaczyć komuś kto zna poezję Mickiewicza z przekładów (jak wiadomo mało intensywnych i niewiernych), na czym polega jedyna i niepowtarzalna uroda jego mowy?

Tylko wyjątkowe poczucie języka pozwala tłumaczowi znaleźć dla obcego tonu i toku wiersza właściwy odpowiednik, bez kaleczenia mowy.

Oczywiście, język to nie zastygła gramatyka i słownik Nowe formy życia społecznego i politycznego wprowadzają do języka i literatury znaczne zmiany, otwierają w słowach nowe perspektywy Klasa robotnicza i chłopstwo, wchodząc na widownię życia kulturalnego wnosi również akcent swego środowiska w mowę ogólnonarodową.

Mowa poezji nie jest zamkniętą, gładko utoczoną kulą Przeobrażenia w życiu narodu rozbijają to, co ustaliło się, zmartwiało, stało się konwencją nic już nie wyrażającą Forma, do której wlewa się nową gorącą treść, rozszerza się, rozpiera swoje ściany, jest w ruchu jak tłok w cylindrze maszyny Trudno ten ciągły ruch i przemienność formy ująć w definicję, ale to nie znaczy, by przemiany te miały charakter „mistyczny". Naród żyje, rozwija się, a z nim żyją i rozwijają się formy jego kultury, które mimo ustawicznych wstrząsów, a nawet przerw, zachowują ciągłość.

O wartości jednak autora stanowi przede wszystkim jego własna wrażliwość, jego osobowość do żadnej innej niepodobna i niepowtarzalna. Może ktoś zapożyczyć świadomie czy nieświadomie te lub inne pomysły — nie to jest jednak najważniejsze lecz ważny jest jego ton, barwa rozpoznawcza i ochronna zarazem. Należy być na wskroś oryginalnym, jak jedyne i niepowtarzalne jest życie jednostki, i należy być wspólnym i czytelnym w granicach wspólnoty narodu i ludzkości Cała tradycja byłaby martwą księgą, gdyby nie napęd naszych serc, który na nowo daje jej życie Refleks nowego życia pada na utwory, napisane niegdyś, stawia je pośród naszej współczesności, wydobywając z nich te treści które są naszym pokrewne i bliskie.

Stosunku do tradycji nie można nauczyć się z książek uczonych ani z opowiadań, ani z polonistycznych badań — nawet [illegible]-owskich! — lecz z doświadczenia, za które nieraz płaci się krwią.

Żyjmy całym naszym mózgiem i sercem we współczesności tworzącej nowe, nie bywałe dotąd formy życia społecznego, a wtedy także zrozumiemy jedynym możliwym zrozumieniem przeszłość tradycję, która niegdyś była również współczesnością, zrozumiemy doniosłość godziny dziejowej w której lud pracujący jako jedyny twórczy spadkobierca przeszłości bierze w posiadanie to wszystko co było najcenniejsze w życiu duchowym dawnej Polski.

Mieczysław Jastrun

Odczyt wygłoszony na posiedzeniu Sekcji Poezji ZLP w Warszawie

STANISŁAW ZIEMBICKI

Wspomnienia z Leningradu

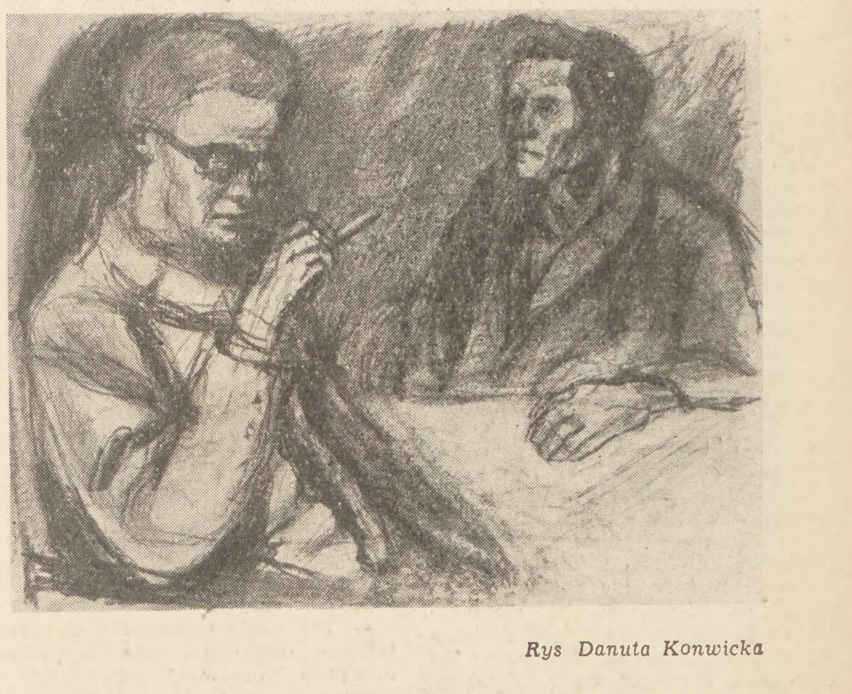
(Fragment poematu)

Tam wciąż pomników twarze rzeźbi
W kronsztadzkich skałach morska sól,
Tam, kiedy chodzisz ulicami,
Wśród ludzi, co dźwigali pieśni,
Wciąż masz nad głową metr powietrza
Przebity tysiącami kul.
Tam każdy zgięty dach i bruk
To miejsce, w którym czas przystanął,
O, gdybym wam powtórzyć mógł
Newę promieniem słońca ranną,
Rozmowy ludzi na ulicach
I w oczach ludzi wzrok Iljicza.
Przebiegłem miasto wzdłuż i wszerz,
Prospekty i zaułki wszystkie
I długo przed Miedzianym Jeźdźcem
Stałem i wracał na to miejsce
Puszkina, Mickiewicza wiersz,
Jak mewa znad Zatoki Fińskiej,
„Newę granitu odział zrąb
I mosty osiodłały wody,
Cienista jest na wyspach głąb,
Ciemnozielone są ogrody"...)*
W ciszy na Placu Dekabrystów
Te słowa bliskie są jak z listu.
Wiek dziewiętnasty wokół stoi
Surowy, granitowy tak,
Że ciągle w tył się spojrzeć boisz,
Gdzie za kratami chodzi Newa —
Nadejdzie ktoś i da ci znak:
Aresztowali Rylejewa...
Iglice złote jak pioruny
Zmoknięte, zdjęte dawno z chmur,
Policzki cerkwi kolorowe,
Kanałów fioletowe trumny,
Grymasy rzeźb, pogięty mur
I nad dachami dzioby sowie.
Milczy Petropawłowska twierdza,
W rzęsistej mgle nie widać nic,
Na moście jakby jamszczyk dzwoni,
Umiera ciągle rżenie koni.
Przebił Puszkina ciepłe serce
„Admiralickiej igły szpic".
Wystarczy jedno zamyślenie,
A mówi kamień, płonie wiatr,
Jakże rozmowne są kamienie
Co spisywały tyle lat,
Każdy odezwie się, opowie,
Gdy się nachylisz nad nim człowiek.
Gdy patrzysz, zaraz czas się cofa,
Powraca głos i wtedy już
Widzisz wśród pysznych, ciemnych róż
Jak się gałązka wije biała —
To pomyślana tutaj strofa
Po Mickiewiczu pozostała.

*) A. Puszkin: „Jeździec Miedziany".

KAZIMIERZ BRANDYS

Obywatel Kuźnar



Rys Danuta Konwicka

Wowym czasie Michał Kuźnar*) był bliski przeświadczenia że tym, co ostatecznie w życiu da mu rady i zedrze go na nice, będzie budowa osiedla Nowa Praga III. Nie miał jasnego pojęcia, w jaki sposób to się stanie, ale że się stanie — nie wątpił. Wiedza o sprawach ludzkich podszeptywała mu nieraz, iż koniec może człowieka zaskoczyć zgoła niespodziewanie, jak gdyby — przynajmniej z pozoru — w pełni jego sił. Na ogół czuł się jeszcze mocny, a mimo to słabł. Słabł w obliczu budowy. On, który w cichości uważał się za skrzyżowanie byka z niedźwiedziem i lisem! Mocny na ogół — tracił siły na jej codzienny, żmudny szczegół. Twardy nieraz jak kamień. I przewidywał — było to głuche przeczucie serca, podobne raczej do zmęczonego westchnienia, niż świadomej myśli — że właśnie ona, niepostrzegalnie lecz nieubłaganie — zgotuje mu koniec. Budowa.

Nie lękałby się, gdyby mógł mieć wiarę w pożytek owej konieczności. Zostawić po sobie namacalny ślad, odcisk swojej dłoni na przyszłym życiu ludzkim, które tu kiedyś wzejdzie — nie byłoby najgorsze. 50 przeżytych lat Kuźnar uważał w duchu za dobrą garść czasu, wydzielona wcale szczodrą ręką. „Żyłem według sumienia" powtarzał sobie nieraz zasypiając, „byli gorsi". Gdzieś wyczytał zdanie jakiegoś poety: „Szczęśliwy, kto wyhodował jedną różę dla swojej ojczyzny". No, co by się nie mówiło, on wyhodował dwie: Bronkę i Antka — młodziutkie, nie całkiem jeszcze rozwinięte różyczki, nowy i piękny szczep Kuźnarów.

Ale trzasnąć bez wyraźnej potrzeby, ot tak, z niczego, bo Rusinowi się uroiło podeprzeć nim, Michałem Kuźnarem, milionową kubaturę swych marzycielskich planów — podobne zrządzenie wypadków przejmowało go żałosną zgrozą. Czuł się starym pniem, który mógł jeszcze pożyć w lesie parę dziesiątków lat, a tymczasem wyrąbano go, ociosano na drewniany stempel, by podtrzymywał swym łbem olbrzymi, kamienny ciężar. Często złorzeczył w myśli Rusinowi.

Pierwszego dnia, gdy przyjechał na budowę, owszem, spodobało mu się nawet. Nabrał otuchy, wciągnąwszy w płuca znajomy zapach desek, wapna i ceglanego pyłu. Zwiedził teren osiedla w otoczeniu inżynierów, funkcjonariuszy Zarządu i Inspektoratu oraz kierowników odcinków. Rozmawiał z robotnikami, zagadywał majstrów, jego dosadne murarskie określenia wywoływały wokół życzliwy, pełen respektu śmiech — jak zawsze umiał gadać z ludźmi, tego się nie zapomina. Na bloku 14-tym — miała tu stanąć szkoła dla dzieci osiedla i położono już betonowe ławy fundamentów — wdał się w przyjacielską pogwarkę ze słynnym przodownikiem Zwierzyńskim, z załogi MDM, przerzuconym na „Nową Pragę III" w celu podwyższenia ogólnego poziomu pracy i wydajności. — No, jakże tam, kolego Zwierzyński? — zażartował Kuźnar — nowe czasy przyszły, kity się już nie wynosi? — Zwierzyński przypatrzył mu się dokładnie i odparł ocierając ręce o spodnie kombinezonu: — Co do tego, to nie, obywatelu dyrektorze... Ale pola do popisu faktycznie tutaj nie ma. — Zwierzyński lubił centralne, reprezentacyjne budowy w śródmieściu i za Wisłą czuł się jakby na wygnaniu. — Będziecie mieli pole, chłopie miłosierny! — zahuczał Kuźnar rozweselony. — Poczekajcie tylko okruszynę! — poszli w stronę następnego bloku, podciągniętego pod dach, by porozmawiać z gromadą tynkarzy i cieśli. Kuźnar przeskakiwał przez deski, brnął w warstwach drutu i blachy; czuł się prawdziwie u siebie, stąpając po owej gliniastej, rozgrzebanej i zaśmieconej ziemi, która nie była ugorem, mimo iż walało się po niej zardzewiałe żelastwo. Inżynierowie z Inspektoratu Nadzoru oprowadzali go po piętrach, pokazując różne typy mieszkań robotniczych, przytaczając co ciekawsze szczegóły związane z bieżącym i ubiegłym okresem budowy, wymieniając nazwiska przodowników i majstrów. Do Kuźnara co raz to podchodzili nowi ludzie, w bluzach spryskanych farbą lub ubrudzonych cementem. Przedstawiali się, ściskał ich ręce, żartowali, niektórzy szli potem już z nimi, przyłączywszy się do inspekcyjnej grupy. Nieznajomy człowiek w butach z cholewami, zapewne ktoś z Zarządu Budowlanego, tłumaczył Kuźnarowi, że na budowie konieczna jest bocznica kolejowa i że złożono już w tej sprawie wniosek z kosztorysem do odpowiednich władz. — Budowa bez bocznicy — powtarzał po raz czwarty tym samym monotonnym głosem — to jak taczka bez koła, towarzyszu dyrektorze. — Kuźnar potrząsał głową, przyznając mu całkowitą rację: budowa bez bocznicy jest jak taczka bez koła — i on tę sprawę pchnie naprzód; lecz w sekundę później słuchał już czyichś uwag na temat projektowanej instalacji dyspozytorskiej, która podobno również była nieodzowna. — Projekt sporządzony, chodzi tylko o zatwierdzenie w Ministerstwie, inżynier Szeling podjął się w ciągu zimy wyszkolić obsługę. Budowa bez takiej instalacji jest jak... — i Kuźnar dowiadywał się tym razem, że budowa bez instalacji dyspozytorskiej podobna jest do dywizji bojowej pozbawionej łączności, z czym zresztą gruntownie się zgadzał. Jednocześnie zauważył, że niski mężczyzna o szpakowatej, potarganej czuprynie, do którego mówiono „panie inżynierze", znowu mu się przypatruje ze wścibskim, trochę bezczelnym zainteresowaniem, skupionym w soczewkach jego potężnych, rogowych okularów. Był w sportowym garniturze z grubej wełny i trzewikach z solidnego juchtu. „Dziwak"... — pomyślał Kuźnar, nie wiedząc czemu, ale z sympatią.

Zwiedzili jeszcze kilka budynków w stanie pełnym, gdzie wykończano urządzenia sanitarne i gdzie do ich grupy przyłączył się zupełnie młody człowiek o wyglądzie studenta, mruknąwszy Kuźnarowi swoje nazwisko i funkcję: starszy inspektor robót techniczno - sanitarnych. — Czołem! Czołem! — zaśmiał się Kuźnar, ściskając mu rękę. Następnie poszli w głąb terenu, ku świeżym wykopom. Robotnicy spoglądali ku nim z dołu, zadzierając głowy z głębokich, żółtawych rozpadlin świeżej ziemi; niektórzy byli rozebrani do pasa, gdyż słońce jeszcze przygrzewało, ten i ów odstawił łopatę. Kuźnar zatrzymał chłopca pchającego taczkę po wąskim pokładzie z desek i spytał, jak się nazywa. — Stanisław Iłżek — odpowiedział chłopak, patrząc nań bystrymi, ciemnymi oczami. — A palec gdzieżeś stracił? — wskazał Kuźnar na jego lewą rękę. — Urżnąłem go — wymamrotał nieufnie robotnik, chowając za siebie dłoń. Ktoś wytłumaczył Kuźnarowi, że chłopak przybył niedawno ze wsi, spod Chełma Lubelskiego, i palec stracił przy żniwiarce. Kuźnar pokiwał głową i przez chwilę mu się przyglądał. — Dobrze ci tutaj? — zapytał półgłosem. — Yhy... — wymamrotał Iłżek, niespokojnie oglądając się za siebie. Po czym dźwignął taczkę i pchnąwszy ją naprzód, zaczął uciekać, zapewne wystraszony. — Dużo tutaj nieuświadomionego elementu — rzekł ktoś za plecami Kuźnara — w przyszłym miesiącu organizujemy szkolenie ideologiczne, towarzyszu. — Sam taki byłem kiedyś — machnął ręką Kuźnar. Sekretarz komitetu partyjnego, Tobisz, spojrzał nań ze zdziwieniem.

— Tu mamy jeszcze jednego! — roześmiał się jakiś robotnik, oparty na szpadlu — także ze wsi przyszedł! Pastuch! Prosto od krów!

W stronę wizytującej grupy pchano jakiegoś olbrzyma. — Czelis! Pokaż się! Czelis! — rozległ się krzyk i śmiech.

Przed Kuźnarem stanął ogromny, kościsty robotnik w drelichowych spodniach opadających na biodra. Przewyższał wszystkich co najmniej o głowę, na jego bezwłosych, różowych piersiach świeciły kropelki potu. — To siłacz... — powiedział czyjś głos obok Kuźnara. Czelis uśmiechał się. Kuźnar spotkał parę małych źrenic, jasnych jak rtęć, spozierających ufnie z długiej, końskiej twarzy. — Dawno tu pracujecie? — spytał. — Z tydzień — odparł Czelis po namyśle, nie przestając się uśmiechać. Zakołysał ramionami podobnymi do cepów i odsłonił niespodziewaną ilość krótkich, mocnych zębów, zbitych jak pestki słonecznika.

— On czytać nie umie! — zakrzyknięto z dołu. — Powrotny analfabeta!

Kuźnar zachmurzył się. Spojrzał na Czelisa stojącego przed nim ze smutnie opuszczonymi rękami, po czym kiwnąwszy głową ruszył po deskach w stronę następnego wykopu.

Gdy wrócili do biura Zarządu, obwieszonego wykresami i harmonogramami, zabrał głos inżynier Szeling. A w ogóle rzeczy, nie tyle głos zabrał, ile innych do głosu nie dopuścił, z miejsca zalewając Kuźnara potokiem słów.

„Ależ ten ma pysk..." pomyślał Kuźnar z niejakim podziwem, rozpoznając w nim owego małego mężczyznę w rogowych okularach, który w czasie inspekcji przypatrywał mu się tak ciekawie. Szeling chodził teraz po biurowym pokoju i urągał zgryźliwie.

— Posiedzicie tu, wodzu, jakiś czas — mówił, wbijając w Kuźnara swoje wypukłe soczewki — to wam się słabo zrobi!... Budowa! — przedrzeźniał jadowicie — wielki burdel! I żeby choć na kółkach — ale gdzież! O drugą koparkę nie mogę się doprosić od miesiąca! W Zjednoczeniu siedzą jacyś aptekarze z Radogoszcza, i zanim wypiszą receptę, chory może trzy razy nogi wyciągnąć. A proszę was — wykop rozpoczęty bez koparki i spychacza, to jak chory człowiek! I weźcie pod uwagę, że choroba kosztuje. Jestem fachowcem, lubię solidną robotę — reszta mnie nie obchodzi. Do partyzantki się nie zaciągałem. A wam, wodzu — współczuję! — zawołał do Kuźnara, potrząsnąwszy wiechą niestrzyżonych włosów — Wsiedliście do łodzi tonącej w morzu biurokracji! Nowy pasażer! Ale ja — wysiadam. Wysiadam panowie, i basta! — skończył i odwrócił się do nich tyłem, wetknąwszy wielkie palce za wykrój kamizelki.

— Przesadzacie, kolego Szeling — odezwał się inżynier Bojarski, nieruchliwy, ciężkawy człowiek w wojskowych butach. — Towarzysz Kuźnar gotów pomyśleć, że Bóg wie co się u nas dzieje. Nie jest tak źle. A jak ruszy bocznica kolejowa...

Szeling, odwrócony plecami i zajęty studiowaniem pełnego harmonogramu budowy, rozpiętego na ścianie, zachichotał tylko. Kuźnar obserwował go z ciekawością: takiego jeszcze nie widział.

Chudy mężczyzna o zniszczonej twarzy, który podniósł głowę z nad papierów, był to sekretarz komitetu PZPR, Tobisz. Na budowę przyszedł z wojewódzkiej propagandy partyjnej. Dawny cieśla. — Przedstawiacie sprawę jednostronnie — rzekł, zwracając się do Szelinga — widzicie tylko braki techniczne. Według mnie, towarzyszu — mówił teraz do Kuźnara, starannie szukając jego wzroku — budowy nie pchniemy naprzód, jeśli nie podciągniemy ludzi pod względem uświadomienia. Widzieliście na przykład takiego Czelisa — rzekł półgłosem, patrząc po kolei po twarzach obecnych.

— Widziałem — powiedział Szeling, dalej oglądając harmonogram — no i co?

Pracownicy Inspektoratu i Zarządu spojrzeli niespokojnie na Kuźnara. Tobisz chciał coś odpowiedzieć, ale Szeling, odwróciwszy ku niemu głowę, szyderczo błysnął szkłami:

— Macie fiksa z tym uświadomieniem, Tobisz. Uświadomienie przy takich płacach? Co my w ogóle wiemy o życiu? Jeździmy samochodami! Chcecie, żeby Czelis myślał? To mu podnieście dniówkę. Za trzysta złotych miesięcznie ludzie nie zrozumieją, dlaczego jedni muszą machać łopatą, podczas gdy drudzy jeżdżą „Chevroletami"... A zresztą ja na to bimbam — mruknął, znów ukazując im plecy — i w ogóle tutaj są bagna.

W pokoju rozległ się półgłośny gwar sprzeciwu, ktoś odsunął z hałasem krzesło; Szeling udawał że tego nie słyszy. — O co mu właściwie idzie? — informował się Kuźnar u siedzącego obok iżyniera Hnackiego, tyczkowatego blondyna o kędzierzawych włosach Hnacki wzruszył ramionami: podobno Szeling był dobrym fachowcem, lecz człowiekiem o trudnym usposobieniu.

— 300 złotowy zarobek, kolego Szeling — rzekł głośno, jąkając się nieco — jest na naszej budowie w-wyjątkiem. Przeciętny kopacz wyrabia w-więcej. S-sami o tym wiecie. A nie mówię już o takich robotnikach jak na przykład Z-Zwierzyński, który dociąga do 3 tysięcy na miesiąc. T-tak.

— I co z tego? — odparł spokojnie Szeling. — Zatopek przebiega 5 kilometrów w 14 minut i czy przez to innym ludziom lżej chodzić?

Wszyscy się roześmieli, prócz Tobisza, który siedział chmurny. Kuźnar zerknął nań podejrzliwie: ten nie zna się na żartach, to widać. — Zapominacie o oddziaływaniu w skali masowej — mówił ktoś do Szelinga. Kuźnar chciał zakrzyknąć, że jego syn, Antek, skacze wzwyż metr sześćdziesiąt i zdobył rekord szkolny, ale zanim zdążył to rzec, odezwał się Tobisz:

— Proszę kolegów — zauważył sucho — tutaj panuje, że tak powiem, nieodpowiednia atmosfera. Państwo nałożyło na nas obowiązki. Jesteśmy odpowiedzialni za budowę, a tu — słyszę — żarty... Mieliśmy zapoznać towarzysza Kuźnara ze stanem robót i problematyką budowy. Tymczasem kolega Szeling...

Szeling zaśmiał się, wzruszając ramionami:

— Powiedziałem, że wysiadam — oświadczył arogancko — Wysiadam i bimbam. Co mnie to wszystko obchodzi? Nie jestem ideologiem, ale szanuję mój fach. A do rewolucji się nie najmowałem. Cześć, wodzu! — rzucił od progu, mrugając do Kuźnara. I odwróciwszy się, z ręką na klamce, dorzucił: — A w ogóle tutaj są bagna i nie ma o czym mówić!

— Co on z tymi bagnami? — mruknął zdumiony Kuźnar, zwracając się do Hnackiego. Hnacki wyjaśnił z uśmiechem, że Szeling czasami wygaduje niestworzone rzeczy. Podobno jego dziadek odkrył w głębi Rosji jakieś pokłady miedzi i Szeling wbił sobie do głowy, że odziedziczył po nim różdżkarskie zdolności. — Dziwa-

(Dokończenie na str 6-ej)

*) Jedna z głównych postaci powieści pt.: „Obywatele".

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

Przykład Eluarda

Przypomnę w kilku zdaniach: Urodzony w 1895 roku Eluard działalność literacką rozpoczyna podczas I Wojny Światowej. Zmobilizowany w 1914 roku bierze udział w walkach frontowych. Zwolniony z wojska po ciężkim porażeniu gazami trującymi, w latach 1916 — 1920 przebywa w sanatoriach Francji i Szwajcarii. W tym okresie nawiązuje kontakt z tak zwaną grupą zürichską. Jest jednym z założycieli poetyckiej grupy „dada", a potem nadrealizmu. Podpisuje wszystkie manifesty nadrealistyczne, bierze udział we wszystkich grupowych wystąpieniach tej poetyckiej szkoły. Wydaje w okresie międzywojennym wiele tomów poezji (najważniejsze: „L'amour la poésie", „Capitale de la douleur", „Les yeux fertiles"), które zdobywają rozgłos w międzynarodowych ośrodkach tak zwanej awangardy artystycznej. Wojna hiszpańska budzi go z nadrealistycznego letargu. Pisze głośny poemat „Guernica". Budzi się w nim wrażliwość na sprawy ludzkie. Wraz z intelektualistami postępowymi protestuje przeciwko zbrodniom faszyzmu, przeciwko zamordowaniu przez frankistowską Hiszpanię narodowego poety hiszpańskiego Fryderyka Garcii Lorci. Także przeciw zamordowaniu przez polski rząd sanacyjny bohaterów polskiej klasy robotniczej Kniewskiego, Hibnera i Rutkowskiego. Upadek Francji, okupacja hitlerowska wyzwalają w nim, omotany dotychczas przez dekadenckie prądy kultury burżuazyjnej, geniusz poezji. Eluard zrywa z nadrealizmem. Wstępuje do podziemnej Komunistycznej Partii Francji. Poezja jego staje się żołnierzem Ruchu Oporu. Głos jego dociera do najciemniejszych zakamarków duszy francuskiej budząc wiarę w zwycięstwo i nadzieję jutra. Po wyzwoleniu do chwili śmierci Eluard poezją swoją walczy o wolność francuskiego ludu. Był jednym z najofiarniejszych bojowników o pokój. Poezje jego z lat walki o wolność, z lat walki o pokój (Poésie et vérité", „Poèmes politiques") są manifestem jego wiary w przyszłość świata i szczęście ludzkości.

Z poezji można odczytać życie duchowe narodu. Odbijają się w niej wyraźnie wstrząsy i przeobrażenia ideowe. Ona ostrzej niż inne dziedziny sztuki przechodzi światopoglądowe kryzysy, szybciej i gwałtowniej reaguje na wzloty i upadki w rozwoju kultury. Niekiedy wprost z powietrza, z atmosfery otaczającej wydarzenia chwyta sens rodzących się przemian i pierwsza je wyraża. W tym jej siła. W tym jej słabość także. Słabość — jeśli ograniczy się do roli lusterka odbijającego refleksy swego czasu i weźmie na siebie rolę służebną wobec elitarnych zachceń i gustów. Rola służebna wobec małych spraw uniemożliwi jej wolny lot, spłyci ją i poniży. Siła — jeśli potrafi dla wielkiej i słusznej sprawy wyrzec się pragnień drobnych, jeśli dla sprawy człowieka idącego w przyszłość porzuci osiadłe piękno. Wielkość i na nią swój blask rzuci wówczas.

Twórczość Eluarda jest przejmującym przykładem słabości i siły. Jest przykładem walki o prawdę, o piękno. A przede wszystkim jest przykładem zwycięstwa prawdy nad pozorem, piękna nad pięknością, przykładem zwycięstwa poezji po prostu.

W jednym z ostatnich swoich literackich przesłań, w przedmowie do „Antologii wypowiedzi o sztuce", Eluard powołuje się na zdanie Wiktora Hugo: „Piękna nie degraduje rola służebna wobec wolności i mas ludzkich. Naród wyzwolony nie jest bynajmniej złym zakończeniem dla strofy. Nie, użyteczność patriotyczna i rewolucyjna niczego nie ujmuje poezji".

Spośród wielu o ileż bardziej afirmatywnych wypowiedzi Wiktora Hugo, największego realisty poezji francuskiej, Eluard wybrał tę właśnie ze względu na jej charakter polemiczny. Eluard własną twórczością już dawno dowiódł, że dopiero „rola służebna wobec wolności i mas ludzkich" daje poezji format wielkości, format narodowy. Lecz autor „Wolności i prawdy", autor „Poematów politycznych" zwycięstwo swojej poezji pragnie rzucić jako argument w walkę o poezję w ogóle. Pragnie dzisiaj rozprawić się ostatecznie z własną przeszłością, chce jej odebrać ten fałszywy — jak sam go ocenia — prestiż, którym burżuazyjna estetyka usiłuje podważyć ideologię wielkości w sztuce. Trudno o piękniejszy przykład postawy poety socjalistycznego. O przykład samokrytyki.

Nie wielu poetów z tak daleka jak Eluard przyszło do poezji, do poezji bez przymiotnika. Eluard poznał wszystkie formy słabości sztuki i ideologii, przez wszystkie formy słabości przeszedł. Wraz z całym pokoleniem inteligencji drobnomieszczańskiej, która z I Wojny Światowej wyszła bez wiary w stały i ustalony porządek świata, rację istnienia widział w buncie. Młodzi, wrażliwi, sponiewierani przez wojnę wyżywali się w czystym, „bezinteresownym", jak myśleli, buncie. Sztuka, poezja była dla nich terenem eksperymentów z maszyną piekielną. Nihilizm, anarchizm leżały u podstaw tych prądów poetyckich, które przez zniszczenie składni — jak dadaizm — zamierzały zniszczyć myśl ludzką, a przez zanurzenie się w podświadomości — jak nadrealizm — zaprzeczyć wartości rzeczywistego świata. Bunt jałowy, bezwyjściowy — oto konsekwencja ślepoty na konflikty społeczne i polityczne. Te, dlatego że nie umieli pojąć ich mechanizmu, dla nich nie istniały. Powstała poezja poza granicami ludzkiego świata. Zamknięta na sprawy ludzkie nurzała się w paradoksie, była podniesioną do rangi świętości dziedziną mistyfikacji. Eluard był wówczas jed-



Paul Eluard

nym z tych eksploratorów do niczego nieprzydatnych lądów wyobraźni.

Gdy ex post zastanawiamy się nad ówczesnym etapem rozwojowym autora „Wolności i prawdy", dostrzegamy, dostrzegamy wyraźnie jego samotność w nadrealistycznej grupie, jego rozpaczliwe poszukiwania jakiegoś prawdziwego świata, jakichś prawdziwych spraw.

Słynna była jego ucieczka w 1924 roku. Znikł nagle z czasopism, z manifestów, z Paryża. Nadrealiści przygotowywali się już do sztucznej, jak zwykle, improwizacji skandalu, skandalu ze śmiercią. Na ulicach Paryża ukazały się nekrologi z nazwiskiem Eluarda. Gdy powrócił po roku z podróży naokoło świata, wrączył się znów w nurt nadrealistycznej mistyfikacji. Po co wyjechał? Czego szukał? Wrażeń? Bodźców dla wyobraźni? Ani jednym słowem w jego ówczesnej poezji nie odbił się ów odkryty nadzwyczajny świat egzotyki Krajobrazy podświadomości, od których chciał uciec do świata rzeczywistego, pochłonęły go jak dawniej bez reszty. Lecz ta próba ucieczki, próba znalezienia jakiegoś stałego lądu, jakiegoś żywego źródła poznania mimo że bezskuteczna jeszcze, nie pozostała bez śladu. Zapowiadała przyszłe podróże, podróże do rzeczywistości.

W swoich poezjach tego czasu Eluard szuka jakiegoś porozumienia z człowiekiem. W liryce miłosnej przy całym hermetyzmie środków wyrazu odbijają się pragnienia, tęsknoty ludzkie. Z poematów wyrywa się ludzkie serce. Poezja Eluarda, w dobie nadrealizmu jeszcze, zdobywa się na akcenty humanistyczne. Są to niedomówienia, to prawda, znaki zapytania, lecz poprzez nie przedziera się ludzki niepokój.

Nawet stosunek Eluarda do odkryć nadrealistycznych tego czasu jest znamienny. Breton wraz z całą szkołą obwołali świętym nadrealizmu Lautréamonta, autora „Śpiewów Maldorora" Za chorobliwość neurastenicznej wyobraźni, za „pierwszą w dziejach poezji" bezinteresowną przygodę duchową itd. A Eluard już w latach trzydziestych z rozgorączkowanych wizji autora „Maldorora" wyłuskał hasło, w którego prawdziwość nie przestanie już wierzyć:

„Poezja powinna być tworzona przez wszystkich, nie przez jednego".

Autor „Poematów politycznych" chciał się wydostać z morza nonsensu i „bezinteresownej świętości". Tęsknił za sprawą ludzką, chciał służyć człowiekowi. Błądził, tak, lecz szukał także. Szukał drogowskazu.

Wojna hiszpańska wskazała poecie nagą prawdę faszyzmu. Eluard protestuje z pozycji ogólno - ludzkich. Lecz te ogólno - ludzkie, ponadczasowe, niekonkretne pozycje nie dają mocy jego słowom. Jedynie protest zdolne są wyrazić. A wielkość osiąga przecież jedynie poezja walcząca. Eluard jeszcze nie walczy, ale zna już wroga ludzkości. Już wie, co znaczy słowo faszyzm.

Siłę uderzenia, siłę wzruszania dała poezji Eluarda ideologia walki o wolność, ideologia Partii Komunistycznej. Nie znam poety, który by tak wiele tej ideologii zawdzięczał. Nie ma na zachodzie poety, który by ją pełniej wyraził. W latach walki o wolność ludu Francji w szeregach Ruchu Oporu pod przewodnictwem KPF z Mauricem Thorezem na czele, poezja Eluarda osiągnęła szczyty poezji w ogóle. Wyzwolona spod przymusu nonsensu mówiła w sposób prosty, bezpośredni, dostępny każdemu o celach walki i o celach wolności. Niesiona z ust do ust, od serca, budziła w milionach pragnienie walki, wyzwalała z okupacyjnej przemocy nadzieję jutra. Była hasłem walki podziemnej, imieniem wolności.

Niesposób w ramach tego szkicu analizować twórczości Eluarda. Jakże ukazać choć częściowo urodę tej poezji tak mocno tkwiącej we francuskiej kulturze, tradycji i języku? Nie było to moim zamiarem, nie o to się kusiłem, co jest niemożliwe. Mówiąc o przykładzie Eluarda nie miałem na myśli kształtu jego poezji, która jest nie tylko nie do naśladowania, ale i niemal nie do przełożenia na nasz język. Mówiąc o przykładzie Eluarda mam na myśli przykład jego postawy, jego walki i zwycięstwa jego poezji.

Współcześnie nam, w oczach naszych niemal, rosła i olbrzymiała poezja, dlatego jedynie, że siły do życia i wzrostu z ideologii wolności, z najwyższej idei humanistycznej czerpała. Idea socjalizmu dała jej siły do przezwyciężenia słabości, zagubienia. Idea socjalizmu otworzyła przed nią serce narodu.

Poezja Eluarda wypełniona żarliwą treścią społeczną, konkretną prawdą polityczną przez swoją „użyteczność patriotyczną i rewolucyjną" zdobyła wymiary wielkości.

Eluard poezji swojej, wykutego w walce oręża, nie wypuścił z rąk do chwili śmierci. Walczył o godność ludzką, o szczęście, o prawo do miłości, o pokój. Jego liryka wojenna i powojenna jest przesycona głęboką wiarą w człowieka, głęboką miłością do człowieka. Eluard, jeżelibyśmy chcieli go najprościej i najpełniej określić, to poeta miłości.

Mówiąc o jego śmierci trudno uniknąć patosu. Gdyż jeszcze na łożu śmierci walczył. Paul Eluard złożony od kilku miesięcy ciężką chorobą serca do ostatniej chwili służył sprawie ludzkiej. Sam bliski śmierci, bezsilny wobec własnych cierpień, walczył o życie dwojga ludzi skazanych przez zbrodnicze, rozhisteryzowane sądy amerykańskie na elektryczne krzesło. Nie mając sił, by utrzymać pióro w ręku, na parę dni przed zgonem dyktował żonie swej Dominice telegram protestujący przeciw zbrodni zabójstwa, którego miano się dopuścić na Ethel i Juliuszu Rosenbergach. Tych dwoje niewinnych ludzi, którzy mają życiem zapłacić za antykomunistyczną histerię, stali się dla Eluarda uosobieniem poniewieranej przez kapitalizm wolności. Wiadomość o odrzuceniu wniosku o rewizję procesu był ostatnim ciosem imperialistycznego świata, który go jeszcze na kilka godzin przed śmiercią dosięgnął. Eluard, żołnierz wolności, padł na polu walki.

Zbigniew Bieńkowski

Obywatel Kuźnar

(Dokończenie ze str. 5-ej)

czny g-gość — twierdził — ale niezastąpiony s-specjalista.

Resztę czasu spędzili na rzeczowej dyskusji, omawiając plan pracy do końca bieżącego roku.

*

Po tygodniu pełnienia swych nowych obowiązków Kuźnar przestał czytać gazety. Po prostu — nie miał wolnej chwili. O zamordowaniu premiera Pakistanu i demonstracjach antybrytyjskich w Egipcie dowiedział się w domu, z rozmowy przy stole, jaką prowadził Antek z Pawełkiem Czyżem, który zwykle przynosił świeże wiadomości z redakcji. O ostrej nocie rządu radzieckiego w sprawie atlantyckich baz wojennych na terytorium Norwegii — usłyszał od swojego szofera, Kurnatki, w drodze na budowę. „Wojna?" zaniepokoił się Kuźnar. Wydało mu się, że gdyby teraz wybuchła, zaskoczyłaby go w najmniej obronnej chwili... Nic jeszcze nie zdziałał, niczego nie ujął w ręce. Bał się, że huk pierwszego pocisku rozwaliłby budowę na drzazgi, ponieważ on, Michał Kuźnar, nie zdołał jej dotychczas ogarnąć swoim rozumem i wolą. Był człowiekiem z brzemieniem na karku. Niezgorzej go napinał. Mocował się z ciężarem, przygniatajacym mu łeb i ramiona, ale jeśliby, nie daj Bóg, zadrżała pod nim ziemia — zwaliłby się na dół, on i to co dźwigał. Co gdyby nastąpiło, nie wstałby już więcej. „Święty spokój dla mnie i hańba dla dzieci" przemyśliwał nieraz pzed zaśnięciem. Sypiał w tych dniach niespokojnie, zazwyczaj do 3-ej przede dniem, o której budził go księżyc, zaglądający w okno, czego trochę się lękał, lecz zaraz znowu zapadał w sen do 5-ej, i zrywał się na równe nogi, pewny, że pod domem trąbi klakson Kurnatki.

Za dnia dopiero otrząsał się z omamów. Wojny nie będzie, bitwa o pokój zostanie wygrana. Twierdził tak Antek, z którym się całkowicie zgadzał Paweł Czyż i Bronka. Tego samego zdania był również Kurnatko. Prasa światowa komentowała jeszcze niedawny wywiad Stalina w sprawie broni atomowej, udzielony korespondentowi „Prawdy". „Druzgocący cios dla planów imperialistów angloamerykańskich", pisał pekiński dziennik „Żen-min-dżipao", Kurnatko dokładnie czytywał gazety. — Chińczyki — towarzyszu dyrektorze — tłumaczył — ostrożny naród. Jak coś powiedzą, można się już tego trzymać. — Bodaj, że tak — myślał Kuźnar — przecie od dwudziestu lat już wojują i znają się na fachu... Dodajcie-no gazu — mruczał do Kurnatki. „Pobieda" z sykiem opon wjeżdżała na asfalt mostu.

Budowa osaczyła go zewsząd powikłanym, ciasno zbitym gąszczem swoich powszednich spraw. Kuźnar rzucał się zrazu na oślep. Chciał rąbać i ciąć dokoła siebie karczować grunt pod stopami, byleby stanąć mocno i wreszcie się rozejrzeć. Ale gąszcz w ciągu nocy odrastał i Kuźnar nazajutrz musiał się przezeń od początku przebijać. Po kilku takich dniach czuł się jak zmęczony drwal, któremu trudno unieść topór w dłoni. Unosił go jednak.

Osiedle „Nowa Praga III", które z białych kartonów „Miastoprojektu-Stolicy" przemawiało jasnym, rozumnym rzutem myśli urbanistycznej, w świecie rzeczywistym rodziło się w niezmiernym trudzie — z przeszkód i przeciwieństw losu, wśród słabości ludzkiej natury i ich mozolnych przezwyciężeń, w walce z przypadkiem czy oporem przyrody — poprzez tysiączne nieprawdopodobieństwa, gdy wszystko wokół wielkim głosem zdawało się wołać: — nie!

Już trzeciego dnia Kuźnar znalazł się w obliczu groźnych, nabrzmiałych zagadnień, które musiał rozwiązywać węchem, przemyślnością — gdyż doświadczeń nie miał jeszcze żadnych. Brak dokumentacji technicznych! Trzy słowa, powtarzające się uparcie, w raportach i sprawozdaniach, brzęczące w słuchawce telefonu, zmora, która spędzała mu sen z oczu Jeździł z inżynierem Bojarskim do „Miastoprojektu", aby wymacać przyczyny opóźnień.

Przyczyna była jedna: przeciążenie. Mózg nowej Warszawy, który dostarczał precyzyjnych wizji przyszłości, a marzenia wytyczał w milimetrach, nie mógł chwilami nadążyć za tempem realizacji. Wyobraźnia dawała się prześcigać swemu urzeczywistnieniu. — Czekajcie — tłumaczono — rysunki dostarczymy za dwa dni. — „Czekajcie" była to prośba, przedłożona kolektywnej woli przez kolektywną myśl. Wolę przemieniania myśli w rzeczywistość wyrażał w tym wypadku Kuźnar. Myśl — uśmiechnięty mężczyzna wsparty o stół z rozpiętymi planszami, na których widniały błękitne zarysy nowych dzielnic. — Ale kotłownie! — ciskał się Kuźnar — chłopie miłosierny, kotłownie nie mogą czekać! — Istotnie brak dokumentacji na kotłownie w budynkach 17 i 31c był alarmujący z uwagi na grożące trudności w uruchomieniu ogrzewnictwa: zbliżała się zima.

Wracali więc z Bojarskim na budowę, by ułożyć list do Stołecznej Dyrekcji BOR, nalegający o interwencję, ale Kuźnar nie wierzył w listy: nie rozbierając się brał oburącz telefon, jak cekaem, i przez parę godzin trzymał pod obstrzałem Dyrekcję, rycząc do aparatu zaklęcia i groźby. Gdy po dwóch czy trzech dniach nadchodziła dokumentacja kotłowni, szarpał się już z czym innym: prefabrykowane płyty na elewację cokołu bursy zginęły gdzieś po drodze! Znowu trzeba było jechać do Ministerstwa czy Centralnego Zarządu — tym razem z inżynierem Hnackim albo Szelingiem, który w czasie jazdy uśmiechał się drwiąco, ale na miejscu — Kuźnar przyznawał mu to w duchu — potrafił walczyć jak wygłodniały tygrys. Gdy przybywali z powrotem, ochrypli i spoceni — płyty zamiast na Nową Pragę oczywiście poszły na Muranów! — witał ich dla odmiany Bojarski grobową wiadomością, że dokumentacja na kotłownie okazała się nieścisła. Dzwonił już do „Miastoprojektu" — obiecano dostarczyć rysunki zastępcze. Kuźnar bladł z bezsilnej wściekłości, mełł w ustach jakieś obelgi, lecz milczał, wiedząc, że na nic to się nie zda, zresztą nie było czasu: w biurze czekała delegacja ZMP-owców.

Zetempowcy przyszli żądać poparcia w sporze z kierownictwem odcinków. Majstrowie podobno utrącali młode kadry.

— Tak jest, towarzyszu dyrektorze — oświadczał malutki, lecz uroczysty przewodniczący ZMP, Wielborek — ja, przypuśćmy wytrzymam — ale inni? Inni, przypuśćmy, są bardziej nerwowi, towarzyszu. A majster Fanasiuk odzywa się o nas nieprzyjemnie. I nie pozwala się wtajemniczać w swoje wykształcenie. „Gówniarze" — powiedział, towarzyszu. „Póki ja żyję, piach będziecie wozić" No to się pytam, towarzyszu dyrektorze, gdzie jest, przypuśćmy, zetempowski honor?

Kuźnar stawał w obliczu nowego zagadnienia, które musiał rozstrzygnąć. Wielborek patrzył nań z nieustępliwą mocą swych małych, piwnych źrenic, osadzonych blisko szerokiego nosa. Kto tu miał rację: Wielborek czy Fanasiuk? Gdzie była prawda? Kto kłamał? Kuźnar czuł, jak wstępuje w niego obowiązek zachowania wskazań partyjnych i szukał w sobie owej sumy mądrości i sprawiedliwego sumienia, koniecznych dla powzięcia decyzji. Wyobrażał je sobie, jak gdyby ciężar spoczywający na dnie duszy ludzkiej, ciężar powstały ze stopu najlepszych doświadczeń, który zawsze potrafił przywrócić uczucia i myśli człowieka do partyjnego pionu. Spoglądał więc na Wielborka, zastanawiając się, jakie dać zadośćuczynienie jego zetempowskiemu honorowi, by zarazem nie skrzywdzić majstra Fanasiuka — gdy nagle do pokoju dyrekcji wszedł wzburzony starszy inspektor Lachowicz: odmowna odpowiedź w sprawie koparki i spychacza...

Tego dnia w świetlicy, udekorowanej godłami narodu i partii, przodownik Zwierzyński odczytał załodze zebranej przed końcem przerwy obiadowej list nadeszły od budowniczych Stalingradu do budowniczych Warszawy. „Naród radziecki — czytał powoli Zwierzyński swym dudniącym głosem — z wielką uwagą obserwuje, jak masy pracujące Polski wznoszą zakłady przemysłowe, dom po domu, dzielnicę po dzielnicy, w nowej socjalistycznej Warszawie...". Kuźnar siedział w prezydium między Tobiszem a Hnackim. Widział zwróconą ku sobie twarz Iłżka, przykucniętego w głębi sali, i otwarte usta Czelisa, który stał pod ścianą górując nad wszystkimi swą ostrzyżoną głową. Z pierwszego rzędu błyszczały ironicznie okulary Szelinga, za nim stłoczone szeregi twarzy i głów, w otwartych drzwiach — gromadki robotników, mężczyźni i kobiety. „Stalingrad i Warszawa — kończył zacinając się, Zwierzyński — to Pokój i równocześnie groźne ostrzeżenie pod adresem podżegaczy wojennych".

Kuźnar wstał i wraz z innymi zaczął klaskać. Był do głębi poruszony. Przecież list dotyczył także „Nowej Pragi III", jej załogi i kierownictwa. Ale Kuźnar nie mógł się pozbyć uczucia przykrego zakłopotania. Zdawało mu się, że budowniczowie Stalingradu zostali wprowadzeni w błąd. Między słowami listu a powszednim dniem budowy istniała zasadnicza dysproporcja: niektóre określenia brzmiały zbyt zaszczytnie dla owej bieganiny i zamętu, w które był wlazł z woli Rusina. Kuźnar myślał z haniebnym wstydem o odmowie w sprawie koparki i spychacza, i braku dokumentacji, o Fanasiuku i Wielborku, i o tym, że nienależyte zabezpieczenie rur spustowych na bloku 39 spowodowało zalanie wodą deszczową murów konstrukcyjnych. Odniósł wrażenie, że Szeling — diabeł! — również o tym myśli, podśmiewając się w duszy, jak to on zawsze, ze wszystkiego, włącznie z samym sobą. „Budujecie nowe domy i socjalistyczne dzielnice" powtórzył Kuźnar w pamięci. I przeraził się: „A jeśli ja nie wybuduję?" Przed budową stały wielkie zadania, najcięższy trud wciąż czekał: pola ciągnące się nietkniętym odłogiem na południowy wschód, pola, o których mówił Rusin... Kuźnar często się w nie wpatrywał z wysuniętych stanowisk budowy, i błądząc po nich wzrokiem — pasały się tam samotne kozy, uwiązane do kołków — obliczał, ile sił przyjdzie stracić w tej bitwie. „Budowę trzeba pchnąć w tę stronę — tłumaczył wówczas Rusin — a ona nie ma sił..." On, Kuźnar, miał te siły znaleźć! Wziąć je z siebie, nabić nimi, jak prochem, Szelinga, Hnackiego, Lachowicza, tchnąć je w Czelisa i Iłżka, w setki innych i — naprzód: hurrraa! hurraa!

Krzyki i owacje zatrzęsły świetlicą, gdy Zwierzyński odczytał projekt odpowiedzi załogi „Nowej Pragi III" na list stalingradczyków. Gdy ucichło, Tobisz trącił Kuźnara: — Powiedzcie teraz o szkoleniu, towarzyszu...

Po przerwie obiadowej w dyrekcji odbyła się narada kierownictwa w sprawie niedociągnięć i braków, jakie dawały się odczuć na budowie. Groziła możliwość niewypełnienia planu w bieżącym kwartale Kilkunastu mężczyzn siedziało w niewielkim, zadymionym pokoju. Dyskusja szła opornie; Kuźnar pił szóstą szklankę herbaty. Pocił się i rzadko zabierał głos. Mimo iż każdy z przemawiających wskazywał na inne przyczyny trudności, niemal każdy miał słuszność: przyczyn było więcej, niż ludzi zebranych przy stole. Dyskusja się rwała, gdyż wszyscy zdawali sobie sprawę, że określenie przyczyn nie wystarczy do usunięcia zła. Szeling siedział z szydercza miną fatalisty i odzywał się tylko po to, by innym psuć krew. Tobisz przypominał o szkoleniu i akcji oświatowo-kulturalnej. Hnacki i Bojarski milczeli.

Narada miała się już ku końcowi i słychać było pierwsze odgłosy odsuwanych krzeseł, gdy do pokoju wpadli bez pukania Miś i Pobieży — dwaj robotnicy murarscy — krzycząc coś jeden przez drugiego bez związku, i wymachując rękami. Ledwie zdążył zrozumieć o co chodzi, Kuźnar znalazł się sam, gdyż wszyscy za nimi wybiegli. W moment później sadził ciężkimi skokami, na przełaj, potykając się o leżące belki. Ze wszystkich stron placu budowy, porzuciwszy łopaty i taczki, robotnicy nadciągali na miejsce wypadku, czyli do budynku 31c, gdzie zawaliła się ściana kotłowni, przygniatając ucznia ślusarskiego, Reszkę. Leżał z pogruchotanymi nogami, wyjęty spod zwaliska i przykryty po pas brezentową płachtą.

Kuźnar spotkał jego niebieskie, przerażone oczy. Reszka trzymał się dzielnie, nie krzyczał, mdlał tylko, i z bólu znowu odzyskiwał przytomność. — Reszka — mówili doń półgłosem koledzy — nie bój się, zaraz przyjedzie karetka.

— Mieszkał w hotelu robotniczym — szepnął ktoś za plecami Kuźnara. Dokoła głowy rannego wsiąkała w ziemię kałuża, gdyż polewano go wodą. Tylko jeden człowiek przy nim klęczał, inni, stali półkolem przyglądając mu się z uważnym namysłem. Kuźnar odwrócił wzrok. Spytał Hnackiego, czy chłopca nie dałoby się przenieść do baraku, pod dach. — Nie — odpowiedział Hnacki — nie pozwoli się ruszyć. — Zresztą na budowie nie było ambulatorium. Kuźnar zgarbił się, podkurczając ramiona. Prawda — poruszył bezdźwięcznie dolną wargą — nie ma ambulatorium. Hnacki mrugał rudymi rzęsami. Człowiekiem, który klęczał koło Reszki był kierownik odcinka, Knojf, bezpośrednio odpowiedzialny za wypadek: nie zabezpieczył ściany, mimo iż obliczenia konstrukcyjne okazały się błędne. Po kilku minutach nadjechało pogotowie, po kwadransie — milicja. Tu nie ma opóźnień — myślał z goryczą Kuźnar składając zeznanie. Wziął winę na siebie, ale nie dano mu wiary.

Wziął ją jednak na siebie i gdy znalazł się potem przypadkiem sam na sam z inżynierem Szelingiem w pokoju Dyrekcji, długo siedział za biurkiem, jakby otępiały, z dłońmi ciężko zwieszonymi z poręczy. Nie odzywali się do siebie. Słychać było zza okna warkot ciągnika, wlokącego przyczepę z cegłami. Szeling szukając zapałek w kieszeni, starannie obserwował Kuźnara. „Masz dosyć?" zdawały się mówić jego drwiąco - litościwe szkła. „W dzisz, ostrzegałem cię przecież"... W pewnym momencie, unosząc zapaloną zapałkę, napotkał wzrok Kuźnara. Szeling wstrzymał dłoń w powietrzu, jak gdyby ów wzrok nagle na niej zaciążył Było to spojrzenie zimnej, wściekłej dumy, wzgardliwe i zmęczone, spojrzenie człowieka, który się nie ugiął pod cudzą litością. Przez chwilę patrzyli na siebie, a potem Szeling spuścił oczy. Kuźnar wstał z krzesła i wyszedł z pokoju. Inżynier został sam, przyglądając się zapałce, która zgasła mu w palcach. Po czym wykonał krótki, jakby zdrętwiały gest i pozwolił jej upaść na ziemię.

Kazimierz Brandys

T Y D Z I E Ń

WITOLD WIRPSZA

ERNST THAELMANN

...Więc powiedli go wysoko, aż na czwarte piętro
Gmachu, którym noc władała wiosną, jesienią i zimą.
Potem go bili długo. Z bólu dwa razy jęknął.
Wreszcie szczęki zacisnął i leżał, jak posąg olbrzyma
Nagi — jak człowiek skrwawiony; w końcu w ręku oprawcy
Trzasnął bykowiec i w ruchu rękę wstrzymał zdumioną.

...Więc kazali mu wstać. Powstał. A że w oczach nie zgasły
Ognie, których znieść nie mógł ich wzrok pokurczony,
Twarzą go pchnęli do ściany, wrzeszcząc: „Odwrócisz się —
strzelimy!"
Wtedy pod krtań mu podeszła taka fala pogardy,
Że odwróciwszy się, spojrzał.

...Więc lufy wylot czarny
Oniemiał i palec skurczony na spuście zesztywniał jak drewno,
I tak lat dziesięć trwał, spustu nacisnąć nie mogąc,
Aż czas jak gwiazda czerwona runął w nich twarzą gniewną.
Wtedy drgnął palec oprawcy, śmiertelną miażdżony trwogą

I huknął strzał.

JERZY HORDYŃSKI

PRZYJACIOŁOM Z N.R.D.

Graniczne kopce nad szeroką rzeką
po obu stronach podróżnych witają
i jak drogowskaz dla wschodzących wieków
przyjaźń wskazuje szlaki w każdym kraju.

Szły przez te ziemie pożary i klęski,
jak gorzkie wiosny — któż historię zliczy?
i chłopiec zanim dojrzał do lat męskich
padał od kuli z sąsiedniej granicy.

Uśmiech zamieszkał w porannych ulicach,
dzwoneczki szkolne rzeźbią stare mury,
te same pieśni w niemieckich świetlicach,
co w naszych domach wczasów i kultury.

Kiedyś tę chwilę przeczuwali wieszcze,
gdy im się pokój między ludem marzył
i słowa bratnie posyłali w przestrzeń
naszego czasu, w gościnnym Weimarze.

Dziś ich zwycięstwo dzień każdy oblicza,
chylą się książki, jak mosty ku brzegom,
czytają Niemcy wiersze Mickiewicza,
jak my po pracy czytamy Goethego.

JOHANN WOLFGANG GOETHE

F A

Druga część „Fausta" ukazała się w ostatnich miesiącach roku 1832. Poeta ukończył ją co prawda już w sierpniu poprzedniego roku, przygotował do druku — zapieczętował: dzieło miało ukazać się dopiero po jego śmierci.

Drukujemy próbę przekładu dwóch scen części drugiej „Fausta" w urywkach: „Północ" i „Wielki dziedziniec pałacowy".

Dzieło Fausta dobiega końca Wielkie połacie ziemi wyrwane morzu, nowy grunt zabezpieczony groblami zaludniony; wkrótce osuszone zostaną bagna zatruwające powietrze i ziści się ostatnia wizja Fausta. Stuletni starzec pragnie odrzucić czary i gusła, uwolnić się od Mefistofelesa i sił nadprzyrodzonych; chce zostać sam z przyrodą. I gdy zbliża się do niego Troska, nie przegania jej zaklęciem magicznym Dawniej, przed zawarciem paktu z Mefistofelesem Faust widział w trosce jedyny hamulec ludzkich czynów; pakt zabezpieczył Fausta przed nią. Teraz jej się już nie lęka, nie uznaje jej potęgi I mimo że Troska go oślepia, sił jego złamać nie potrafi: Faust zrywa się jeszcze raz, by doprowadzić dzieło swoje do końca.



PÓŁNOC

(Wchodzą cztery Staruchy)

WINA:

Jam Wina.

TROSKA:

Jam Troska.

BIEDA:

Jam Bieda.

NĘDZA:

Jam Nędza.

WINA, BIEDA, NĘDZA:

Tu Wina nie wejdzie, ni Bieda z Nędzą.
Tu brama zamknięta, nie wpuszczą, wypędzą.

BIEDA:

Tu staję się niczym.

NĘDZA:

Tu w nic się rozpłynę.

WINA:

Tu mieszka bogaty, co za nic ma Winę.

TROSKA:

Wam, siostry, nie wolno, wam, siostry, wara!
Dla Troski znajdzie się jakaś szpara.
(Troska znika)

BIEDA:

Uchodźmy, siostry, uchodźmy czym prędzej.

NĘDZA:

Tu nie ma miejsca dla Biedy i Nędzy.

WINA:

Ja idę za wami, staruchy, jazda!

WINA, BIEDA, NĘDZA:

W chmurach ostatnia ukryła się gwiazda —
I nagle wszystko truchleje i słucha:
to czwarta siostra, to idzie Kostucha.

FAUST:

(w pałacu):

Widziałem: cztery przyszły, poszły trzy.
Nie zrozumiałem sensu ich rozmowy;
jeszcze upiorne echo brzmi.
Gdybym mógł wreszcie rozerwać okowy!
Gdybym zapomniał zaklęć, które znam,
i całą magię odesłał do czarta,
i z tobą mógł, przyrodo, zostać sam,
to sprawa byłaby człowieka warta.
Zanim przekląłem siebie i ten świat,
zanim zajrzałem w guseł mrok złowrogi,
byłem człowiekiem. Potem na mnie spadł
zastęp upiorów — jakże zejść mu z drogi?
Choć trzeźwy dzień wymiecie widma złe,
wracają w nocy, przegnać ich nie mogę;
i ledwo w cieniu zgaśnie świat i w mgle,
a już mi puszczyk zakrzyczy na trwogę.
Tak człowiek w zabobonach wiecznie tkwi:
coś pokutuje, ostrzega i zwodzi.
Sam, pełen lęku czekasz. Skrzypią drzwi,
lecz nikt nie wchodzi.

(przerażony:)

Jest tam kto?

TROSKA:

A juści.

FAUST:

Ktoś ty?

TROSKA

Po prostu — gość.

FAUST:

Odejdź!

TROSKA:

Już odtąd gość cię nie opuści.

FAUST:

(zrazu rozgniewany, potem łagodniej: do siebie):
Pamiętaj, zrzekłeś się swych guseł. Dość!

TROSKA:

Gdy mnie nie usłyszy ucho,
w sercu tłukę ręką suchą.
Wszędzie przyjdę nie proszona.
Nic mej władzy nie pokona.
Mnie przekleństwo precz nie przegna,
dobre słowo nie zażegna. —
Czy nigdy nie poznałeś troski?

FAUST:

Ja tylko świata kosztowałem treść,
goniłem od tęsknoty do tęsknoty;
a gdy mnie która zwiodła, pal ją sześć!
a gdy upadłem, nowe były wzloty.
Wiecznie pragnąłem i zdziałałem to,
czegom zapragnął, by pragnąć na nowo;
wpierw życie moje jak do szturmu szło,
dziś biegnie mądrze i celowo.
Tę naszą ziemię dostatecznie znam
i wiem, że duch w zaświaty próżno goni;
niech sobie głupcy roją, że i tam
ponad chmurami jeden jest jak oni.

POSTĘPOWEJ KULTURY NIEMIECKIEJ

EDWARD FISZER

BERLIŃSKA WŁÓKNIARKA O PAŁACU SANSSOUCI

Cedr, palisander, marmury,
Gałęzie złota od góry,
Grecy — głowacze z kamienia
Stanęli blisko sklepienia.
...A książki w skórze różowej
Złocone słowo za słowem.

Posadzka odbijała,
Jak szłam w miękkich sandałach...

Jednego z myśli nie tracę;
Gdy król zajmował pałacyk,
Czy tak się pięknem ucieszył,
Jak ja, niosąca wózeczek
Mojego synka z piwnicy
Na Marchlewskiego ulicę?
Gdzie słońce na nowych ścianach
Złoci nam życie od rana...

październik 1952.

NA DROGACH TURYNGII

Wędrując po Turyngii leśnej,
Skalnych strumieni posłuchajmy,
Bo stąd natchnienie brał do pieśni
Sam Walter von der Vogelweide,
Więc choć nie znamy nut lutnisty,
Podajmy echu śpiew ojczysty.

Isztvanie, uderz w struny puszty!
Inge wywiedzi. nutę saską,
Bukur z rumuńska za nią ruszy,
Vavrusz zaciągnie po morawsku,
Ja o warszawskich wspomnę mostach...
Oby nas pieśń najdalej niosła!

Ej, towarzysze, śpiew zbyt cicho
Kołace się od drzew do wzgórza,
A tu lutnista tak oddychał,
Że rozchylała usta róża,
Że słowik słuchał, nim śpiew podjął...
A my? Mruczando za melodią...?

A więc usypia chór podróżnych?
Nie zbudzą skały gromkie chwile?
Wtem... jednym głosem w mowach różnych
Huknęło, jak wołżański wylew
I po zdumionych bije stokach
„Ziemio moja, wolna i szeroka..."

ANDRZEJ WIRTH

Poeta klęski i odrodzenia Niemiec *)

Miałem nie jedne, wiele
narodzin!
Potęgi przemian, wielbię was!
Muszę się czynem świadczyć
co dzień,
By mnie na nowo stwarzał czas [1])

Johannes R. Becher

Z KRĘGU EKSPRESJONIZMU

Istota poezji, — zdawało mi się — polegała na tym, ażeby rzeczy jasne i proste przyciemniać, wyraźne i widoczne zacierać, czynić niewidocznymi, rzeczy zrozumiałe zastąpić wątpliwościami. Życie ukazywało mi się jako wieczny zamęt, jako awanturniczy, obłędny lot od nicości do nicości. Przyczyny kryły się za przyczynami, a w bezprzyczynowości, w bezdenności wszystkiego czyhała straszna prawda". [2])

„Poezja jest dla mnie istotą wszelkiego dobra i piękna w rozumnym i godnym człowieka kształtowaniu życia, poezja jest twórczym ładem, zwielokrotnionym istnieniem. Poezja to wieczne bogacenie się człowieka — i tego życiowego prawa ludzkiej osobowości, tej naszej życiowej potrzeby bronię, oddając się politycznemu działaniu". [3]) „W czasie, który zagraża samym podstawom ludzkiego bytu, prawa poezji do istnienia można bronić tylko, stając w obronie praw gwarantujących nasze ludzkie istnienie". [4])

Od samotnego buntu, od anarchistycznego szaleństwa, od tego niepokoju poetyckiego tak typowego dla wczesnej fazy okresu imperialistycznego, od całkowitej i ostatecznej separacji sztuki i życia, do jasnej i harmonijnej koncepcji poezji i świata, do świadomej walki o jego wolność, do nowego rygoru moralnego i artystycznego wiedzie droga długa i trudna. Tę drogę przeszedł Johannes R. Becher, pisarz, który w swym doświadczeniu pomieścił awanturnicze przygody ekspresjonisty, intelektualny zamęt i duchowe rozbicie lat poprzedzających pierwszą wojnę światową, namiętne poszukiwanie prawdy, dramatyczne rozstanie z własną klasą, żarliwą walkę o społeczeństwo sprawiedliwej przyszłości. Na tej drodze z poety jałowego buntu wyrósł poeta społecznego protestu, hasła „rewolucji" metafizycznej zmienił na hasła rewolucji socjalnej, stał się poetą Niemiec, ich hańby i walki, ich nędzy i odrodzenia. Język jego poezji odzyskał ludzkie brzmienie, udział w wielkich zmaganiach czasu wypełnił wiersze humanistyczną treścią. Ukonkretnił się obraz, czysto zadźwięczała poetycka fraza, zdanie uzyskało klasyczny obrót.

Nieskrystalizowane pragnienie odmiany przejawiło się najpierw w żywiołowej opozycji poety przeciw wilhelmińskiemu społeczeństwu, we wstręcie do własnej klasy, która ze wstecznictwa i brutalności uczyniła zasadę, z obłudy i służalstwa cnotę, z żądzy zysku i nienawiści do ludu jedyny cel swego istnienia.

Becher przyłącza się do grupy młodych ekspresjonistów, którzy na kilka lat przed pierwszą wojną imperialistyczną zapełnili niemiecką poezję ekstatycznymi wizjami wielkich miast, wojen i grozy, kosmicznymi mitami wyzwoleńczymi, przepowiedniami zbliżającego się chaosu i ezoterycznymi opisami przeżyć mistycznych.

Był to nowy *Sturm und Drang* w literaturze niemieckiej, ale bez nowych treści. W ekstazie zapowiadano pożar świata i masową zagładę, z której powstać miała nowa ludzkość: ród "wszechwładców. Trzęsienia ziemi i eksplozje miały zburzyć mieszczański spokój świata, „którego duch gnił w muzeach i wydaniach klasyków śmierdzących erudycją" [5]). Wyrok zapadł na mieszczaństwo, ale nie na eksploatatorską klasę: zapadł wyrok na cylindry i surduty.

Dopiero wojna ukazała Becherowi istotny sens radykalizmu monachijskich ekspresjonistów. Większość z nich uległa imperialistycznym hasłom wilhelmińskich Niemiec, uznała wojnę za potężny akt psychicznego wyzwolenia ludzkości i za najskuteczniejszy środek rozładowania wszelkich kompleksów. Ukazały się z przeraźliwą jasnością praktyczne konsekwencje ucieczki w krainę groźnej i obłędnej mitologii instynktów. Ale nie ma ucieczki przed historią. Płomienni krytycy mieszczaństwa okazali się jego nieodrodnymi synami.

W monachijskiej kawiarni „Stefania" nie spełniły się marzenia poety o przemianie. Jednak z kręgu ekspresjonizmu wyszli także najbardziej postępowi poeci Weimarskiej Republiki: Brecht, Toller, Wolf. Hasła anarchistycznej opozycji zamienili w świadomą walkę o jasny ideał społeczny. Tą drogą poszedł także Becher, lecz ekspresjonistyczna maniera jeszcze przez długie lata obciążała jego twórczość.

GWIAZDY ŚWIECĄ NA WSCHODZIE

Monachijskie rozczarowanie przyniosło poecie gorzką, ale cenną wiedzę. Zrozumiał, że innych dróg trzeba szukać, aby oderwać się od własnej klasy, zniszczyć w sobie jej cynizm i upodlenie, aby istotnie zmienić swe życie zgodnie z głosem sumienia i rozumu.

W roku 1914 przeciwstawia się Becher szowinistycznym nastrojom swego środowiska, odmawia pójścia na front, w odważnych wierszach występuje przeciwko wojnie imperialistycznej.

Rzeczywiste jednak „wielkie pożegnanie" przeżył poeta u schyłku wojny, w roku 1917, a nie na jej początku, jak to przedstawił na przykładzie życia Jana Gastla, bohatera swej na wpół autobiograficznej powieści. Gwiazdy nadziei zapłonęły na Wschodzie. Życie milionów dosięgło naraz najodważniejszych marzeń poety. Płomiennym wierszem wita Becher Rewolucję Październikową, historyczne narodziny pierwszego państwa proletariatu.

Od tego czasu datuje się wzruszający swą żarliwością stosunek poety do radzieckiego kraju. Głos Bechera przyłącza się do głosu największych poetów wieku, Nerudy, Hikmeta, Eluarda, w płomiennej pochwale ojczyzny wszystkich proletariuszy. Proletariacki internacjonalizm, uczucie, które uskrzydla każdego pisarza rewolucji — zagrało w życiu i poezji Bechera szczególnie pięknym i czystym tonem, ściągając nań nienawiść burżuazji, oszczerstwa i wielokrotne oskarżenia o zdradę stanu. Ale poeta do końca pozostał godny nienawiści swych wrogów. Prowokacyjne procesy ścigające go za rewolucyjną i oddaną idei pokoju twórczość (zwłaszcza za powieść „Jedyna wojna sprawiedliwa" oraz za dramaty „U grobu Lenina" i „Robotnicy, chłopi, żołnierze") załamywały się pod naciskiem postępowej opinii świata.

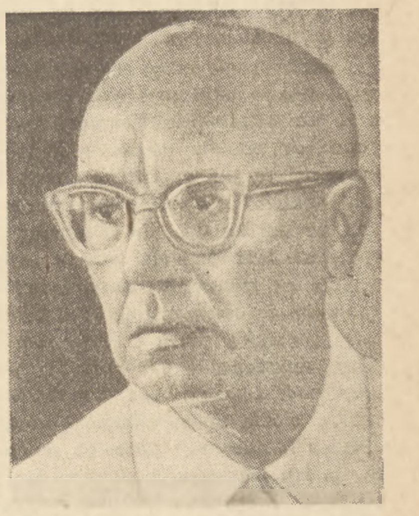
W targanej kryzysami Europie lat trzydziestych, w przededniu terrorystycznej dyktatury faszystowskiej w Niemczech, niemiecki poeta Becher pisze poemat o pierwszej radzieckiej Pięciolatce, epicką pochwałę rewolucji, która buduje...

JESTEM NIEMCEM

10 maja 1933 na placu Opery w Berlinie płonęły książki Heinego i Börnego, Henryka Manna i Brechta, Hasenclevera i Muehsama Tollera i Wolfa, Tucholsky'ego i Bechera. Rewolucja i jej wielka tradycja płonęły owej nocy na hitlerowskim stosie.

Konieczność opuszczenia Niemiec odczuł Becher jako najboleśniejszą ofiarę swego życia. Uwoził ze sobą na długie lata wygnania czuły obraz ojczystego krajobrazu, wyjeżdżały z nim razem rodzinne Monachium i Urach, Bodensee i Allerheim, Noerdlingen i wszystkie pamiętne miejsca młodości.

Dopiero wygnanie uczyniło z Bechera w pełni narodowego poetę Niemiec. Jego patriotyzm przybrał na sile i głębi, zabarwił się wzruszeniem i intymnością, wzbogacił się doświadczeniami walki o wyzwolenie Niemiec spod tyranii, rozpoznaniem winy narodu i nadzieją na jego odrodzenie. Poeta w oparciu o najlepszą niemiecką



Johannes Becher

tradycję próbuje nadać nowy sens „narodowemu posłannictwu" pisarza odnajdującego w walce o wolność ludu, w odpowiedzialności za jego losy najwyższe swe powołanie.

Pisarz narodowy ratuje z czasów zamętu i pogardy najlepszą część narodowej tradycji, zdeptaną przez wrogi człowiekowi porządek.

O fug i kantat Bacha niemieckie,
mocne tony!
Ten pędzlem Gruenewalda
oddany błękit, brzask!
Te hymny Hoelderlina, ich
uroczysty blask!
O, barwo, dźwięku, słowo,
zhańbione i zdradzone!

W mrokach hitlerowskiej nocy szuka poeta prawdziwych Niemiec: odnajduje je w wielkiej rewolucyjnej tradycji, w wyzwoleńczej walce ludu od Johsa Fritza i Tilmana Riemenschneidera, aż po znanych i nieznanych bohaterów walki z faszyzmem, w godności prowadzonych na śmierć, zamęczanych w lagrach.

Gdzie były wtedy Niemcy?
W serc łomocie,
Tam leżał kraj ten, w męce
i w zgryzocie,
Tam świtu czekał wciąż,
po roku rok!
Ten kraj był wtedy w listach
z placów boju,
W rozpaczy, w łzach, w tęsknocie
do pokoju:
Tam były Niemcy, kiedy władał
mrok!

Bojownicy niemieckiego ruchu oporu żyją w poezji wygnańca: wzruszające i pełne siły są te wiersze o ludzkim proteście przeciw zbrodni — „Powrót nieznanego żołnierza", „Pieśń o siedmiu chłopcach", „Trójka" to najmocniejsze wiersze Bechera.

Rzadko kiedy poezja uzyskuje tak ścisłe zespolenie z losami narodu, nie często się zdarza, aby życie poety doszło do takiej jedności z cierpieniem i nadzieją ludu. Tę jedność utrwalił w swym życiu i sztuce wygnany poeta niemiecki, z dala od ojczyzny, na dalekiej radzieckiej ziemi. Ta jedność sprawiła, że ani przez chwilę nie był emigrantem.

Kiedy faszystowskie hordy zbliżały się do Moskwy, nie zabrakło poety Bechera w szeregach jej obrońców. Jak śmiałe wyzwanie zabrzmiały wówczas jego wiersze, opatrzone dumnym tytułem: „Jestem Niemcem". Świetnym zwierciadłem tego czasu są artykuły Bechera, działacza Komitetu Narodowego „Wolne Niemcy", wydane w 1941 w zbiorze „Mordercom w twarz", sztuka „Bitwa o Moskwę" i piękny wiersz o walczącym mieście:

O Moskwo! Patrz, imienia twego
dźwięk
Uskrzydla serca ludów! Gwiazd
tysiące
Miotasz i dudnią odległości
i w zgryzocie,
Ilekroć gwiazdą ciężki pocisk
pękł.

W owe lata, kiedy pod Moskwą i Stalingradem naród radziecki obronił ludzkość przed ostateczną hańbą faszyzmu, wygnany poeta Johannes Becher ocalił godność niemieckiej poezji.

POWRÓT

Powrót do kraju nasyca wprawdzie palącą tęsknotę poety za ojczyzną, ale przygniata go ogrom nędzy, w jakim zbrodnie faszyzmu pogrążyły niemiecki naród. W poezji Bechera wraca znowu przejmujący obraz cierpienia oszukanego ludu, znowu odnajduje wyraz płynące z gorącego patriotyzmu poczucie solidarności z błądzącym narodem.

(Dokończenie na str. 8)

*) Fragmenty przedmowy do poematu J. R. Bechera „Wielki Plan", który ukaże się wkrótce nakładem Książki i Wiedzy.

1) Wiersze Bechera, cytowane w artykule, przełożył R. Stiller.

2) J. R. Becher, Pożegnanie, PIW, 1951, str. 237

3) 4) J. R. Becher, Auf andere Art so grosse Hoffnung, Aufbau, 1951.

5) J. R. Becher, Pożegnanie, PIW, str. 376.

Ilustrował WIESŁAW MAJCHRZAK

U S T

Na ziemi dzielnie trwaj, bo ona wie,
co tobie odpowiedzieć, gdy zawołasz.
Chcesz po wieczności błądzić jak we mgle?
Tylko co poznasz, to uchwycić zdołasz.
Taka twa droga, taki żywot twój —
i choć cię straszą widma z tamtej strony,
ty idź wciąż naprzód, przez radość i znój,
człowieku, nigdy nie zaspokojony!

TROSKA:

Który w moją rękę wpada,
ten już przepadł, temu biada!
Słońce wschodzi i zachodzi,
tylko on w ciemnościach brodzi.
Choć mu zdrowie w żyłach płynie,
choć ma skarbów pełne skrzynie,
złota niezliczone krocie,
ginie z głodu na swym złocie.
W powodzeniu czy w niedoli
nic nie cieszy go, nie boli.
Coraz głębiej w sen zapada,
co ma zrobić, to odkłada,
i bezczynnie jutra czeka,
już nie człowiek — cień człowieka.

FAUST:

Skończ! Nie chcę słuchać tych żałosnych pień,
bo straszysz nimi tak zawzięcie,
że nawet najmędrszemu Sądny Dzień
przyśnić się może przy twoim lamencie.

TROSKA:

Nie wie, w którą spieszyć stronę.
Kroki jego pomylone,
że przemierza jak kulawy
wszystkie swoje dzienne sprawy.
Nie chce ludziom spojrzyć w oczy.
Serce jego robak toczy.
Dusza jego bojaźliwa,
żaden bunt jej nie podrywa,
żadna rozpacz nie dobije.
Niby żyje, a nie żyje.
Wieczny strach i wieczna bieda
sen wypłoszy, czuwać nie da.
Nieodstępna, nieugięta
zmora wzięła go w swe pęta,
zniewoliła i urzekła,
aż go zagna na dno piekła.

FAUST:

Nieszczęsne licha, więc to tak
dręczycie bez ustanku ludzkie plemię.
Z niewoli waszych tortur, waszych plag
człowiek wyrywa się daremnie.
Demonów sfora ziemię osaczyła
zewsząd, że sobie z nimi nie poradzę,
Lecz mnie nie zmusi żadna ciemna siła,
bym uznał, Trosko, twoją władzę.

TROSKA:

A więc ją poczuj! —

FAUST

(ślepnie)

Głęboko, coraz głębiej noc się chyli,
lecz w duszy światłość zapłonęła.
Co obmyśliłem, dokonam w tej chwili.
Niech pańskie oko przypilnuje dzieła.
Więc nuże, chłopcy, zrywajcie się skoro,
by czynem stał się projekt śmiały!
Niech mi się wszyscy za łopatę biorą.
Dziś trzeba skończyć rów i wały.
Gdzie niezachwiany ład i zapał żwawy,
robotę wiecha nagrodzi kwitnąca.
By się najwyższe dokonały sprawy,
wystarczy jedna myśl dla rąk tysiąca.

WIELKI DZIEDZINIEC PAŁACOWY
(Mefistofeles. Lemury kopią grób).

FAUST

(wychodzi z pałacu, trzymając się węgaru drzwi:)

Brzęk łopat jakże uszom moim miły!
To ciżba, co haruje dla mnie,
co wreszcie przemoc napastnika złamie,
co wznosi groble, by zabezpieczyły
z morskiej niewoli grunt wyrwany, nowy.

MEFISTOFELES

(na stronie:)

A koniec końców, dla kogo twe rowy,
twe groble i ten cały kram?
Ty, Fauście, służysz tylko nam.
Więc buduj sobie zdrów — i twórz
zabawkę dla Neptuna, diabła mórz!
Groźne żywioły są po naszej stronie;
przypędzi fala i wszystko pochłonie.

FAUST:

Dozorca!

MEFISTOFELES

Jestem!

FAUST:

Tu ludzi za mało;
do pracy trzeba niezliczonych rzesz.
Popędzaj groźbą, zachęcaj pochwałą,
obiecuj, przekup, zmuszaj — rób co chcesz!
Codziennie stawaj przede mną i mów,
jak rośnie grobla, dokąd dobiegł rów.

MEFISTOFELES:

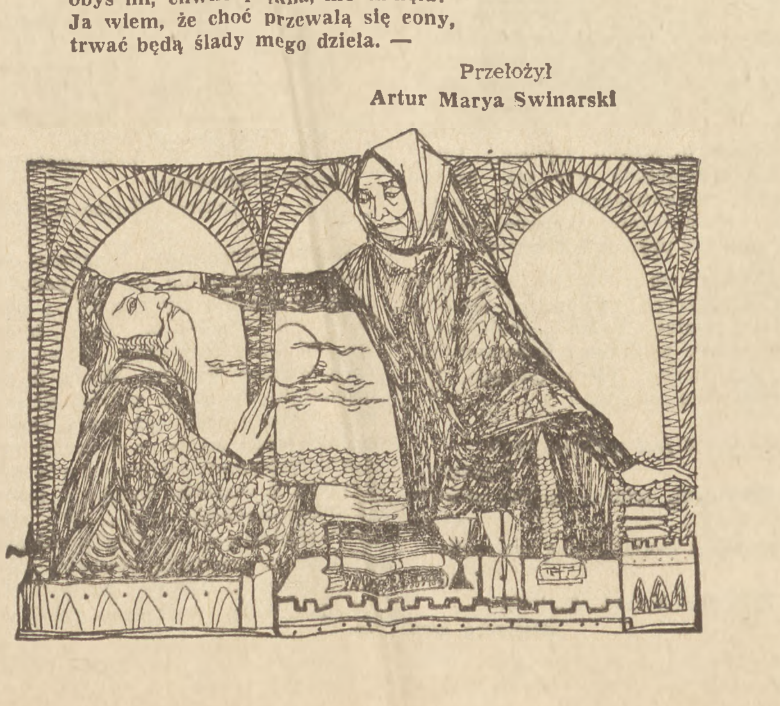
(półgłosem:)

Ty gadaj swoje, a ja swoje robię —
tu nie o grobli mowa, lecz o grobie.

FAUST:

Podnóża gór w rozległym grzęzną bagnie,
a z bagna zieje jad aż tu nad morze.
Osuszyć łęgi zgniłe, oto czego pragnie
ostatnia myśl ma, nim ręce założę.
Zdobywam przestrzeń dla miliona ludzi,
niepewną wprawdzie — więc się człowiek trudzi;
ledwo wziął w posiadanie ze swą trzodą
ziemię wyrwaną morzu, żyzną, młodą,
już stawia raźnie tamy, by ich siła
żywiołom morskim dostępu broniła.
Nieraz o groblę twardy taran fali
uderzy, ledwo grobli nie rozwali;
wtedy do pracy zgodnie wszyscy staną,
uszczelnić tamę, wiecznie podważaną.
Poddaję się tej prawdzie całkowicie,
oto mądrości ostateczne słowo:
ten tylko wolność zasłużył i życie,
kto je zdobywa wciąż na nowo.
I tak, w obliczu groźnego sąsiada,
przez całe życie krząta się gromada;
jej piękny trud pragnienie we mnie budzi:
na wolnej ziemi żyć wśród wolnych ludzi.
I wówczas mógłbym mówić zachwycony:
obyś mi, chwilo piękna, nie minęła!
Ja wiem, że choć przewalą się eony,
trwać będą ślady mego dzieła. —

Przełożył
Artur Marya Swinarski



POEZJA KTÓRA UCZY SIĘ MÓWIĆ

Określanie takim mianem najmłodszej poezji francuskiej, spadkobierczyni tej literatury, która jako jedna z pierwszych w Europie wykształciła swój język, wyklarowała formę i wzbogaciła naszą kulturę o wiele skończonych arcydzieł, może się wydawać nonsensowne. Na pozór jednak. Wystarczy bowiem dobrze sobie uzmysłowić w jaki zaułek bez wyjścia wpędziła się około siedemdziesięciu lat temu poezja francuska, aby zgodzić się, że tytuł tej kolumny nie jest ani paradoksem, ani prowokacją.

Kiedy poeta zdaje sobie sprawę, że pisze w próżnię, że twórczość jego nikogo właściwie nie obchodzi — może jest to dla niego przykre, ale ostatecznie świadczy tylko o poecie. Kiedy natomiast całe pokolenie poetów uświadamia sobie, że jest nikomu niepotrzebne — świadczy to już w jakimś sensie o społeczeństwie, które owych poetów wydało. Ale nie o to rozróżnienie w tej chwili chodzi. Faktem jest, że gorzką prawdę o swojej nieprzydatności dla mieszczańskiego społeczeństwa poznali w osiemdziesiątych latach ubiegłego stulecia symboliści francuscy Bo przecież nie żadne mistyczne doświadczenia sprawiły, że osiemnastoletni Rimbaud, wziąwszy poezję na kolana, znalazł ją gorzką, pustą i bezsensowną, ale obojętność na nią współczesnego mieszczucha odebrała tej poezji i sens, i rację bytu. Rimbaud, Mallarmé, Lautréamont nie mieli dla kogo pisać. I dlatego, wyrzuciwszy słowa najgorętszego buntu, zamilkł Rimbaud, dlatego autor „Pieśni Maldorora" pozostał jedynie świetlistym meteorytem na niebie poezji francuskiej, dlatego Mallarmé podjął jeden z najtragiczniejszych w literaturze eksperymentów twórczych, którego z góry przewidywane niepowodzenie nieraz go przyprawiało o myśli samobójcze

Dezercja była jedynym wyjściem na jakie zdobyć się mogli ci mieszczanie zbuntowani przeciwko swojej klasie ale nie dostrzegający poza nią nikogo, zgubieni i osamotnieni w niezrozumiałym dla nich świecie. Odwrócili się od świata i ludzi, zrezygnowali z walki nawet jej nie próbując (bo z kim i o co?), zamknęli się we własnym ciasnym kręgu literackim, zaczęli pisać na własny użytek, dla siebie. Ich wybór, ich postawa zaciążyła na całej współczesnej poezji francuskiej Wybierając samotność — wybrała ona obumieranie. Bo poezja jak miłość nie znosi osamotnienia, jak miłość j e s t tylko wtedy, kiedy jest dialogiem Poezja jest mową ludzką, mową człowieka do ludzi i ani ten, który mówi, ani ten, który słucha, nie może być nieobecny albo nieuważny. Tymczasem, z własnego wyboru, poezja francuska do lat ostatnich miała, jeśli w ogóle ich miała, nieuważnych tylko słuchaczy. Mieszczuch francuski, który w epoce Mallarmé'go i Rimbauda był zajęty montowaniem trustów i karteli, mających w „przyzwoicie" zorganizowanym świecie zapewnić mu stałe i nie wymagające zbytniego zachodu zyski, w epoce bliższej nam o lat czterdzieści musiał się zacząć solidnie krzątać wokół tych swoich zysków, których regularność z dniem każdym stawała się bardziej zagrożona. Tak jak wtenczas, tak i teraz nie miał ani czasu, ani głowy do poezji. I nie pomogły nawet karkołomne sztuczki surrealistów, którzy prztyczkami w nos daremnie usiłowali zwrócić na siebie jego uwagę. Poezja była ciągle nikomu niepotrzebna, wyrzucona poza nawias życia społecznego.

Trzeba było dopiero klęski zdradzonego przez swą burżuazję kraju, trzeba było okupacji, żeby poza klasą, która ich wydała i z którą łączyła ich tylko nienawiść — bo ta też łączy — poeci francuscy dojrzeli naród walczący z najeźdźcą i poczuli swoją z nim jedność. I, o dziwo, ten naród ich potrzebował, domagał się od nich nie tylko krwi ale i pieśni, wracał ich życiu społecznemu nie tylko jako obywateli ale i jako poetów.

Lata okupacji były latami przełomowymi dla poezji francuskiej. Zrozumiała ona, że nie może zezwolić na to, aby raz odnaleziony kontakt z ludem mógł być znowu zerwany, żeby poeta miał się znowu przedzierzgnąć w kuglarza Ale zrozumiała także, że język, którym przemawiał, stał się dla tego ludu językiem niezrozumiałym, obcym i dziwnym, jeżeli nie śmiesznym. I zrozumiała, że musi na nowo uczyć się mówić, mówić do ludzi prostych o sprawach najprostszych, które tych ludzi obchodzą. Nie łatwo się zapowiadała ta nauka. Poezja francuska, w odróżnieniu na przykład od naszej, nie miała nigdy tradycji politycznej. Na przestrzeni wieków tylko trzech poetów francuskich można nazwać poetami politycznymi. Był Agrippa d'Aubigné w szesnastym wieku, był Hugo i Béranger w dziewiętnastym. I to wszystko. Jak na wzór — starczy, jak na tradycję za mało. Nie było we Francji tego ciągu kulturalnego poezji politycznej, który sprawia, że u nas tak łatwo poecie, za łatwo nawet może, dialogować od razu z narodem, zdobywać się na donośny ton trybuna. Najmłodsza poezja francuska boi się jeszcze tego donośnego tonu, woli czasem przemawiać półgłosem, ale wie już o czym chce mówić i wie do kogo.

Zaprezentowani tu poeci może nie są najwybitniejszymi z młodych poetów francuskich, może podane tu wiersze nie są najlepszymi ich wierszami. To nie jest tak ważne. Nie tyle chodziło przecież o prezentowanie rewelacji poetyckich ostatnich kilku sezonów, ile o nowy ton, pobrzmiewający w poezji francuskiej.

Nie ma na tej kolumnie wierszy dwóch poetów, którzy, choć nie najmłodsi już wiekiem, byli przecież inicjatorami i twórcami przełomu, jaki się dokonał w poezji francuskiej w latach okupacji przewodnikami i przyjaciółmi tych wszystkich „młodych". Mowa o Eluardzie i Aragonie. Ale tak o pierwszym jak o drugim wie już polski czytelnik — chodziło nam zaś o pokazanie, że drogą przez nich otworzoną popłynął szeroki nurt współczesnej poezji francuskiej, o czym czytelnik nasz nic jeszcze, albo prawie nic, nie wie.

Jerzy Lisowski

ANDRE VERDET

FOTOGRAFIA

MŁODEGO NAUCZYCIELA I NAUCZYCIELKI GRECKIEJ PRZED MONARCHISTYCZNYM PLUTONEM EGZEKUCYJNYM

Jakże jasne jest światło między łukami ich oczu
Wiedzą że los ich to cena za uśmiech przyszłości
Jacy w bladości swej piękni i jacy są młodzi
Gdy tak zakuci jeszcze w kajdany
Idą już razem dłoń w dłoni szeroką otwartą drogą
Musieli się kochać to widać
I widać tak dobrze że aż dreszcz przez obraz przebiega
Teraz w pamięci obojga dziecięce roją się twarze
Słyszą ich śmiechy i płacze widzą znane szkolne podwórze
Przez chwilę przyszłość się do nich dziecinnym odzywa szczebiotem
Kwiaty i świergot ptaków liście i drzew młodych kora
Chrzęst żwiru i tysiące ulubionych rzeczy
Walczą o żal żałobny nad pięknością świata
Lecz gardła tych dwojga harde hartowane hasłami walki
Słuszne będzie ostatnie ich słowo

Widać że jest to ranek i miesiąc zimowy
Wszędzie straż rozstawiono a jej strach nikczemny
Jak skrzydło kruka mroczy ten poranek ciemny
Zaraz pluton broń wzniesie

Koniec Już tylko echo w dali odpowiada
Wszyscy stoją bez ruchu opuszczają głowy
On i ona upadli twarzami do ziemi
Wznoszącej ramiona ku ludziom

Tłumaczyła **Julia Hartwig**

CHARLES DOBZYNSKI

W MICZURINOWSKICH OGRODACH

(fragment poematu)

Słońce afiszów krzyczy
Przez każdą wyrąbaną bryłę węgla
Przez każdy atom siły w sprzężeniu
Kobieta bardziej godna będzie i lepiej ubrana
Przez każdy potok życia w piecach hutniczych
Dziecko podrośnie prędzej niż czas
Wszystko stanie się możliwe
I ludzie będą tak wolni tak przenikliwi
Że odkryją w sobie nowe lądy
Oto złoto idei które błyszczy dla ludów
I klucz do skarbów Ja daję go tobie jednej
Moja miłości i ty wiesz że daję go wszystkim
Oto dla ciebie klucz do tego kraju
Gdzie człowiek jest źródłem świata

Tłumaczyła **Mieczysława Buczkówna**

RENE DEPESTRE

KARTKA DO RAYMONDE DIEN

Wiersz nie zastąpi Tobie
wód wezbranych wolności
Wiersz nie sprowadzi Tobie
błękitu nieba
do celi
Wiersz nigdy taki nie będzie
gorący jak ucisk dłoni
ani radosny jak zryw
gołębic młodych

Ale wiersz wiezie to wszystko
ze sobą
gdy w jasne południe serca
wypływa na pełne morze
nadziei
Prawdziwiej żyje wtedy
niż bataliony policjantów

Niechże i ten
zrodzony w odległych rejsach
pierwszej mojej miłości
popłynie nad więzieniem
i z milionami towarzyszy śpiewa
o Twoim wyzwoleniu pieśń.

14 lipca 1950

Tłumaczył **Jerzy Lisowski**

MADELEINE RIFFAUD

LIST DO RAYMONDE

Pozdrowienie, Raymonde! —
To małe słońce co się toczy,
pali i sprawia ból
w sercu, które cię kocha,
nazywa się: „Raymonde".

I mała łza
w oczach mateczki
pomarszczonej i czarnej,
której syn został
na zawsze tam, w Vietnamie,
nazywa się: „Raymonde".

Pozdrowienie, Raymonde!
Akordeon dokerów
w portowej winiarni,
co na morze spogląda

Akordeon górników
i taneczne melodie
rosyjskiej młodzieży
śpiewają: „Raymonde".

Pozdrowienie, Raymonde!

Błękitny jest horyzont,
rozszerza się wciąż
błękit roboczych bluz,
sprał je pot,
wypłukała woda.

Chciałabym tobie podać
gołębia,
jak te z Bethune,
białego gołębia do tulenia,
lecz jesteś tak bogata.

Ty możesz dotykać rąk
wszystkich kolorów,
rąk mężczyzn i kobiet
walczących o pokój,
myślących o tobie, Raymonde.

Dojrzeje wiosna,
włoży kwiaty
w twoje ramiona. Ucałuje ciebie —

Niedługo, Raymonde.

Tłumaczyła **Mieczysława Buczkówna**

JACQUES DUBOIS

NIEPODLEGŁOŚĆ

(fragment poematu)

A wy pisarze Wolnej Ameryki
o sumieniach z rozciągliwej gumy
Steinbecki
Faulknery
Caldwelle
co pisujecie piękne nowele
i powieści wielkie
jak rzeki
Na co czekacie żeby wreszcie roztworzyć gęby

I ty Mac Leish jasny gwint
co ty w tym wszystkim robisz
w tej zgniliźnie
Głowę chylisz
No i co
A przyszłość

Dla was sto milionów zabitych to drobnostka bez większego znaczenia
byleście tylko
w miękkich wygodnych fotelach
mogli spokojnie pisać swoje wspomnienia
No i co
Tak was przeraża ten ewentualny roczek więzienia
Nie
Więc na co czekacie Rwijcie sygnał alarmowy
Będzie za późno
kiedy krew i łzy potoczą fale East River
a trupami spłynie Missisipi
Dlaczego panowie pisarze nie krzyknie żaden z was
Nie zgadzam się
Nie zgadzam się z gansterstwem takiej Ameryki

Ale
Stuliliście mordy w kubeł wśród trupich waszych miast
i przeżuwając przyszłe swe mądre powieści o wojnie
mówicie że dobrze jest jak jest
pozwalacie gangsterom na wszystko

A jutro
z lufą rewolweru wciśniętą mocno w plecy
będziecie komentować audycje „Głosu Ameryki"

Tłumaczył **Jerzy Lisowski**

Poeta klęski i odrodzenia Niemiec

(Dokończenie ze str. 7-ej)

O ludu w mroku błądzący,
gdzie ty,
Tam ja, i ból jest jeden twój
i mój;
Ty, co miast prawdy masz
żebraczy strój
O ludu w mroku, to dla ciebie

Tragiczny byłby ten powrót, gdyby nie świadomość, że zwycięstwo Armii Radzieckiej otworzyło historyczne perspektywy dla demokratycznego odrodzenia nowych Niemiec, dla sprawy, której oddane było każde słowo i każdy czyn Bechera.

Ta optymistyczna świadomość dochodzi do głosu w przemówieniach i artykułach poety, najpełniej zaś w książce „Szkoła wolności". W książce tej jest Becher moralistą i mądrym wychowawcą narodu. Jego analiza dotyka najboleśniejszego okresu ostatniej historii, jest surowa w piętnowaniu win, pełna troski, ale i nadziei w kreśleniu przyszłości. Bezlitosna krytyka odsłania wszystkie słabości narodu, który nie potrafił w porę stawić czoła faszystowskiej zmowie. Ton tej krytyki jest osobisty:

Kiedy odprawiam sąd nad swoim
czasem,
To mówiąc „winien", siebie
winię razem.

Poeta usiłuje wprowadzić ład do tego zamętu pojęć i wartości; jaki pozostawiły po sobie czasy morderców, nawołuje do przywrócenia pojęciom humanistycznej treści, a wartościom ich ludzkiej skali.

Po upadku dyktatury Hitlera zapanował w Niemczech stan duchowego chaosu i niepokoju, podsycany przez aparat propagandowy zachodnich mocarstw okupacyjnych. Trzeba było przeciwstawić się siłom zmierzającym do utrwalenia i pogłębienia duchowego zamętu wśród inteligencji niemieckiej. W dziele tym decydującą rolę odegrała i odgrywa publicystyka, artystyczna i polityczna działalność Johannesa Bechera. Wszędzie, gdzie toczy się walka o prawo do przemiany i o istnienie niemieckiego narodu, zobaczyć można Bechera, członka Rady Ludowej, posła do Volkskammer, członka Rady Narodowej, działacza Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec, organizatora i wielokrotnego prezesa Kulturbundu. Johannes Becher stał się trybunem narodu niemieckiego w jego walce o pokój światowy. Szeroko rozniosła się sława przemówień poety na obradach Kulturbundu, na międzynarodowych i krajowych posiedzeniach PEN-Clubu, na pierwszym Kongresie Niemieckich Bojowników o pokój.

POETA POKOJU

Naród niemiecki, który dwukrotnie wyróżnił Bechera Narodową Nagrodą I stopnia, nadał mu najzaszczytniejszy tytuł, jaki może otrzymać pisarz — tytuł poety pokoju. Poetą pokoju i niemieckiej jedności jest Johannes Becher, autor narodowego hymnu młodej Republiki — pierwszego niemieckiego hymnu sławiącego szczęście pokojowego życia i rozniecającego płomień nadziei za barierami zachodnich stref.

Historia Niemiec powojennych, jedyna w swym rodzaju historia dramatycznej walki o przemianę całego narodu, to także historia życia i sztuki Jana Bechera, ludowego poety wolnych i o wolność walczących Niemiec.

Wymowa twórczości Bechera, jej miejsce w walce światopoglądów, jest jednoznaczne: za prawami historii i rozumu, przeciw prawu ciemnych instynktów i metafizycznych przesądów, za jasnością i prawdą, przeciw mistycznemu stosunkowi człowieka wobec kryzysów i klęsk społecznych, za wiarą w człowieka działającego w zmienionych warunkach społecznego bytu, przeciw wstecznictwu.

Znajomość praw rozwojowych społeczeństw w dobie imperializmu, właściwe rozpoznanie istoty wojen naszych czasów, cała ta rozległa wiedza o świecie i zasadach przekształcania go, jaką daje teoria marksowsko-leninowska, została wykorzystana w dziele Bechera i pomnożyła jego poznawczą siłę. W duchu tej wiedzy rozwiązuje poeta samodzielnie podstawowe dla każdego twórcy zagadnienia estetyczne. Stosunek piękna do życia. Piękno abstrakcyjne, nie dotykające ludzkiej doli, jałowe estetyzowanie górnych dziesięciu tysięcy, Luwr obok Oświęcimia, czy też piękno pełne humanistycznej treści, przyjazne człowiekowi, pomagające żyć, związane z prawdą i dobrem.

W wielkich ruchach wyzwoleńczych naszych czasów, w rewolucyjnej walce ludów obalających panowanie wyzysku i przemocy dostrzegł Becher blask nowego, porywającego piękna.

Że świat jest piękny, nagle
i potężnie
Odczułem, widząc ludów słuszny
gniew,
Kiedy o wolność swą walczyły
mężnie,
Tyranów karząc. Pięknie
dźwięczy zew
Greków, co barbarzyńców się nie
zlękną!
W walce o prawdę jest
prawdziwe piękno,
Piękna jest miłość, co rozpala
krew.

W miarę jak poezja Bechera stawała się coraz doskonalszym zwierciadłem rzeczywistego świata, jego walki i zwycięstw, jego nędzy i nadziei, uświadamiał sobie poeta estetyczne i społeczne znaczenie prostoty poetyckiego wyrazu. Żywa treść i maksymalna prostota środków, użytych do jej pokazania — oto kryteria doskonałego artystycznie i aktywnego społecznie dzieła. Według tej miary współczesność będzie sądzić pisarza i biada temu, kto tej mierze nie sprosta —

Aż dnia pewnego w pełnym
świetle stanie,
I czas mu każe złożyć
sprawozdanie:
Przemówił wierszem prostym
niesłychanie
I spostrzegł, że tak proste
przemawianie,
To dla mistrzostwa
najtrudniejsza z prób!

Wiara w przemianę Niemców, w moralne odrodzenie całego narodu wraz ze zmianą społecznych i politycznych warunków jego bytu, stanowi oś tematyczną powojennych wierszy Bechera. Wiarę tę umacnia każdy dzień młodej Republiki, tętniący pokojową pracą, zmieniający naród żołnierzy w naród budowniczych sprawiedliwego porządku Krytyka przeszłości ustępuje teraz afirmacji nowego życia. W pełnych szlachetnego patosu hymnach głosi poeta pochwałę ojczystej ziemi, czasów i rzeczy, wszystkich ras, pochwałę tworzącego człowieka.

Wiara w człowieka i jego pokojowe dzieło predystynowała Bechera do wypowiedzenia tego, co nowe. Skłaniała do tego porywająca dynamika życia, przykład młodzieży, ruch aktywistów, rozmach odbudowy.

Rok 1949 przynosi nowy cykl wierszy, obrazujących w szerokim rzucie ideowe i społeczne przeobrażenie kraju. Becher, mistrz klasycznych form wiersza, osiąga tutaj niezrównaną, aforystyczną niemal prostotę stylu, w której przegląda się cała uroda ludowego języka.

Nie służy sługa, nie panuje pan,
Panuje wolnych, równych ludzi
stan.

Z wierszy poety ustępuje ostatecznie bogaty ornament retoryczny, który przez długie lata stanowił znamię jego pisarstwa — sztuka Bechera dojrzewa do ambitnej próby odrodzenia pieśni ludowej, żywiącej się nową, współczesną treścią. „Nowe niemieckie pieśni ludowe" z muzyką Hansa Eislera podbijają całe Niemcy, niosą się jak wiatr ponad granicami stref, omijają straże i celne przepisy. Wszędzie znane, wszędzie śpiewane, są żywym wyrazem duchowej jedności rozdartych przez okupacyjne rządy Niemiec. Walka, marzenia i nadzieje prostego człowieka naszych czasów, jego tęsknota za pokojem, jego namiętne umiłowanie życia i twórczej pracy — dźwięczą pełnym i harmonijnym wyrazem w becherowsko - eislerowskich pieśniach, dając świadectwo radosnej prawdzie o moralnym odrodzeniu niemieckiego narodu.

Twórczość Johannesa Bechera, pisarza, który przekroczył już sześćdziesiątkę, barwi się dzisiaj rumieńcem młodości, kryjącym zapowiedź dalszego, bujnego wzrostu.

Andrzej Wirth

RAYMOND LAVIGNE

KREW

Krew ludzi białych
Krew ludzi żółtych
Krew jest czerwona
W boju okrutnym

Krew jest czerwona
I pomstę głosi
Ostrzom stalowym
Dniom śmiercionośnym

Krew jest czerwona
Płynąc przeklina
Dłonie zbrodnicze
Na karabinach

Krew jest czerwona
W vietnamskich rzekach
Krew jest czerwona
W sercu człowieka

Nad Kaobangiem
Leci Dakota.
Salwa za salwą
Miesza zagładę
Z ziemią uprawną
Krew ludzi żółtych
Krew ludzi białych

Tłumaczył **Artur Międzyrzecki**

EDMUND NIZIURSKI

W Będkowie

Ilustrował FRANCISZEK STAROWIEYSKI

No, to jesteśmy na miejscu. – Bartosik pchnął przed sobą ciężkie drzwi.

Schyliłem głowę, żeby nie uderzyć o niską futrynę. Więc tak wygląda kwatera Bartosika. Znajdowałem się w przestronnej ale dusznej i ciemnej izbie obielonej na mocny siwy kolor. Przez puszyste pelargonie w małym kwadratowym oknie wciskało się zachodzące słońce i kładło zielonkawymi plamkami na staroświeckim piecu kuchennym.

— Niech pan tu zaczeka, a ja jeszcze wyskoczę na wieś — powiedział Bartosik.

— Zaraz — zatrzymałem go — mówił pan, że tu miała gdzieś być świetlica...

— A to tam — wskazał bez zapału na drzwi do sąsiedniej izby.

— Można zobaczyć?

— Nic ciekawego, teraz właśnie remontujemy...

Otworzył niechętnie drzwi i ujrzałem izbę taką samą jak kwatera Bartosika, tylko nieco większą. Ławy były zsunięte do środka, prócz jednej, na której stała stara, niska kobieta z miotełką i wiaderkiem, i bieliła ściany. Na nasz widok zeszła z ławy i otarła twarz, upstrzoną białymi kropelkami wapna. Zdarte ześcian dekoracje, wyblakłe kolorowe wstążki z bibułki i stary plakat z tłustym kułakiem, siedzącym na workach zboża, walały się po podłodze.

W okienku na miejscu wybitej szyby tkwiła tektura.

Bartosik poprawił czapkę na głowie i spojrzał na mnie ukradkiem zatroskanymi oczyma.

— Co pan chce, Będków to jest Będków — rzekł swoim rozwlekłym głosem, jakby uprzedzając moje uwagi.

Podszedłem do wielkiej szafy stojącej w kącie.

— To biblioteka — wyjaśnił Bartosik. Widząc, że zająłem się przeglądaniem książek, wyszedł szybko z izby.

Książki były nieskazitelnie czyste, co — przyznam się — nastroiło mnie trochę nieufnie do czytelnictwa w Będkowie.

Rozejrzałem się za kartoteką. Na dolnej półce szafy znalazłem tekturowe pudełko z napisem „Dobrolin" i brodatą głową kozy. Było wypełnione kartonikami z nadrukiem: „Karta czytelnika. Rok 1952". Przeważnie znajdowały się tam po dwa-trzy tytuły przeczytanych książek. Tylko jedna zawierała ich pięć: Nowele Sienkiewicza, „Zorany ugór" Szołochowa, „Traktory" Zalewskiego, „Kalendarz Robotniczy" i „Jak rolnik może usprawnić swoją pracę".

Spojrzałem na odwrotną stronę karty, gdzie bibliotekarz wypisuje personalia czytelnika. Przeczytałem nazwisko: Szczypiorowa. Tylko tyle. Pozostałe rubryki nie były wypełnione.

Tymczasem w izbie nagle pociemniało. Zobaczyłem przez okno dziewczynę w fartuchu narzuconym na głowę, zaganiającą pospiesznie spóźnioną krowę. Potem obraz zamazał się w miękkich strużkach ulewy ściekających po szybie.

Więc jednak Bartosik wywęszył ten deszcz — pomyślałem.

Dobrze, że zostałem w Będkowie. Miałem łapać nocną kolejkę w odległej o dziewięć kilometrów Złotej i chciałem się wyrwać na piechotę zaraz po odczycie, ale mnie Bartosik zatrzymał.

— Bez deszczu się dziś nie obejdzie. Będą jechali z mlekiem na stację, to pana podwiozą.

Zgodziłem się tym łatwiej, że chciałem jeszcze z obowiązku redakcyjnego pogadać z Bartosikiem, gminnym referentem oświaty, kierownikiem świetlicy i bibliotekarzem w jednej osobie.

A oto i on. Wpadł do izby zziajany, z podniesionym kołnierzem i odkrytą głową. Misternie zaczesaną fryzurę rozmyły mu strumienie deszczu i ujawniły solidną łysinę.

— No i leje — zasapał, kładąc na stół czapkę wypełnioną po brzegi jajkami. — Będzie kolacja — otarł chusteczką czoło, uśmiechając się zwycięsko, po czym zdjął lampę naftową, napchał do okopconego szkła papieru i zaczął zamaszyście czyścić.

— Światło od Śląska w tę stronę ciągną... Ale do nas do Będkowa to chyba na końcu dojdzie — rzekł tonem usprawiedliwienia — taka wieś, widzi pan, na boku... ani szosy, ani elektryczności... to i z oświatą niewesoło.

— No, przecież macie z pół setki czytelników... widziałem w kartotece.

— Dokładnie sześćdziesięciu pięciu i zespół czytelniczy, proszę pana — uzupełnił — ale... — machnął ręką.

— Najwięcej kłopotu, to chyba z byłymi analfabetami.

— E, kto to powiedział — ożywił się Bartosik. — Z nimi to jeszcze najłatwiej. Taki, co jeszcze niedawno był analfabetą, przez to, że świeżo ma za sobą naukę, do książki jest przyzwyczajony i dla niego zespół dobrego czytania, to jakby do drugiej klasy przeszedł... — Bartosik przytknął palcem knot i oczyścił z nagaru — ale spróbuj pan namówić do czytania starą kobietę, która nigdy żadnej książki prócz książeczki do nabożeństwa w rękach nie miała, a której się za analfabetkę nie uważa, bo coś tam sylabizuje i podpisać się w urzędzie potrafi...

Patrzyliśmy w milczeniu na nikły płomyk pulsujący za szkłem.

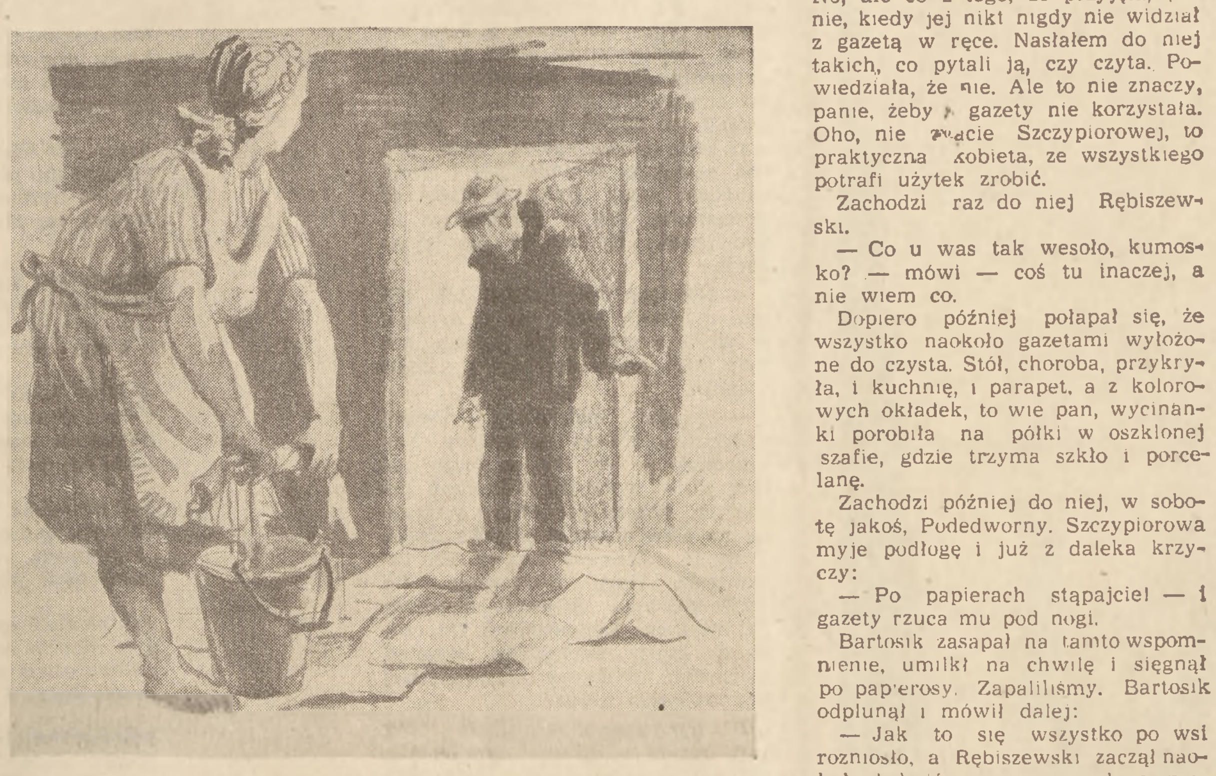
— Widział pan tę Szczypiorową? — rzekł po chwili. — Nie daj Boże, co ja z tą kobietą przeszedłem — podniósł lampę i zawiesił wysoko na gwoździu. — A od niej trzeba było zacząć — dodał.

— Jak to... „trzeba było"?

Bartosik rozdmuchał pod fajerką kuchni żar i nasypał suchych gałązek wierzbowych, najpierw drobnych, potem grubszych. W izbie zapachniało przyjemnie dymem jak kadzidłem.

— Trzeba było — powtórzył pochylony nad blachą. — Sekretarz kazał.

— Bo widzi pan... — zaczął z wahaniem i spojrzał ostrożnie w moją stronę. — U nas to było tak. Co kto przyjedzie z powiatu, to mówi: „A no, bardzo tu u was pięknie w tym Będkowie, towarzyszu Pasternak,



tylko aktywu kobiecego u was ani na lekarstwo". Towarzysz Pasternak kiwał głową, ale jakoś się tym nie przejmował, a myśmy się nie dziwili, bo ważniejsze sprawy mieliśmy na głowie... Był, wie pan, ruch na spółdzielnię... zresztą, jakby się człowiek wszystkim przejmował...

— Jakże tak... — zacząłem i musiałem wyglądać na nieprzyjemnie zdziwionego, bo Bartosik podniósłszy znad ognia czerwoną twarz przerwał mi niecierpliwie:

— Zaczekaj pan, ja tylko mówię, jak było, a było tak, że niby się wiedziało, że kobiety należy wciągać i tego... tam... szkolić, ale się myślało, że my w naszym Będkowie jakoś przemycimy się bez kobiet, po staremu, i nawet nikt nie zauważy... zresztą nasze kobiety są dobre i uświadamiać ich specjalnie nie potrzeba, i tak pójdą za mężami. Tak się z grubsza myślało, tylko niech pan tego gdzie nie napisze — zastrzegł się, rzucając ostrożnie na patelnię kawałki słoniny. Jątrzący podniebienie swąd napełniał powietrze. Poczułem, że jestem głodny.

— No i zemściło się — mruknął Bartosik. — Dużo by o tym można gadać, na całą książkę starczyłoby... Tyle panu powiem, że ledwo się komitet założycielski z wielką biedą ustanowił, między kobietami rozruch powstał, lamentacja, niezdrowe rajcowania, bieganina i nowenny, pan wie... Ani rusz nie dały sobie przetłumaczyć, powyciągały mężów z komitetu, no i rozleciało się wszystko z wielkim hukiem. Śmiali się później niektórzy, że nas baby rozgoniły. Nasz Pasternak dostał za to wszystko straszne rugi w Komitecie Powiatowym. Mówią do niego: „Widzisz, dały ci kobiety bobu. Zamiast pracować, tyś się, towarzyszu, chciał przemycić. Nie ma tak dobrze. Zmiataj i bierz się do roboty od początku".

Pasternak wrócił z czerwonymi uszami. My do niego: „Co robić?" A on: „Głowa do góry — mówi — bierzmy się za kobiety".

Bartosik podsunął mi jajecznicę. Jedliśmy w skupieniu. Bartosik uwinął się pierwszy i podszedł do kuchni nastawić herbatę.

— Nasz sekretarz Pasternak — podjął znów temat — to jest człowiek śmiały. „Co nam — mówi — kurczęta i pomniejsze kurki, najpierw trza się wziąć za kwokę, bo ona najwięcej gdacze i rej wodzi. Jak myślisz, Bartosik — pyta mnie — kto tu u nas jest taką kwoką?"

— Wypadałoby, że Szczypiorowa — odrzekłem.

— Ale to nie była taka prosta sprawa, niech pan nie myśli. Wiedzieliśmy, że na Szczypiorową stawiać, to wielkie ryzyko. Kobieta z niej była... taka... jak to panu powiedzieć... mało odpowiedzialna. Aż strach było zaczynać. W gminnej radzie i w spółdzielni z wieloma miała na pieńku. Przez swój język i złośliwość. Bo niech pan powie, jak się miał na nią prezes Gminnej Spółdzielni, Komar, nie pogniewać. Tu, panie, zebranie grupy hodowców trzody chlewnej, prezes przemawia, jak to niektórzy prezesi lubią, niby uczenie, dużo słów, a w kółko to samo, więc wyszło trochę nudnawo, no, ale przecież prezesowi wolno, a ona wierci się na miejscu, w końcu powiada na głos ni w pięć ni w dziewięć: „Gadacie prezesie, a świnia wam zdechła". Ludziom w to graj, tylko na takie coś czekali. Zaraz śmiechy i nic nie zostało z prezesowej powagi. Jak mu wtedy przypięła tę łatkę, to ją do dziś nosi. Teraz to powiedzenie Szczypiorowej wciąż powtarzają i nie tylko względem Komara, ale w ogóle... tak przy każdej okazji.

Dlatego długo zastanawiał się sekretarz, ale spodobała mu się rezolutność Szczypiorowej i zaryzykował. A najwięcej to przemogło, że miała w gromadzie poważanie. Bo musi pan wiedzieć, że kobieta z niej nie głupia, ho, ho... lepiej sobie na tych swoich siedmiu morgach radzi, niż niejeden na czternastu, chociaż prawie jak wdowa.

— Jak to „prawie"? — zapytałem z uśmiechem.

Bartosik ostrożnie nalewał herbatę do kubka, trzymając gorący czajnik przez ścierkę.

— A no, prawie jak wdowa — powtórzył — bo mąż jest, ale się nie liczy.

— Aha, rozumiem — roześmiałem się.

Bartosik popatrzył na mnie surowo.

— Niech pan tam czego nie myśli. On jest chory. Dziesięć lat już słabuje. Przez to cała gospodarka na głowie Szczypiorowej. Tyle jej łatwiej, że dzieci podchowane. Ale zawsze, pan wie, co to znaczy brak chłopskiej ręki... A Szczypior tyle tylko się przyłoży, co w warsztacie wydłubie... bo on stolarz... dobry stolarz, tylko przez tę chorobę wiele nie zrobi. Za to Szczypiorowa! Nawet nie wygląda na taką, na oko — zwyczajna babina. Dużo jest takich, co jej zazdroszczą. Prawdę mówiąc, to jest czego. Po wojnie pobudowała się na nowo, pan widział ten dom na podmurówce z tamtej strony kościoła, to właśnie jej. Dziwili się ludzie, skąd taki duży dom z siedmiu morgów. Powiadali niektórzy, że umiała posmarować i u leśniczego, i u wójta. Ja tam nie wiem — podsunął mi chleb i kawał wędzonego boczku — może z zawiści tak mówili. Tyle wiem, że ona umie się koło gminy zakręcić. Zaraz w czterdziestym szóstym dostała pożyczkę z banku. A później, jak tylko kredyt jaki, ziarno selekcyjne, maszyny, towar w spółdzielni, to ona pierwsza.

Jednego wieczoru bierze mnie sekretarz pod rękę i drogą za wieś prowadzi — on zawsze tak robi, jak mu jakaś sprawa na sercu leży. Po drodze gadamy sobie o tym wszystkim, w końcu sekretarz powiada:

— Naprzód ty musisz zrobić, Bartosik, żeby ona zaczęła czytać... to przecież da się zrobić.

Łatwo było sekretarzowi powiedzieć. Próbowałem ściągnąć do świetlicy, nastawiam radio na cały regulator. „Chodźcie, posłuchajmy sobie muzyki, młodzi pośpiewają, wieczory teraz długie". Ale gdzie tam, za głupie to było na nią kuszenie. Mówi, że czasu nie ma, a to — że mąż chory, że gospodarka, a to — że za stara na muzykę, że to już nie dla niej, w końcu powiada: „Dobrze, ja pójdę, ale ty, Bartosik, sieczki dla konia urżniesz i krowom kiszonki zadasz".

Próbowałem skusić ją na pogadanki rolnicze, ale mnie wyśmiała: „E, Bartosik — powiada — na co mi to, stary już chłop jesteście, a w takie różne wierzycie. Mądra gospodyni, jak ma w skrzyni".

Bartosik uśmiechnął się smutno.

— Takie, widzi pan, było z nią gadanie. Idę i mówię Pasternakowi: „Nie da się, towarzyszu, kobieta uparta, lepiej młodszymi się zająć". Tak mówię, ale nie kończę, bo widzę po gębie Pasternaka, że jeszcze trochę, a huknie na mnie. Pomiarkowałem się i zaczynam pomału wykręcać kota ogonem, a on surowo do mnie, żebym mu więcej z takimi głupimi pomysłami nie przychodził. Szczypiorowa musi zacząć czytać — przynajmniej gazety.

Gazety? — myślę — a no myśl jest, może faktycznie od gazet trzeba by zacząć, tylko jak? Ciężko coś, choroba, wymyślić. Ale już się, wie pan, jakaś złość obudziła we mnie. „Czekaj babo — mówię sobie — już ja na ciebie haczyk znajdę". Rano idę do Komisji z gotowym pomysłem. — Trzeba jej zaprenumerować gazetę — powiadam.

Liczyłem, wie pan, na to, że jak będzie do niej gazeta stale przychodzić, to choć ją to może na początku złościć, ale w końcu oswoi się i przeczyta.

W Komisji zrobili najpierw wielkie oczy, a potem skrzywili się. Najwięcej stary Rębiszewski, ten niby jej kumoter, że on Szczypiorową zna i że ona nie weźmie gazety do ręki. To będzie wyrzucenie pieniędzy, a wszystko zda się jak psu na budę. Ale przewodniczący Komisji Gabryś mnie poparł.

— Choroby, — powiada — chcieliście mieć babski aktyw, to trzeba ofiary ponosić i płacić.

No i wreszcie podpisały sknery asygnatę na trzy złote, a ja zaprenumerowałem Szczypiorowej „Gromadę".

Bałem się, czy przyjmie, jak listonosz jej przyniesie, ale przyjęła. No, ale co z tego, że przyjęła, panie, kiedy jej nikt nigdy nie widział z gazetą w ręce. Nasłałem do niej takich, co pytali ją, czy czyta. Powiedziała, że nie. Ale to nie znaczy, panie, żeby z gazety nie korzystała. Oho, nie znacie Szczypiorowej, to praktyczna kobieta, ze wszystkiego potrafi użytek zrobić.

Zachodzi raz do niej Rębiszewski.

— Co u was tak wesoło, kumosko? — mówi — coś tu inaczej, a nie wiem co.

Dopiero później połapał się, że wszystko naokoło gazetami wyłożone do czysta. Stół, choroba, przykryła, i kuchnię, i parapet, a z kolorowych okładek, to wie pan, wycinanki porobiła na półki w oszklonej szafie, gdzie trzyma szkło i porcelanę.

Zachodzi później do niej, w sobotę jakoś, Podedworny. Szczypiorowa myje podłogę i już z daleka krzyczy:

— Po papierach stąpajcie! — i gazety rzuca mu pod nogi.

Bartosik zasapał na tamto wspomnienie, umilkł na chwilę i sięgnął po papierosy. Zapaliliśmy. Bartosik odplunął i mówił dalej:

— Jak to się wszystko po wsi rozniosło, a Rębiszewski zaczął naokoło bębnić o wyrzuconych pieniądzach i zwariowanych pomysłach, poczułem się ośmieszony przed ludźmi. Pan wie, ludziom niewiele potrzeba do śmiechu. Zaczęli ze mnie szydzić, że Szczypiorowa moim kosztem się bawi i wycina te frędzelki, a ja jej dostarczam materiału. A już najwięcej to się śmieli Czaja i Szymański, bo oni są z tych, co się śmieją ze wszystkiego nowego i w nic nie wierzą. Rano spotyka mnie taki, to zaraz na głos krzyczy:

— Bartosik, Szczypiorowa o gazetę prosi, bo podłogę umyła! — i rechocze, a ludzie słuchają.

Tak mnie to, wie pan, zgniewało, że w końcu siadłem i napisałem do „Ruchu", żeby Szczypiorowej więcej „Gromady" nie przysyłali, no i przestałem płacić, a było płacone miesięcznie, bo tak chciał Rębiszewski, który wciąż mówił, że ta zabawa nie potrwa dłużej jak miesiąc.

Tymczasem minęło dwa miesiące. Miałem co innego na głowie i o całej tej sprawie już prawie zapomniałem, kiedy raz woła mnie przewodniczący Gabryś i mówi:

— Józek, ty już z tym skończ, ludzie się z ciebie śmieją i autorytet Komisji cierpi. Nie udało się i tyle.

— Nie rozumiem — powiadam — przecież ja już dwa miesiące temu prenumeratę wstrzymałem.

Gabryś patrzy mi w oczy i widzę, że nie wierzy.

— No, no, nie łżyj... ja wiem, że ci wstyd, ale nie łżyj — za rękę mnie bierze.

Wzruszyłem ramionami.

— Mówię prawdę.



— Tak? — odpowiada i oczy mruży — to dziwne, bo gazety do niej wciąż jeszcze przychodzą.

Co jest, choroba — myślę.

Biegnę do kancelarii, wyciągam ze skoroszytu odpis pisma do „Ruchu" i podtykam pod nos Gabrysiowi. Założył okulary i zaczął czytać. Potem ręka mu opadła. Teraz on z kolei nie rozumiał. Poprawił szelki, jak zawsze, gdy bywa zdenerwowany i mruknął:

— Dziwne, choroba... wyjaśnijcie to.

Codziennie o dziewiątej przejeżdża koło naszego okna listonosz Jasio Stokłos. Drugiego dnia rano kiwnąłem na niego.

— Panie Jasiu, chodźno pan.

Stokłos oparł rower o płot i podszedł pod moje okno.

— Co dobrego? — pytam, częstuję go papierosem. Zagaduję o tym i owym, i jakby niechcący na Szczypiorową sprowadzam:

— Przychodzi do niej jaka gazeta?

— A jakże, przychodzi. „Gromada".

Dopiero wtedy poznałem, proszę pana, jak ta sprawa głęboko za skórę mi zaszła. Taka śmieszna sprawa, a tak mi, panie, za skórę zaszła. Sam się zdziwiłem, że mnie to tak obeszło. Nie wytrzymałem i zakląłem:

— Cholera, patrz pan, panie Jasiu, jaki bałagan w tym „Ruchu"! Przecież ja zabroniłem. Urzędowo napisałem, żeby Szczypiorowej nie przysyłać, a oni przysyłają...

Jasio wytrzeszczył oczy, jakby mnie pierwszy raz widział.

— Jak to? — bąknął zmieszany — Nie rozumiem, pan? Pan to napisał, Bartosik?

— Tak, ja — odrzekłem. — Szkoda papieru dla tej baby. No, co się tak patrzysz na mnie?

Tak powiedziałem, panie. Pamiętam wszystko jak dziś... Jasio wtedy otworzył usta, ale nic nie powiedział, tylko zaczął biedak cofać się bokiem coraz prędzej, aż wreszcie dopadł jednym susem roweru i zniknął za węgłem.

Pokręciłem głową, bo zdawało mi się, że coś z naszym Jasiem nie zupełnie w porządku. Pan się śmieje, ale to wcale nie było śmieszne. Trzy dni później dzwonią do mnie z powiatu. Doszły ich pogłoski, jakobym ja, Bartosik, kierownik świetlicy, bibliotekarz i referent oświaty w Będkowie, zabraniał kolportażu i czytania prasy demokratycznej oraz uprawiał propagandę ciemnoty i wstecznictwa.

Pan rozumie, że człowieka mógł wtedy szlag trafić. Zaczynam krzyczeć, że to podłe oszczerstwo i niesprawiedliwość, próbuję wyjaśniać, ale czuję, że mi nie bardzo wychodzi. Każą mi napisać sprawozdanie z pracy nad podniesieniem czytelnictwa w Będkowie w ostatnim kwartale. Chcę im wszystko wytłumaczyć, ale na próżno.

Pisz pan im teraz sprawozdanie!... Pan rozumie, że pisząc o czytelnictwie, musiałbym się przede wszystkim przyznać, że mi z tą Szczypiorową nie wyszło... tego nie dałoby się ukryć, sprawa już była głośna. Wreszcie, co tu dużo gadać, z czytaniem w naszej gminie było w tym czasie paskudnie. Zajęcie się, proszę pana, jedną Szczypiorową to był chyba błąd, przez nią jeszcze bardziej zaniedbałem resztę.

Nim zdołałem ochłonąć, wzywają mnie do Komitetu Gminnego. Nieszczęścia, jak pan wie, chodzą w parze. Nie omyliłem się. Niech pan zgadnie, kogo tam zastałem? Szczypiorową.

Jak tylko mnie zobaczyła, porwała się z miejsca, wycelowała na mnie palec i jak nie zacznie wymyślać na cały głos: — To ta cholera, ten skrobek gminny!... Przez złość!... przez złość!... Taki mizerak, a taki mściwy... Niedojdy zawsze są mściwe.

— O co wam chodzi? — wykrztusiłem.

— O co? O co? — doskakuje do mnie i kułakiem przed nosem mi macha.

— Pisałeś do Warszawy, żeby mi gazetę wstrzymali, bo dla mnie szkoda papieru? Powiedz, pisałeś?

— Pisałem, ale przecież...

Nie dała mi skończyć. Za klapy mnie chwyciła...

Nie wiadomo, do czego by doszło, szczęściem sekretarz od razu ją odciągnął.

Już wtedy coś mi w głowie zaczęło świtać.

— Powiedzcie mi... jak to się stało, że do was wciąż jeszcze przychodzi ta gazeta?

— Widzisz go! — zasyczała — nie może mi tej gazety odżałować! Co się miało stać? Z nieba nie spadła! — krzyknęła opryskliwie — zaprenumerowałam, choroba, obejdzie się bez łaski...

Zacząłem tłumaczyć. Nie bardzo mi wychodziło, bo Szczypiorowa wciąż jeszcze, jak ten kat, nade mną stała. Na szczęście Pasternak mnie zrozumiał.

— Nie bójcie się, matko, nikt wam gazety nie wstrzyma, ani nie zabierze.

I patrz pan, jak się przyczaiła... Dziwili się od jakiegoś czasu w szkole, czemu jej najmłodsza, Kryśka, na lekcjach ziewa i drzemie. I wie pan, co się wykryło? Wykryło się, że codziennie do późnego wieczora matka pokryjomu dukała z nią „Gromadę". Uczyła się, choroba. No i przez te dwa miesiące podciągnęła się nieźle. I właśnie wtedy ja jej tę prenumeratę wstrzymałem. Teraz widzę, że rzeczy nie zbadałem, jak należy... Ale mówię panu, pan by też nie wytrzymał.

Tego samego dnia nocną kolejką poszło do powiatu sprawozdanie, w którym sprawa Szczypiorowej została wyjaśniona z detalami. Ale przyznam się panu, że nie byłem ze wszystkim uspokojony. Na drugi dzień, jak przypomniałem sobie te wycinanki, zdjęły mnie wątpliwości, czy Szczypiorowa naprawdę czyta.

A na piąty dzień przeczytałem w „Gromadzie" dwie korespondencje z gminy Będków, podpisane inicjałem „Szcz". — W dopisku było powiedziane, że imię i nazwisko znane redakcji.

Pierwsza z tych korespondencji nosiła tytuł:

„Najwyższy czas uzdrowić kumoterskie stosunki w Gminnej Spółdzielni".

Tytuł zaś drugi brzmiał:

„Jak zgniły biurokrata Bartosik dławił czytelnictwo prasy w Będkowie".

Edmund Niziurski

EDWARD BERNSTEIN

REMBRANDT

Stropy kamienic stromo ryte w nocy.
Spasieni kupcy suknami kramarzą.
W juchtowych worach wino zabełkoce.
Lśnią halabardy cudzoziemskich straży.

Nad Amsterdamem noc. Ochrypły zegar
Rdzą się krztusi nim z wieży uroni godzinę.
W stęchłych manufakturach w milczących szeregach
Wyrobnik kark znużony nad krosnami zgina.

Martwe skrzydła wiatraków Chłopi chrapią we śnie,
O twarzach wyrąbanych przez surową dolę.
Noc nagłą i spoconą świt przegna zbyt wcześnie —
Woły w drewnianych jarzmach wyruszą na pola.

W taką noc przy sztalugach spryskanych farbami
Uwalnia się od grubych mecenasów Rembrandt.
Skinieniem pędzla postać zatrzymuje w ramie,
Ciemność osmala błyskiem ze złota i srebra.

STOLARZ

Wysmukły modrzew biblioteczny
Dębowe bluszcze ozdobiły;
Ugięte, jak w ukośnym wietrze,
Listki zwiesiły się pochyłe.

Drzewo wilgotne, jeszcze żywe
Sączyło swą żywiczną skargę,
A stolarz strugał niecierpliwie
I do krwi przygryzł dolną wargę.

Żywicą skrzepły świeże blizny,
Okryły je dębowe liście.
Myślałem patrząc: — w komunizmie
Stolarz zamieni się w artystę.

MŁODOŚCI SWEJ

Młodości swej na żadną nie zamienię.
Czyż można oddać to, co w nas najszczersze?
Wyrosłem w walce, w trudnym pokoleniu,
Poprzez nienawiść przeniosłem me serce
Zrośnięty z czasem trwam jak z własnym cieniem,
Miłością czas popędza serca bicie
I kiedyś może surowe milczenie
Przekaże w przyszłość prawdę mego życia.

HELENA WIELOWIEYSKA

Dni i noce ludzi Nowej Huty

NOWE HAŁDY NA STARYM ŁĘGU

Już ostatni miesiąc jeżdżę na Nową Hutę własnym przemysłem — autobusami i wypraszanym w krakowskiej rozgłośni zabytkowym, jak samo miasto, samochodem. Jeszcze trochę a do najmłodszej dzielnicy Krakowa wjedzie triumfalnie pierwszy, szybkobieżny tramwaj. „Na listopada" — jak tu się mówi, na siódmego, ma się rozumieć.

Ale dziś jeszcze jedynym prawie sposobem dostania się na budowę jest jazda autostopem. I wtedy jednak należy zachowywać się ostrożnie. „Pamiętaj, że rodzisz się bez części wymiennych" — brzmi napis na tablicy koło bramy wiodącej do kombinatu. Ten żartobliwy ton poważnego bardzo ostrzeżenia jest charakterystyczny dla Nowej Huty Tu — siedemdziesiąt procent ludzi to młodzież. I to młodzież — bardzo młoda. Junacy, chłopcy i dziewczęta ze szkół przysposobienia przemysłowego, po skończonym powszechniaku. 50 procent wszystkich pracowników szkoli się zawodowo, podwyższa swoje kwalifikacje.

W barze mlecznym najstarszego Osiedla Nowej Huty, to znaczy Osiedla A1, dwóch chłopaków w kombinezonach raczy się gorącą zupą jarzynową.

— A ten wasz nowy inżynier to jaki? — słucham rozmowy toczonej za kłębami białej pary unoszącej się nad talerzami.

— Pierwszorzędny! Choć stary. Mówię ci, ma już ze czterdzieści lat! A jak się rusza! Wszędzie jest.

Chłopiec, który przed chwilą zadał to pytanie kiwa z podziwem głową. Z aprobatą i z należnym szacunkiem dla sprawności fizycznej czterdziestoletniego starca kiwa głową przysłuchująca się rozmowie kelnerka, równie młoda jak jej klienci. Jesienny wiatr targa rzadkie gałązki młodziutkiej topoli. Odwrócone nagle liście zaświeciły biało i srebrzyście jak gwiazdki, którymi dłonie spawacza zasiewają niebo nad konstrukcją wielkiego pieca.

Przeobrażenie się młodego chłopaka czy dziewczyny ze wsi w wykwalifikowanego robotnika nowoczesnego, socjalistycznego kombinatu nie jest sprawą prostą ani łatwą. Trudniejsze to czasem niż zmiana gładkiej, podkrakowskiej równiny w przemysłowy krajobraz ulic i kominów.



Foto CAF

Fragment budowy miasta Nowa Huta.

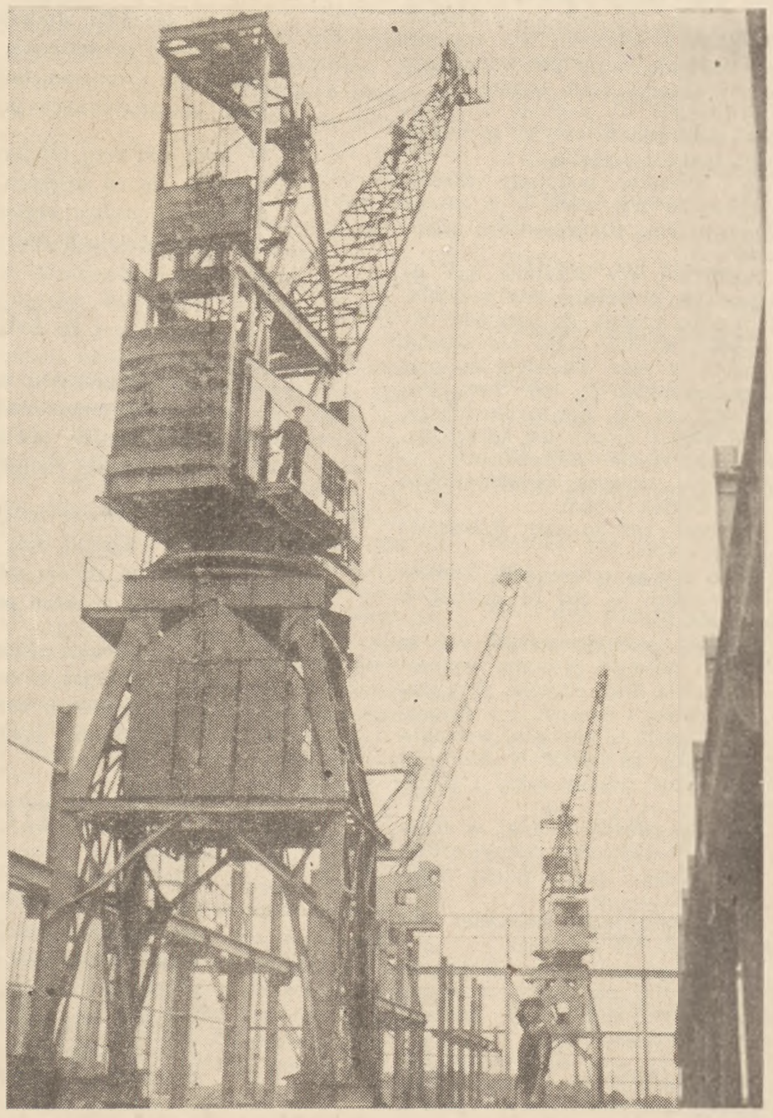
Jeszcze jej właściwie nie ma. Jeszcze nie produkuje. Pierwszy strumień nowo-hutnickiej stali z wielkich pieców martenowskich popłynie w pięćdziesiątym czwartym roku. Lecz już trzy lata kształci i wychowuje te, tak zwane „płynne kadry", jak dobre przedszkole zwycięskiego proletariatu. A płynne kadry stabilizują się tymczasem na innych budowach, w innych miastach.

Przedszkole socjalistycznej świadomości jest równocześnie szkołą socjalistycznej pracy. Niewykwalifikowani robotnicy Nowej Huty zdążyli przez te trzy lata wywieźć tyle ziemi, że pociąg naładowany nią byłby dwa razy dłuższy niż odległość z Krakowa do Moskwy. Pociąg naładowany samym tylko wywiezionym stąd piaskiem miałby lokomotywę w Pekinie wtedy kiedy jego ostatni wagon stałby jeszcze na krakowskim dworcu. Samych tylko planów Huty, przysłanych nam przez radzieckich ofiarodawców było 32 wagony... budynek wytwórni materiałów ogniotrwałych będzie mieć pół kilometra długości...

Tego rodzaju i coraz bardziej efektowne zestawienia można by mnożyć w nieskończoność. Ale po co? Wielka i wspaniała musi być ta huta, jeśli ma produkować stali więcej aniżeli wszystkie nasze przedwojenne huty razem wzięte.

Plany jej jak też i wielką ilość ciężkich, nowoczesnych maszyn, jak przeróżne transportery, spychacze i dźwigi, zawdzięczamy przyjaźni Związku Radzieckiego. Tej przyjaźni zawdzięczamy również pomoc radzieckich inżynierów, których około 700 przewinęło się już przez Nową Hutę. Wielu z nich to sławni specjaliści, mający już za sobą niejedną wielką budowę w kraju socjalizmu, jak na przykład główny konsultant Nowej Huty inż. Demiakow. Toteż ich doświadczona współpraca jest dla polskich inżynierów nieocenioną pomocą. Dzięki niej właśnie, tę wielką i wspaniałą budowlę mogą wznosić ręce robotników, spośród których 90 proc. stanowią do niedawna jeszcze chłopi a 70 proc. młodziaki.

Kombinat to olbrzym. Moloch pochłaniający każdą ilość rąk roboczych i każdą ilość materiałów. Toteż na terenach Nowej Huty powstają całe wielkie zakłady pracy, które umożliwiają wzrost kombi-



Dźwigi pracujące przy budowie Kombinatu Nowa Huta

natu. Pracuje już ogromna cegielnia w Zesławicach. produkują, budując się w dalszym ciągu, Zakłady Prefabrykatów Budowlanych w Łęgu.

Rozkisła, miękka droga z przewalającymi się ciężkimi falami błota przechodzi powoli w coraz gładszą szosę, z której spłynął już nadmiar wody do przydrożnych rowów. Niebo bieleje coraz bardziej. Powrót do Krakowa to równocześnie powrót do pogody. Już nad Łęgiem spoza obłoków przeziera nieśmiałe z początku słońce o świetle rozprószonym jak kropelki deszczu opadające z liści przydrożnej wierzby.

Łęg to przedmieście Krakowa i Nowej Huty. Osobna, jak gdyby nie połączona jeszcze z Hutą osada mieszkaniowa, osobny kombinat. Kiedyś będą tu fabryki wibrobetonów, zapraw, płynnych betonów i betonów strunowych, a także wielkie zakłady stolarskie — największy w Europie kombinat betonowy dla produkcji typowych hal fabrycznych.

— To znaczy?

— To znaczy, odpowiada mi szef produkcji Jan Walichnowski — to znaczy, że według ilustrowanego katalogu nabywca będzie mógł zamawiać u nas od razu całe, gotowe hale według wybranego wzoru. Części hali odpowiednio ponumerowane załadowywać będziemy na statki i wysyłać Wisłą na całą Polskę, a także i za granicę. Kiedyś będzie tu pracować 8 tysięcy ludzi.

Znajdujemy się w niedawno ukończonym, olbrzymim gmachu administracji. Wszystko tu jeszcze pachnie świeżością, lakierem, farbą, nie dość wyschniętym drzewem futryn. Przez okna widać budujące się i już wykończone hale fabryczne, tory kolejowe i skomplikowane stalowe ogrodzenia.

— Tu są hałdy kruszywa — mówi Walichnowski. — A po tych niby płotkach jeździć będą wózki.

Cała nowa dzielnica Nowej Huty. Oprowadza mnie po niej teraz towarzysz Bolesław Ibkowski. Mechanik-ślusarz, brygadzista. Zanim tu przybył, a raczej wrócił, bo pochodzi z Krakowa, pracował w różnych miastach, w wojskowych zakładach mechanicznych lotnictwa.

Brygadzista Bolesław Ibkowski ma lat 25, energię i zapał ludzi Nowej Huty, młodej, prężnej dzielnicy bardzo starego miasta. Ludzi, których dewiza „Dziś pracuj lepiej niż wczoraj" wyprowadziła z impasu Nową Hutę, jeszcze w zimie nie wypełniającą miesięcznych planów, a teraz wysuwającą się na pierwsze miejsce we współzawodnictwie ogólnokrajowym.

Ta dewiza, kiedy stała się zasadą obowiązującą na Hucie, przysporzyła kombinatowi pracowników spośród tysięcy młodych chłopców i dziewcząt, którzy przybywają tu ze wszystkich stron kraju. Bo taka wiadomość, dobra wiadomość, dociera szybciej niż depesza. Nowa Huta przekracza plany, Nowa Huta buduje się coraz prędzej, na Nowej Hucie już się produkuje. Na nowej Hucie można nauczyć się żyć piękniej i lepiej.

NOCNY KRAJOBRAZ

— Osiemdziesiąt!

— Niemożliwe!

— Osiemdziesiąt musicie dać i to już!

— Jutro. Jutro może dostaniecie. Dziś nie. Mamy awarię na kabezetach.

— A terminy wykonania?! A nasze październikowe zobowiązania. Musicie dać i koniec! Innym ujmiecie, a nam dacie. Ja stąd nie wyjdę! Nie wyjdę!, zanim nie usłyszę waszej dyspozycji o tym betonie. Nie ruszę się! Dziś musi być u nas trzecia zmiana. Będzie piękna noc.

O tej pięknej nocy inżynier Kura mówi bez wzruszenia, nie jak poeta, tylko jak zawzięty na pracę człowiek zaangażowany uczuciowo w sprawę. której broni. Na chwilę milknie głośny hałas tej swoistej giełdy, tego targu, zawziętej walki o beton. którego jest dziś mało, o wiele za mało. Podniesione, rozdrażnione głosy prawie kłócących się mężczyzn milkną, wszystkie twarze zwracają się w stronę szerokiego okna dispeczerni, przez które wchodzi do pokoju wieczorny, pogodny krajobraz ciemniejącego nieba, ciemniejącego nad Nową Hutą.

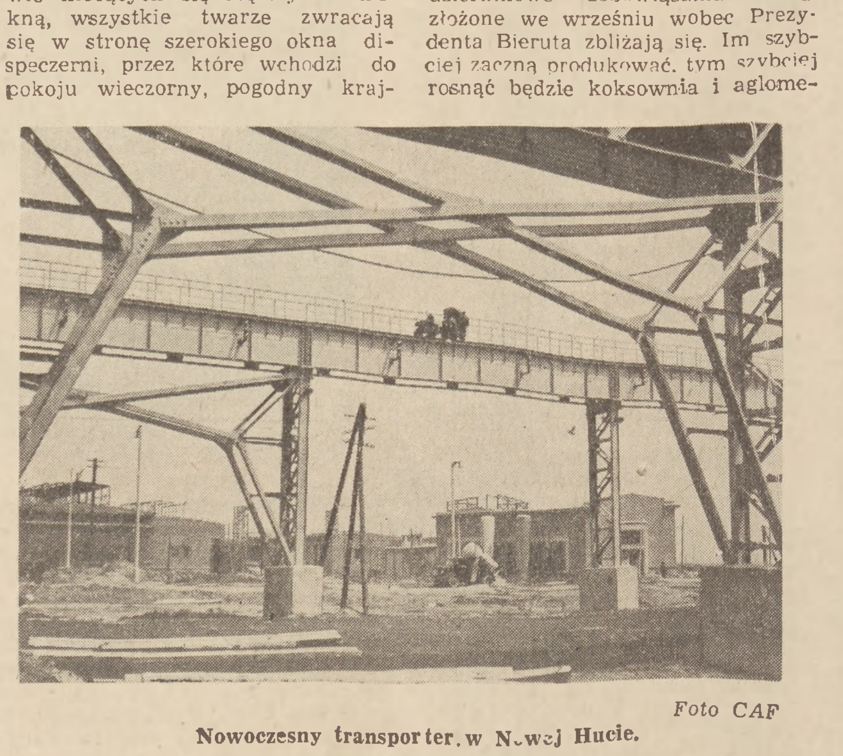


Foto CAF

Nowoczesny transporter w Nowej Hucie.

Mroczniejący horyzont przecinają wysokie latarnie betonowe z zaświeconymi lampami. Jest ta krótka, jedyna w ciągu doby chwila w której łamią się ze sobą dwa światła. Daleko za widnokręgiem wędrującego słońca i elektryczności — z początku nieważnej i prawie śmiesznej, potem zwyciężającej i dobroczynnej. Na torze pomiędzy kłębowiskiem żelaznych konstrukcyj i cegieł zasapała nieduża lokomotywa; gwizdnęła wypuszczając równocześnie kominem wysoki słup dymu. I wtedy okazało się. że jest już ciemno — ten biały dym i ten gwizd zbiegł się z nagłym zabłyśnięciem świateł w wykończonym już, widocznym z daleka pawilonie, jak przypadkowy sygnał. Ktoś przekręcił wyłącznik sankcjonując noc — szyby stały się czarne, jak okulary niewidomego.

— Więc dacie osiemdziesiąt — stanowczym tonem stwierdził inżynier Kura.

Ale nagle zadzwonił telefon, potem drugi i trzeci. Rozpoczęło się zwykłe w dispeczerni szaleństwo. Ktoś żądał wywrotek, ktoś inny ciężarówek. Dyżurny dispeczer przekładał tylko słuchawki z ucha do ucha, wykrzykując coraz to nowe polecenia. Prawie jednocześnie jakiś zirytowany głos zawiadamiał o awarii — gdzieś spychacz przerwał rurę wodociągową, woda bucha szerokim strumieniem i grozi zalaniem szosy Dyżurny dispeczer porozumiał się z pogotowiem awaryjnym. Hydraulicy już wyjechali.

— Nie ma ich, jeszcze ich nie ma. za chwilę woda zaleje drogę— w głosie wzywającego pomocy nie było już zniecierpliwienia, tylko tragizm.

— Uwaga hydraulicy, uwaga hydraulicy, uwaga hydraulicy Natychmiast zgłosić się na drogę numer 30 — wołał do mikrofonu dispeczer, dopędzając ekipę awaryjną na niewiadomym odcinku drogi. Dzwonki telefonów szalały Za inżynierem Kurą zatrzasnęły się drzwi gabinetu głównego dispeczera, inżyniera Domańskiego. Od czasu do czasu dochodziły stamtąd fragmenty rozmowy prowadzonej podniesionym głosem.

Na kombinacie większość dróg jest jeszcze w bardzo złym stanie. Po wczorajszym deszczu rozmiękła glina lepi się do gumowych butów. Niektóre wyasfaltowane już lub wyłożone kostką odcinki drog płyną żółtymi strumieniami rzadkiej, kleistej mazi. Z trudem wyciągam nogi z tego paskudztwa.

— Przecież tu był czarnoziem?

— A był. Ale powierzchnia zryta i poprzewracana mnóstwo razy zmieszała się, utonęła w gliniastym podglebiu. Te trudne drogi są klęską budowy. Samochody psują się — duży ich procent znajduje się w remizie. Idąc do betoniarni przypominam sobie moją pierwszą rozmowę z inżynierem Domańskim. Opowiadał mi, w jaki sposób Zarząd budowy walczy z błotem, ile wysiłku i pieniędzy potrzeba, aby wykopać potrzebną ilość rowów melioracyjnych i dołów odwadniających. Te doły muszą być tak głębokie, jak głęboko sięga groźna dla samochodów glina. Od dwóch do ośmiu metrów. Odkryte przez kopaczy piaszczyste dno dołu staje się naturalnym sitem, wchłaniającym nadmiar odprowadzanej z powierzchni wody.

Skąd wziąć ludzi do tej nadprogramowej, pomocniczej pracy, kiedy wciąż ich jest tu za mało. kiedy olbrzymi, rozrastający się i prześcigający sam siebie organizm kombinatu wchłania bez trudu każdą ilość zgłaszających się i delegowanych tu pracowników? Kiedy zarządy budów poszczególnych obiektów skarżą się na niemożność zorganizowania trzeciej zmiany? Oto jedna z poważnych trosk Dyrekcji.

Mijam dyszący gorączkową pracą ogromny rejon Warsztatów. Terminy, przyśpieszone przez październikowe zobowiązania załogi złożone we wrześniu wobec Prezydenta Bieruta zbliżają się. Im szybciej zaczną produkować, tym szybciej rosnąć będzie koksownia i aglomerownia, tym bardziej przyśpieszy się termin pierwszego wytopu stali.

A ten przybliża się coraz bardziej. Kronikarz wielkiej budowy nie może nadążyć za rzeczywistością. Entuzjazm i bezprzykładne poświęcenie ludzi Nowej Huty dezaktualizują nawet na wyrost pisane reportaże Z historycznego kalendarza budowy ubywa kartka po kartce. Inżynierowie, technicy i brygadziści stają się coraz bardziej wymagający, coraz bardziej nieustępliwi w żądaniach ludzi, sprzętu, cegieł, żelaza i betonu.

Betonu... Dzisiejszy dzień nie udał się betoniarzom. I oto na Kombinacie rozgrywa się walka o każdą tonę betonu. Jedni potrzebujący domagają się go groźnie i stawiają jawne żądania, inni, pominięci w ogólnym podziale, lub niedostatecznie zaspokojeni uciekają się nawet do podstępu, prawie intrygi.

Z inżynierem Kasickim, który będzie miał dzisiejszej nocy dyżur dispeczera wita się znajomy majster Jest grzeczny i miły. Jego nadskakująca uprzejmość budzi we mnie podejrzenie Czyżby rzeczywiście ludzie Nowej Huty po całym dniu nie lekkiej pracy nie mieli nic lepszego do roboty niż prawienie sobie komplementów? Sytuacja wyjaśnia się natychmiast. Chodzi o beton O dość dużą ilość betonu. Inż. Kasicki na dźwięk tego słowa przystaje zdumiony i oburzony.

— Nie ma mowy. Nie ma — odpowiada bezapelacyjnym tonem. — Choć trochę Choć trochę dajcie — zawodzi słodkim głosem barczysty mężczyzna patrząc inżynierowi w oczy przymilnie jak dziecko napierające się cukierka.

— Wykluczone. A właściwie... jaki wam potrzebny? Wysoki gatunek?

— Dziewięćdziesiątka.

— Dispeczer aż westchnął ze śmiechu nad tym nieporozumieniem. — Dziewięćdziesiątki możecie mieć ile chcecie. Regulusy są w porządku. Tylko kabezety nawaliły

— To przyśle pan zaraz?

— Zaraz.

Żegnają się mocnym uściskiem dłoni Majster ma teraz śmiejące się oczy i jasną twarz dobrego człowieka Gdzieś podział się chytry, obleśny uśmiech kusiciela i nieudolnego pochlebcy Niższych gatunków betonu jest dziś pod dostatkiem, wystarczy zadzwonić do dispeczera. lub zgłosić mu zamówienie tak jak teraz, spotkawszy się z nim na środku błotnistej drogi prowadzącej do betoniarni.

Twarze ludzi kończących pracę są szare; mają ostre rysy i wyraz zmęczenia. Wszyscy poruszają się w tempie zwolnionym, z podświadomą, charakterystyczną dla ludzi niewyspanych oszczędnością energii. Ale dyżurny dispeczer coraz częściej odbiera telefony; razem z napływającym do pokoju słońcem nadchodzi nowy, pracowity rytm roboczego dnia na Nowej Hucie.

— Panie inżynierze, znów dzwonią o beton!

— To dawać!

— I o nowych ludzi!

— Dziś obiecało swoją pomoc 150 żołnierzy. Już poszły po nich samochody.

— To wszystko za mało.

— Niedługo będzie więcej.

Inżynier Domański podsunął mówiącemu leżącą na stole Gazetę Krakowską z Apelem Zarządu Głównego ZMP do młodzieży o pionierski zaciąg do przemysłu metalowego i górnictwa:

„Chłopcy i dziewczęta,

Kto odważny i nie lęka się przeszkód,

komu drogi jest rozkwit Ojczyzny — na najważniejsze posterunki naszego budownictwa".

Więc wszyscy rzuciliśmy się czytać ten apel do młodych, którzy na pewno nie zawiodą.

Helena Wielowieyska

ALEKSANDER ZIEMNY

BALLADA O ŁZACH

Kierowcy Józefowi K. z dyrekcji kopalnictwa.

W ciemnej kabinie trzech nas marznie.
Ciasno. Drętwieją zgięte nogi.
Wolno się wlecze noc krawędzią
rozmokłej, podkarpackiej drogi.

Kierowca milczy od początku.
Pomocnik spojrzał nań z ukosa:
w grymasem zaciśniętych ustach
żarzy się resztka papierosa.

Pomocnik szeptem: ot, widzicie
chłop mocny, w pracy zadzierzysty.
A tu zmartwienie go od środka
żre na odcinku osobistym.

Ile to będzie? Chyba z tydzień,
(czas leci jak na czwartym biegu),
Rano dzwonili z autobazy
„Na ósmą gotów bądź, kolego".

Jemu niełatwo. Przez pół nocy
nie ruszył się od chorej żony.
Doktor przychodził: ciężka sprawa,
serce obozem wyniszczone.

Może przetrzyma czas najgorszy
kiedy termometr w górę skacze?—
W szybach czekali. Trzeba było
zawieźć materiał dla wiertaczy.

Jasne. Nie może być przestoju,
choćbyś dni pięć się tłukł w szoferce.
I tylko trudno w niepokoju
myśleć, czy bije tamto serce.

*

Dobrze jest wracać, niech tam nawet
bezsenność szumi, głową chwieje.
Lecz wieziesz raport: wykonane!
a z nim pieśń młodą i nadzieję.

A teraz, teraz — brak odwagi.
Pełzną ostatnie kilometry
Sklepienie lasu się przerzedza
i zwolna świt się budzi ciepły.

Już niedaleko. Tam za górką
dom dwuokienny patrzy w rzekę.
„Poprowadź, bracie, wóz przez chwilę
„oczy mnie jakoś bardziej pieką".

Jak na złość dłużą się sekundy,
gdy chce się całą prawdę wiedzieć.
...Okno otwarte W ciemnej głębi
punkt biały. Ktoś w fotelu siedzi.

Słabiutki uśmiech mówi: lepiej...
Brodą, ustami skurcz przebiega.
I płyną męskie łzy radości
których ukrywać nie potrzeba.

O, ciepło życia i oddechu!
Któż cenę twoją w głos wypowie!
Spełnił zadanie, zdobył w walce
prawo do płaczu twardy człowiek.

ANNA KAMIEŃSKA

W SPRAWIE PIEŚNI MASOWEJ*)

Przygotowując się do dzisiejszej dyskusji przeczytałam referat Michała Isakowskiego wygłoszony przez niego na zebraniu Związku Pisarzy Radzieckich w 1944 roku. Referat ten dzięki jasności, zwięzłości i precyzyjności wykładu stać się powinien, moim zdaniem, punktem wyjścia również dla naszej dyskusji. Przejąwszy podstawowe tezy Isakowskiego, możemy pchnąć naprzód dyskusję przenosząc ją na konkretne sprawy naszej pieśni masowej.

Sprzeciwiając się pewnym mniemaniom muzyków, Isakowski zdecydowanie twierdzi, że można mówić o problemach tekstu pieśni niezależnie od muzyki i — co dla nas w tej chwili najważniejsze — tekst pieśni może i powinien być oceniany jako normalny utwór poetycki. Zastanawiając się nad tajemnicą trwałości i nośności wielu pieśni Isakowski dochodzi do wniosku, że popularność swą zawdzięczają one temu, że zostały napisane do słów dobrego, sensownego i prawdziwie poetyckiego wiersza. Muzyka jest dla słów pieśni skrzydłem, ale słowa, ich humanistyczny charakter — stanowią o stopniu przeniknięcia pieśni w masy, o stopniu oddziaływania pieśni. Aby dyskusja nasza przyniosła jakieś konkretne rezultaty, musimy się zgodzić, że tekst pieśni musi mieć prawdziwe walory poetyckie, że tekst pieśni, którego nie wydrukowałoby żadne pismo literackie ze względu na niski poziom, nie będzie dobrą pieśnią i że dziwić się należy muzykowi, który decyduje się do złego tekstu pisać muzykę.

Zacytujmy Isakowskiego: „Każda pieśń — mam ciągle na myśli jej słowa — powinna mieć samodzielną wartość artystyczną, taką samą, jakiej wymagamy od dobrego wiersza. Pieśń powino się nie tylko z przyjemnością śpiewać, jeśli posiada już napisaną muzykę, ale przyjemnie po prostu przeczytać, jeśli nie ma muzyki".

W tym miejscu żachną się na pewno wszyscy tak zwani fachowcy — zwolennicy jakiejś odrębnej specyfiki utworu poetyckiego przeznaczonego do śpiewania.

Im to śpieszy wyjaśnić Isakowski, że istnieją pewne cechy charakterystyczne, którymi odznaczają się wszystkie dobre pieśni tj. słowa pieśni. Ale cechy te nie wychodzą poza granice zakreślone dobremu wierszowi. Istnieją niewątpliwie sprawy techniczne, korelacji muzyki z tekstem itd., sprawy akcentów, rymów, ale sądzę, że te sprawy techniczne powinniśmy w tej chwili wyłączyć z zakresu naszej dyskusji. Słusznym jest, aby na sekcji poezji mówić o pieśniach, jako o utworach poetyckich, które powinny się odznaczać wszystkimi walorami literackimi, a oprócz tego walorami pieśni. Te walory specyficzne pieśni dałoby się w kilku słowach streścić następująco:

Utwór poetycki przeznaczony do śpiewania powinien zawierać konkretną treść lub sytuację, o czymś opowiadać, a nie tylko rezonować. Powinien być zwarty, pozbawiony gadulstwa i tzw. waty poetyckiej, słowa powinny być celne i trafne. Pieśń powinna być pisana prostym językiem, pozbawionym napuszoności i mizdrzenia się, a poza tym błędów gramatycznych.

Isakowski wspomina o jednej jeszcze cesze pieśni, mówiąc o niej metaforycznie: słowa pieśni powinny płynąć swobodnie, spokojnie, bez potykania się języka, w pieśni powinno się czuć przestrzeń i powietrze.

Jeśli zgodzimy się, że tekst pieśni należy oceniać tak jak utwory poetyckie, jak wiersze — wolno nam będzie pod tym kątem spojrzeć na dorobek naszej pieśni masowej, spenetrować okiem krytyki zaułki naszych śpiewników.

Przed zebraniem dzisiejszym przeczytałam wiele tekstów pieśni. Zamierzając pisać artykuł o naszej pieśni masowej zgromadziłam całe stosy pieśni już drukowanych i tych, które rozpowszechnia i realizuje w swoich programach „Artos". Materiał to zapewne przypadkowy, ale przez swą obszerność na pewno dający wyobrażenie o stanie naszej pieśni masowej.

Otóż po przestudiowaniu kilkudziesięciu tekstów naszych pieśni doszłam do wniosku, że jeśli stan naszej poezji w ogóle nie jest zadowalający, to sytuacja pieśni jest wprost niepokojąca, jest zła. Niestety niewielu wybitnych pisarzy pisze teksty pieśni, a z drugiej strony kompozytorzy nasi mają tak minimalne wymagania, że biorą na warsztat i piszą muzykę do złych i słabych wierszy, nie zasługujących nie tylko na czytanie, ale tym bardziej na śpiewanie. Nie mają też tyle inwencji, ile mieli dawni kompozytorzy, którzy sami szukali sobie tekstów do pieśni, takich, jakie im odpowiadały. Nie pogrzebią w rocznikach pism, np. w zeszytach „Twórczości", nie zajrzą do wychodzących tomików poetyckich czy nie ma tam wierszy nadających się do muzyki. Grzechy są, myślę obustronne, oczywiście od strony poetów — większe.

Spróbuję w dalszym ciągu zanalizować niektóre charakterystyczne według mego mniemania, pieśni wydobyć ważniejsze błędy i schorzenia.

*) Głos w dyskusji na zebraniu sekcji poezji ZLP w Warszawie. Sprawozdanie z tej dyskusji zamieszczamy na str. 12-ej.

Na wstępie chcę się zastrzec, że mówiąc o wadach nie sądzę, aby wszystkie teksty były złe W materiałach, do których miałam dostęp, jest kilka dobrych i poprawnych tekstów Podoba mi się kilka piosenek Sadowskiego np. „Hanys i Barburka" i „Włókniarka" Edwarda Fiszera „Okręty idą w morze" i „Pochód przyjaźni", „Rybaczka" Rymkiewicza, „Skowronek" Jacka Bocheńskiego, „Pieśń górnicza" Dobrowolskiego, „Biały gołąb" Leona Pasternaka. Większość jednak tekstów uważam za wiersze zdecydowanie złe lub co najwyżej słabe, co postaram się wykazać.

W myśl wyrażanych wielekroć postulatów w dyskusjach sekcji poezji, aby dyskutujący operowali konkretami, podaję w całości utwór Karola Szpalskiego pt. „Piosenka":

Ach, nie myśl o mnie źle, jedyna.
Ach, nie myśl o mnie źle.
To przecież nie jest moja wina.
Że Ty nie jesteś ma jedyna —
Więc zrozum miła mnie.

Wszystkie podobne są do Ciebie,
Jak łza do drugiej łzy,
A gdy przytulę Cię do siebie —
Rzucam Cię zaraz... i sam nie wiem,
Czyś to Ty, czy nie Ty?

A potem druga, trzecia, setna,
Ot taki już mój los,
Czy zima, czy też pora letnia,
Czy wrzesień, czy początek kwietnia,
Ja nigdy nie mam dość.

I znowu dalej — byle więcej,
Najdroższa nie bądź zła.
I wciąż serdeczniej, wciąż goręcej,
Ja muszę dojść do stu tysięcy.
No, widzisz, pasja ma.

I tak przechodzą przez me dłonie,
Ach, nie smuć miła się.
I serce drży, pulsują skronie,
A każda z was z radości płonie,
Gdy tylko dotknie mnie...

Na ósmym piętrze murarz stał
Czerwoną cegłę w ręku miał
I do niej tę piosenkę słał.

Gdy czytałam ten utwór po raz pierwszy, byłam z początku przerażona, ale gdy doszłam wreszcie do ostatnich słów, uspokoiłam się całkowicie. Nie, to nie jest żadna propaganda rozwiązłości, ani lekceważący, ahumanistyczny i antysocjalistyczny stosunek do kobiety. Nie, to po prostu szmira z wydźwiękiem, ale jakież może być jej oddziaływanie? Co będzie, jeśli śpiewający nie dośpiewa do końca, lub słuchacz nie dosłucha, co będzie jeśli z mniejszą ekspresją odśpiewa pointę niż całą pieśń? Powie ktoś może, że pieśń ta jest parodią literacką, że jest to pieśń żartobliwa, dowcipna itd. Przyznam się, że nie widzę dowcipu w tej pieśni, a ta parodia szmiry niestety zbyt mi przypomina szmirę. Wśród piosenek naszych istnieje cały gatunek tej szmiry z wydźwiękiem, o tyle nawet interesujący, że przedstawia pewien tylko naszej piosence znany rodzaj zboczenia seksualnego. W przytoczonej piosence murarz uprawia miłość z cegłami. W piosence Jana Sendera pt. „Huta w Krakowie" poeta kocha się niedwuznacznie w „Nowej Hucie" i tak śpiewa nazywając ją swoją miłą:

Słuchaj miła, to będzie wspaniałe,
gdy świt jeden nas kiedyś obudzi;
moje serce zaniosę ci całe
i serc dużo zabierzesz od ludzi.
Nocą łuny rozsnujesz po niebie
tak czerwone, że księżyc zakryją,
i zadziwią się, patrząc na ciebie
nie uwierzą, żeś jest, a nie było.

Podobnie perwersyjna jest inna piosenka Sendera „Piosnka Warszawy", której refren cytuję:

Być z tobą, stolico, być twoją, Warszawo,
przeżywać twe smutki i wzloty,
Miast perfum oddychać murarską zaprawą
z wiór cieśli mieć papiloty.
Garściami z dna Wisły wciąż piasek donosić
i patrzeć, i patrzeć jak robią,
ty znasz mnie, Warszawo, więc nie daj się prosić
ja muszę, ja muszę być z tobą"

Są to oczywiste nonsensy.

Aby wyczerpać już rejestr zboczeń, mamy także charakterystyczny flirt z MDM w piosence Prutkowskiego: „umówiłem się z MDM". Wspomniałam tu o parodii w której autor się wyżywa, parodii tak charakterystycznej dla niektórych satyryków, parodii z przymrużeniem oka. Taką wydaje mi się piosenka Jurandota „Obywatelko-funkcjonariuszko", gdzie mamy charakterystyczny rym do dziewuszko-łóżko.

Antyalkoholowa piosenka Załuckiego „Taki już jestem" — jest wyraźnie piosenką obliczoną na charakterystyczne mrugnięcie, charakter tej piosenki jest wybitnie kabaretowy:

Ot — przychodzi kolega
I kolega nalega:
„Stasiu, skończył Trzeźwości s[illegible] Tydzie[illegible]
To okazja nie lada,
Więc przyjdź do mnie — powiada
Będzie Pipski i Gdybski i Zwidzień
Będzie gości dziś tłum,
Będzie wódzia i rum.
Cherry brandy najlepszej jakości,
Alkohole na stole,
A pod stołem na dole,
Dużo miejsca — powiada — dla gości"

Refren:

A ja nie,
A ja nie,
A ja nie.
Ja stanowczym wymawiam się gestem.
Nie pociąga to mnie,
Ani kusi to mnie.
Dziwne?... Może — lecz taki już jestem:
Dla mnie milsza jest woda i słoneczna pogoda,
Zapach siana i białe motyle...
A nad rzeczką zefirek — zsiadłe mleko, kefirek.
Albo głębsze kakao — i tyle...

Czy nie są to pieśni masowe? Są. Są to pieśni przeznaczone dla mas i mające stać się własnością mas. Szczęściem masy mają zdaje się lepszy gust i pieśni tych jeszcze nie śpiewają. Jeśli śpiewają — tym gorzej dla nas i dla mas.

Obok kilku udanych prób sięgnięcia do wzorów pieśni ludowej w tekstach Ficowskiego, Sadowskiego i Rymkiewicza, istnieje też szmira na ludowo, drugi — obok szmiry z wydźwiękiem — rodzaj schorzenia naszej pieśni. W udanych pieśniach sięgających do ludowości ludowość jest integralna, nie mechanicznie doczepiona, nie kokieteryjna, lecz wychodząca z ludowego spojrzenia na świat. Weźmy tekst nieznanego autora do muzyki Karasińskiego:

Tkalnia nasza jest na pierwszym piętrze,
A naprzeciw dom buduje Stach—
Ja spojrzenia ślę im najgorętsze
Piękny chłopiec mój i piękny gmach
Cały tydzień pracujemy weseli
Byle prędzej, byle lepiej szło —
Cały tydzień ulica nas rozdzieli
Lecz niedziela wynagradza to.

Refren:

A jak będzie słońce i pogoda, słońce i pogoda
W parku się spotkamy, wśród pachnących drzew — itd

Nie muszę chyba dłużej objaśniać na czym polega nie integralna lecz mechanicznie doczepiona ludowość tej piosenki.

Schematyzm, który jako uproszczone widzenie świata psuje nam naszą powieść i dramat, do poezji dostaje się otwartą bramą — poprzez pieśń. Tani sentymentalizm, płycizna uczuciowa i myślowa, hurra-optymizm i rymy „łóżko - dziewuszko" toczą tę gałąź naszej poezji.

Pieśń jest tym rodzajem poezji, w którym sytuacja i postać odgrywają dużą rolę, większą niż podmiot liryczny. Cóż postacie naszych piosenek odznaczają się niemożliwą papierowością. Jest ich zresztą bardzo mało: traktorzysta, żołnierz, konduktorka i murarz niemal wyczerpują ich rejestr. Przykład: piosenka Pastuszki „O murarzu zakochanym w Warszawie":

Jest murarz — przodownik pracy,
Dom stawia na Mariensztacie,
mam o nim więcej mówić?
Przecież go wszyscy znacie,
Wesoły — żadna dziewczyna
nie przejdzie obojętna,
Gdy murarz w takt piosenki
ku niebu wznosi piętra.

Piosenka liryczna, zwłaszcza pieśni o Warszawie przedstawia uproszczony, drobnomieszczański światek, zaułek, pokoik, pelargonie. Ciasnota światopoglądu autorów znajduje tu pełny wyraz. Nie ma w tych piosenkach patosu naszej walki, nie ma trudności życia, nie ma wiedzy o świecie.

Pieśń bojowa, polityczna cierpi zbyt często na nadmiar rezonerstwa, na frazeologię publicystyczną. Takiej pieśni nikt śpiewać nie zechce, taka pieśń nie oddziała i nie porwie.

Dobrowolski i Pasternak celują w pieśni szerokiej, patetycznej, leżącej w tradycjach naszej pieśni rewolucyjnej i może poezji Konopnickiej. Przypomnę „Pieśń górniczą" Dobrowolskiego:

„Jutro jest nasze. Dzień nam już świta
Wstają Zagłębia, dymią kominy,
Dzwoni młotami Rzeczpospolita.
Idzie robota. Grają maszyny.
Z węgla i stali, z marzeń i męstwa
Rośnie Ludowa, rośnie zwycięska..

Jest to przede wszystkim dobry wiersz i z pewnością warto go śpiewać. Natomiast absolutnie nie mogę się zgodzić z innym tekstem Dobrowolskiego, który mu się nie udał:

Spośród zgliszcz i gruzów wstał jak szczęścia świat
Świt jasnych tęsknot i w przyszłość idących lat.
Na próżno wróg niósł głód i śmierć,
Znów wzywa nas radosna pieśń.
Do szeregu!... do szeregu!...
Czas nam pracą wzmocnić - wolność i ład.
Hej, junacy — ej, chłopcy i dziewczęta,
Do roboty!... do roboty!...
Jedno hasło jak rozkaz pamiętaj!
Do roboty!... do roboty!...
Za młoty, hej, ojczyzny wolne dzieci, dzielne dzieci,
Do roboty! — serca w górę, myślą świecić!
Raz!... dwa!... do roboty!...
Czas brać kielnię w garść!

Nie dość, że w wierszu tym pełno jest młodopolskich zwrotów: cała postawa tego wiersza jest postawą nawołującego do roboty ekonoma, a nie postawą godną pojęcia socjalistycznej pracy. Takie jest moje przekonanie.

Myślę, że wiele pięknych wierszy Broniewskiego mogłoby się stać znakomitymi pieśniami masowymi. Mają one właśnie te wszystkie cechy, jakie w granicach poezji obowiązują tekst pieśni: prostota, celność, zwartość, sens artystyczny i ideowy.

Poeci nie piszcie tekstów pieśni, ale wiersze, które będą mogły stać się pieśniami i być śpiewane!

Muzycy, nie piszcie muzyki do złych, płytkich, banalnych i nudnych wierszy, bo szkoda waszego trudu! Pieśni powstałe z takiego mezaliansu nie będą nikomu potrzebne.

Anna Kamieńska

Widmo trzeciej wojny w USA

(Dokończenie ze str. 2-ej)

„wory ochronne" do wciągania przez głowę i zawiązywania u kostek, „przeciwatomowe parasole", broszurki, doradzające golenie psów i kotów, „żeby ich sierść nie stała się radioaktywna" i setki innych nieprawdopodobnych rzeczy. Trudno doprawdy powstrzymać uśmiech, kiedy się o tym czyta, ale z drugiej strony nie bardzo można się dziwić naiwnym i przelęknionym ludziom, którzy, wsłuchani w huczący dniem i nocą bęben katastroficznej propagandy, kupują zrozpaczeni piżamy oblepione cynfolią i „tarcze dla ochrony śledziony"... Ale nie wszystkie rady są takie bezsensowne. „Nie ma nic lepszego dla ochrony przed promieniami atomówki od białego płaszcza z kapturem KKK" (Ku-Klux-Klan) — stwierdza w „Science News Letters" dr Konrad J. Buettner, niemiecki uczony, pracujący w laboratoriach USAF (United States Air Force) w San Antonio, Texas. Uczony ten, specjalista od rakiet (pracował nad V2), został „importowany" z Europy — bo hitlerowcy to jedyny „towar", który wwozi się do Stanów w ramach „wymiany handlowej" z krajami paktu atlantyckiego....

Armia także interesuje się żywo atomami. Oto w czasie ostatnio przeprowadzonych „próbnych eksplozji" bomb atomowych w Nevadzie, w pewnej odległości od miejsca wybuchu umieszczono oddział żołnierzy, żeby się „przyzwyczajali". Każdy z nich musiał trzymać w garści kawałek płótna z kryształkami chlorku kobaltu. Im silniej żołnierzom ręce pociły się ze strachu, tym bardziej kryształki zmieniały barwę z niebieskiej na różową. Był to specjalny „test psychologiczny strachu". Żołnierze spocili się jak myszy, kobalt się zaczerwienił, uczeni zbledli. A sprawozdawca radiowy wołał wielkim głosem, że jest to „najpiękniejsza rzecz, jaką człowiek kiedykolwiek stworzył". Chodziło o *grzyb* eksplodującej bomby, przeznaczonej do masowego zabijania ludzi.

Na przełomie 1950 roku dużo hałasu narobiła „specjalna misja" senatora Kefauvera, który, zaopatrzony w „najwyższe pełnomocnictwa", jeździł po całych Stanach, żeby zbadać bujnie rozwijający się po wojnie gangsteryzm. Prasa nazywała podróż Kefauvera „wyprawą do „ganglandu" — kraju bandytów", przy czym na miano „ganglandu" zasłużyły wszystkie bez wyjątku stany. Jeszcze zwięźlejsze określenie wyników jego akcji brzmiało: „bandyci + politycy = korupcja". Kefauver stwierdził rzeczy przerażające. Sprawa dla pobieżnego choćby przedstawienia, wymagałaby sporo miejsca streszczę ją więc w kilku zdaniach Otóż poza objawami lokalnej konkurencji, poszczególne „gangi" różnych miast i okolic współpracują na obraz i podobieństwo wielkich karteli; nie darmo nazwał jeden z lewicowych socjologów amerykańskich zbrodnię „The most Private Bussines" — „najbardziej ze wszystkich prywatną inicjatywą" Dość powiedzieć, że „obroty" gangów w roku 1950 przekroczyły 2. (dwadzieścia) miliardów dolarów a więc prawie trzecią część państwowego budżetu Stanów! Rzecz zdaje się nie do wiary, a jednak jest czarno na białym wydrukowana w oryginalnym raporcie „Senate Crime Investigating Comittee" Zbrodnia została w Ameryce wcielona do życia społecznego, stała się jego częścią nieodłączną, wytworzył się dziwaczny i potworny zarazem *modus vivendi:* wielcy gangsterzy, jak Joe „Adonis", Polizzi, Guzik, Accardo, Costello, Daliti czy Erickson nie tylko przekupują stanowych urzędników administracji, policji i sądownictwa, wypłacając im regularne „pensje" za nieinterwencję w wypadkach zbrodni dokonanych przez bandytów „zorganizowanych" — (prześladować wolno policji tylko „dzikich", „kłusujących" na danym terenie rzezimieszków małego kalibru), ale jako „lojalni obywatele" (podkreślali to w swych zeznaniach przed komisją) składają zeznania podatkowe, w których źródła dochodu określają zależnie od lotności fantazji, a więc na przykład jako „samodzielne spekulacje", „prace specjalne", albo po prostu „różne".

W tymże czasie wprowadzono składanie deklaracji lojalności przez studentów, wstępujących do „college'ów" (uczelnia odpowiadająca naszemu liceum). Ale i dzieciom nie oszczędzono doświadczenia całego bogactwa przeżyć, jakie daje „wiek atomowy". Masowo sprzedawane i zalecane książeczki, traktujące o sposobach „przeżycia ataku atomowego", nakazują prowadzenie w szkołach podstawowych specjalnej „gimnastyki" polegającej na tym, że na dane hasło wszystkie dzieci padają na twarz z rękami zaciśniętymi wokół głowy. Niektórzy wychowawcy radzą stosować to ćwiczenie także wieczorem, nim dziecko pójdzie do łóżka...

Czy trzeba się wobec tego dziwić, że w ciągu 1949 roku w jednym sądzie Nowego Jorku odbyło się 41 spraw nieletnich, przytrzymanych za narkomanię? Dzieci liczyły od 11 do 18 lat, i dane odnoszą się tylko do jednego urzędu sądowego olbrzymiego miasta, w którym są takich urzędów dziesiątki. W roku 1950 liczba przytrzymanych młodocianych narkomanów wynosiła już w tym sądzie 151. Ile zaś dzieci od dziesięciu lat w górę zażywa narkotyki a nie zostało przytrzymanych przez policję? Specjalista z miejskiego urzędu zdrowia oświadczył, że, jego zdaniem — tysiące. Wśród sprzedawców narkotyków są nawet „specjaliści", którzy „nastawiają się" na dzieci i szantażem zmuszają je do okradania rodziców. Chłopcy, dorastając, stanowią doskonały materiał „poborowy", zasilający „gangi", dziewczęta zaś idą na ulicę. Bo jest wolność. Zupełna wolność „prywatnej inicjatywy".

Nie zadziwi nas także wydarzenie, które zaszło kilka miesięcy temu w tymże Nowym Jorku. Stanley Gordon, młody chłopiec, którego rodzice zostawili samego w mieszkaniu, wystawił przez okno na ulicę sporządzony przez siebie głośnik i zaczął mówić: „Uwaga! tu samochód dźwiękowy Obrony Cywilnej. Nieprzyjacielskie samoloty zbliżają się do miasta. Ogłaszam pełne zaciemnienie. Przygotujcie się na atak atomowy!" Te wykrzyczane przez okno słowa, które w każdym zwykłym mieście skwitowaliby przechodnie wzruszeniem ramion spowodowały niesłychaną panikę. Tysiące mieszkańców pobliskich domów wypadało w popłochu na ulicę, korkując wejścia do najbliższych stacji kolei podziemnej. Samochody gwałtownie hamowały. Oszaleli ze strachu ludzie wpadali pod koła. Trzeba było pomocy policji, żeby zaprowadzić spokój Chłopiec dostał miesiąc domu poprawczego — wydaje mi się jednak że karę winien był ponieść ktoś inny. I to nieporównanie cięższą.

Kapitaliści pragną wojny. Jest im potrzebna jak lekarstwo choremu, jak powietrze duszącemu się. Na frontach musi płynąć krew, żeby ich interesy kwitły. To prawda, że od wybuchu wojny koreańskiej ilość bezrobotnych zmalała (poszli do armii i pracują w fabrykach zbrojeniowych). Ale przez czas tej wojny Ameryka wysłała na front koreański ponad milion sto tysięcy litrów krwi do wytoczenia!

Dzisiejszy świat nie jest jednak prosty. Żeby to wojna przynosiła tylko zyski, żeby ginęli inni, żeby fronty były daleko — bardzo daleko! Kapitaliści wiedzą jednak, że nowa wojna światowa przyszłaby do nich. Że każdy cios zostałby skwitowany ciosem. Wiedzą o tym i boją się tego. A z drugiej strony czyha lęk inny: widmo kryzysu, nowego krachu gospodarczego. Między tymi dwoma biegunami strachu prowadzą swoją politykę kłamstwa i nienawiści.

W swej książce „Ape and Essence" Aldous Huxley pokazał Południową Kalifornię po trzeciej wojnie światowej. W prologu dwóch Einsteinów, prowadzonych na smyczach przez pawiany, przez naciśnięcie guzików wprawia w ruch mechanizm zagłady. Kiedy katastrofa się kończy, zostają przy życiu nędzne, zwyrodniałe szczątki ludzkości. Obrazy kultu Beliala, groteskowej karykatury chrystianizmu, władców — eunuchów, opalania piekarń książkami umarłej cywilizacji, radosnego śmiechu przy oglądaniu tortur, zadawanych dla rozkoszy torturowania, dzieci-potworków mordowanych dla wypełnienia obłędnego obrzędu, to wszystko przetacza się przed oczami czytelnika. Powieść narobiła w swoim czasie niemało hałasu, ale dopiero pewien nikomu nie znany, bo niefachowy krytyk, w czasopiśmie naukowym o małym (5.000) nakładzie stwierdził, że Huxley nie stworzył bynajmniej fikcji, ale spojrzał przez silnie powiększające szkło na d z i s i e j s z e s p o ł e c z e ń s t w o a m e r y k a ń s k i e.

„Patrzcie — pisał krytyk — przecież to jest dalej nasze Hollywood, dalej Wilshire Boulevard, które czytający rozpoznaje w postępującym rozkładzie. Huxley nie mówi o przyszłości — mówi o dniu dzisiejszym!" To prawda. Huxley napisał książkę o dzisiejszej Ameryce, pełną finezyjnie wyrażonej bezdennej pogardy dla tego społeczeństwa.

My widzimy więcej, niż samą powierzchnię wydarzeń. Poprzez ich kotłującą się żywą treść — raz tragiczną, raz groteskową, poprzez pasje, namiętności i trwogi dostrzegamy u dna zjawisk niewzruszone, obiektywne prawa rozwoju społecznego.

Takie same prawa powodują rozchylanie listków elektroskopu nad niewidzialną gołym okiem okruszyną radu — i wybuchy miliardów ton rozżarzonej materii w gwiazdach. Podobnie takie same prawa wpływają na czyny jednostki — i losy społeczeństw. Poznaliśmy te prawa, umieliśmy je opanować. Droga, na którą wstąpiliśmy, prowadzi w przyszłość. I jakiś historyk patrzący z odległości wieków na wieki dziewiętnasty i dwudziesty, tak kiedyś w swoim dziele oceni ów miniony, daleki dla niego czas:

Poznając prawa wszechświata człowiek odkrył zagadkę powstawania i przemijania społeczeństw. Pojął wtedy że może zdobyć wolność, wyższą niż ta, którą daje marzenie, lecz droga do niej prowadzi przez bolesne, gwałtowne przemiany.

Istniejąca formacja społeczna posiadała wszystkie surowce i bogactwa ziemi, całą moc maszyn, środki komunikacji, panowała w powietrzu, na lądach i oceanach, miała armie, wytresowane w bezwzględnym posłuchu, formowała charaktery wychowaniem, krnąbrne łamała prawem, rozpacz i niepokój uciszała religią, ogromnymi machinami państwowymi regulowała życie i śmierć.

Ludy, które sprzedawały swoją pracę, żeby żyć, nie miały niczego. Rozpoczęła się walka. Trwała dziesiątki lat.

W miarę, jak powiększała się powierzchnia wyswobodzonych kontynentów, stary świat walczył coraz okrutniej. Jego lekarze rozsiewali choroby, fizycy tworzyli trucizny promieniotwórcze, myśliciele wyjaśniali jego doskonałość, na przemian błagali, przekonywali i grozili. Świat ten przemawiał ustami kaznodziejów, filozofów, dowódców i poetów; ludom, wyrzekającym się w imię przyszłości ukazywał z dala złudę dostatku i przepychu. Kiedy to nie skutkowało, mordował pośpiesznie, jakby w obawie, że czasu mu nie starczy dla wypróbowania wszystkich możliwych narzędzi mordu. Wznosił fabryki, przetwarzające żywych ludzi w tłuszcz i popiół, wytężał pomysłowość, by przemienić bohaterstwo zwyciężonych w bezsens, gipsował usta skazańcom, na ich nagich ciałach wypalał obelgi, znieważając to, o co walczyli, zabijał nienarodzone dzieci, torturował, łudził, przekupywał. Wszystko daremnie.

Siła wyzwolonych krajów rosła. We własnych widział z przerażeniem, że idea wielkiej przemiany ogarnia coraz to innych ludzi; wtedy uderzał, lecz na miejsce straconych zjawiali się nowi.

Widząc, że nie ma dlań ratunku, zapragnął wytracić całą ludzkość. Byłoby to logicznym uwieńczeniem cywilizacji, której cały wysiłek twórczy zmierzał do unicestwiania największej ilości życia w najkrótszym czasie. Ogarniający ziemię płomień wybuchu miał stanowić pożegnalny gest odchodzących w nicość konkwistadorów wobec ślepej pustki wszechświata.

Było już jednak za późno. Ludzkość stała na progu ery komunizmu.

Stanisław Lem

List Miecia

Drogi Obywatelu Ministrze Oświaty

ponieważ Obywatel Minister jeszcze o mnie nie słyszał, wobec tego przedstawiam się; jestem Miecio, mam lat 10 i jestem gospodarzem klasy IV Szkoły Podstawowej, i mam do Obywatela Ministra następującą sprawę:

My, dziewczynki i chłopcy w wieku lat 10-11, uczymy się historii z podręcznika ob. ob. G. Missalowej i J. Schoenbrenner pt. „Historia Polski". Podręcznik jest bardzo gruby, ma prawie 400 stron i jest ładnie wydany; kosztuje też 9 zł 15 gr.. Tylko że my Obywatelu Ministrze nie bardzo wszystko z tego podręcznika rozumiemy. Na przykład jak jest napisane na stronie 233: „niektóre odłamy średniej burżuazji walcząc o zabezpieczenie rynku wewnętrznego". Albo: „Niemcy domagały się zgody na przeprowadzenie przez tzw. korytarz gdański autostrady", „Rząd zatait notę Hitlera", „Niemcy zerwały układ o nieagresji", „Rząd zawarł przymierze zaczepno-odporne (str. 296)... Te słowa Obywatelu Ministrze co są trudne, to ja je podkreślam.

Albo takie rzeczy, jeszcze trudniejsze Obywatelu Ministrze: „Kapitalizm przedmonopolistyczny", „Imperializm", „Ruch robotniczy w okresie imperializmu", „Rewolucyjne zmiany w gospodarce", „Utwierdzenie władzy ludowej w walce z reakcją". — To są Obywatelu Ministrze tytuły rozdziałów. Jakby ten pan z departamentu, co nam tę książkę polecił jako podręcznik miał 10 albo 11 lat i jakby sam chodził do szkoły, toby sam widział, że nie przesadzam.

Nasi rodzice Obywatelu Ministrze mówią, że w podręczniku są absolutnie słuszne rzeczy i bardzo słuszna treść i prawdziwa. Ale nasi rodzice też często nie umieją nam wszystkiego, co jest w tym podręczniku, wytłumaczyć, denerwują się i krzyczą „do diabła z takim podręcznikiem". „Taka rzecz (tzn. przepis nakazujący ten podręcznik, a nie sam podręcznik) to brakoróbstwo, a nie pedagogia i wychowanie dzieci". Jeden tatuś to mówi, że my, dzieci jesteśmy katarynki, bo „wykuwamy na pamięć" i potem to z nas płynie jakby korbką kręcić, a żadne dziecko nic nie rozumie. Jeden kolega, Obywatelu Ministrze, to ma brata na III roku Uniwersytetu. To ten brat powiedział, że on sobie musi koniecznie ten podręcznik kupić, bo jest naprawdę poważny. Że takich poważnych to nawet na Uniwersytecie się nie używa... My jesteśmy z tego powiedzenia, Obywatelu Ministrze, w naszej klasie IV dumni, chociaż nie wiemy właściwie dlaczego, bo my ani w ząb, a tylko na pamięć...

Już kończę Obywatelu Ministrze, bo mnie koledzy wołają na sanki. Nasza szkoła i inne szkoły już do Ministerstwa w tej sprawie pisały. Ale nie ma odpowiedzi. I ob. ob. wizytatorzy też nic... Wobec tego my dzieci postanowiłyśmy napisać i mamy taki projekt, do którego bardzo, bardzo prosimy, żeby się Obywatel Minister przychylił:

1. Żebyśmy w klasie IV nie musieli „kuć" historii w taki sposób, ale żeby w nim były takie ciekawe dla nas opowiadania o tym, jak żyli ludzie w dawnych czasach.

2. Żeby na przyszły rok podręczniki historii były takie, żeby choć mamusie i tatusie rozumieli i jak potrzeba wyjaśnili, co to są na przykład te „niektóre odłamy średniej burżuazji", „pakt zaczepno-odporny" i „imperializm w stadium kolonialnym".

Tymczasem więc to nam chodzi o to, żeby się z powodu tego obowiązującego teraz podręcznika nie sypały na nas dwóje, a mamusie i tatusie żeby nie denerwowały się w domu i nie mówili, że to takie trudne i jak to sobie to Ministerstwo wyobraża?

Bardzo, bardzo Obywatelowi Ministrowi dziękuję z góry za osobiste wniknięcie w tę sprawę i już kończę bo sanki.

Z poważaniem Miecio, gospodarz klasy IV oraz 100.000 dzieci z kl. IV Szkół Podstawowych, które z podręcznika tu wymienionego „kują" i obrywają dwóje.

Szanowny Obywatelu Ministrze!

Jako jeden z tatusiów gorąco popieram list Miecia. Moja córeczka Małgosia chodzi też do IV klasy Szkoły Podstawowej, uczyła się dotychczas na same piątki, ale z historii także zupełnie nie umie sobie poradzić. Tłumaczę jej wszystko jak umiem, ale to absolutnie nie załatwia sprawy. Już po pierwszym okresie szkolnym dziecko oświadczyło, że historii nie lubi, bo historia jest nudna. Bardzo mnie to boli, bo sam zawsze miałem z historii piątkę i przykro mi widzieć, że dziecko z powodu nieodpowiedniego podręcznika zniechęca się do dziejów ojczystych. Chciałem wzbudzić zainteresowanie córeczki do historii przez podsunięcie jej jakichś pogadanek, odpowiednich dla jej wieku. Pamiętam, że kiedy sam byłem dzieckiem, zapaliłem się do historii, czytając np. książkę Michaliny Mossoczowej pt. „Z dawnych czasów", która była zbiorem takich pogadanek. Z pewnością gdybym dziś dostał tę książkę do ręki przyznałbym, że jest przestarzała, nie naświetla zagadnień w sposób należyty. Za to była ciekawa. Ale czyżby naprawdę nasi historycy marksistowscy i pisarze dla młodzieży nie mogli opracować nowej, równie ciekawej i dostosowanej do poziomu naszych dzieci? Przecież to wstyd, żeby w 9 lat po wojnie dzieci nie miały z czego uczyć się historii ojczystej, nie miały książki, która by zapalała ich wyobraźnię, podając dzieje Polski w sposób i słuszny, i piękny, i przystępny.

Nieznawuj Giez

JERZY LENGREN

FRASZKI

Dwie fraszki napisał
Częstochowskim rymem,
Przy pół-czarnej mawiał:
— „My z Julkiem Tuwimem"...



*

Powieść napisała, lecz jak Telimena
W biurku ją schowała — bo nikt nie docenia,
Bo nikt nie docenia prawdziwej twórczości,
Wszędzie z polecenia i po znajomości.
Oto jest protekcji opłakany skutek:
Nie znamy powieści „Hrabina Podrzutek".



*

Publicysta pewien o sobie wciąż mawia,
Że swoje tematy wprost z życia wyławia;
A zaś publicysty znajomi figlarni
Mówią, że je łowi wprost z życia... kawiarni.



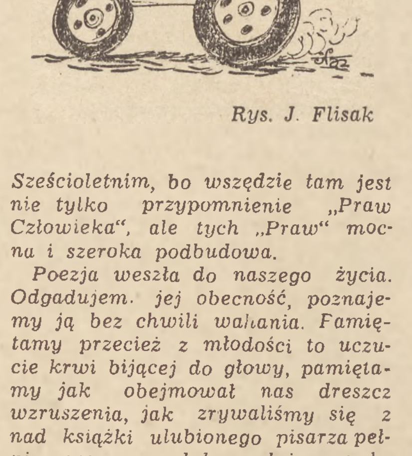
ANTONI SŁONIMSKI

Rozmowa z poetą

Cele, które przed narodem stawiała poezja nasza, były bardzo wzniosłe i bardzo mgliste. Wzywała poezja, abyśmy byli Chrystusem czy Mesjaszem narodów, a koncepcja „Króla Ducha" pokutowała przez wiele pokoleń. Nie oparł się tym mesjanizmom nawet geniusz Mickiewicza. Słowacki ideą „Króla Ducha" zaraził potomnych. Matejko uważał się za coś w rodzaju vice-króla Ducha. Romantyzm chciał zjadaczy chleba przerobić w aniołów. Pozytywizm warszawski wysunął koncepcję przerobienia aniołów w zjadaczy chleba.

Z wyżyn megalomanii narodowej popadaliśmy w przesadną nieraz skromność uznając „Rotę" Konopnickiej za program narodowy „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz"... to przecież niezbyt ambitne postawienie sprawy. Ten minimalny program narodowy ustąpił pieśni legionowej, która wyrzekała się z góry „wszelkich słów uznania" ze strony narodu, na co naród bezzwłocznie wyraził swą zgodę. Długo utrzymywała się bardzo nieładna piosenka wojskowa: „Jak to na wojence ładnie, kiedy ułan z konia spadnie Koledzy go nie żałują, jeszcze końmi potratują". (Nie chciałbym mieć takich kolegów!) Nawet nasz hymn narodowy, który wywodzi się z postępowych tradycji walk wyzwoleńczych został okaleczony przez reakcyjną cenzurę dwudziestolecia. Były przecież w tym hymnie strofy owiane niewygasłym jeszcze żarem rewolucji francuskiej. Legioniści polscy w Mediolanie śpiewali o racławickich kosach, o Kościuszce, śpiewali tę strofę, jakże wówczas aktualną politycznie: „Z ziemi włoskiej do polskiej, Przyjdź z Prawem Człowieka! Marsz, marsz Dąbrowski, Kraj na Ciebie czeka!"

O tę zagubioną strofkę dopominał się Wacław Berent, przypominał ją wojsku polskiemu Ksawery Pruszyński. I oto stała się rzecz osobliwa. Nie weszła ta zagubiona strofka do naszego hymnu narodowego, ale weszła do naszego życia. Jest ona w Programie Frontu Narodowego, jest ona w Konstytucji Polski Ludowej, jest ona w Planie



Rys. J. Flisak

Sześcioletnim, bo wszędzie tam jest nie tylko przypomnienie „Praw Człowieka", ale tych „Praw" mocna i szeroka podbudowa.

Poezja weszła do naszego życia. Odgadujemy jej obecność, poznajemy ją bez chwili wahania. Pamiętamy przecież z młodości to uczucie krwi bijącej do głowy, pamiętamy jak obejmował nas dreszcz wzruszenia, jak zrywaliśmy się znad książki ulubionego pisarza pełni rozpaczy lub pełni zapału Gdzież są dziś słowa tak nas porywające? Są te słowa. Znaleźć je możemy niemal co dzień na stronicach naszych pism.

Gdy czytamy o nowych olbrzymich budowlach socjalizmu, o budowie szkół, uniwersytetów, dróg, kolei, gdy czytamy o regulacji rzek polskich, gdy czytamy opisy odwiecznych pustyń azjatyckich zmienionych w kwitnące ogrody, gdy śledzimy, jak każdy rok, każdy miesiąc przybliża nas do socjalizmu, do pełnego wyzwolenia człowieka, czyż nie porywa nas wzruszenie pamiętne z lat młodości?

I oto jesteśmy świadkami osobliwej zmiany stanowisk. Programy polityczne i sprawozdania rządowe coraz pełniejsze są poezji, polotu i wyobraźni, a aktualna poezja coraz bardziej upodabnia się do komunikatów urzędowych.

Czyżby to znaczyć miało zmierzch poezji, odejście jej w stan spoczynku, gdy sprostać nie może zadaniom naszych wielkich czasów? Pytał mnie o to niedawno pewien młody poeta. Nie bez zazdrości mówił o starszych poetach mego pokolenia, którzy mogli walczyć słowem o świat nowy, podczas gdy dzisiaj młodzi stają się tylko kronikarzami wielkich przemian. Młody poeta nie miał racji. Walka trwa.

W tej samej gazecie, która porwie go i wzruszy wytyczonymi przed narodem polskim planami ogromnych przemian — znajdzie on wiadomości o amerykańskich pracach nad bombą wodorową, o hodowaniu bakterii zjadliwszych od wszystkich znajdujących się w naturze, o dozbrajaniu przez Amerykę hitlerowskich katów, znajdzie opisy gnębienia przez handlarzy niewolników ruchów wyzwoleńczych Azji i budzącej się Afryki. Znajdzie obraz ciemnych sił reakcji mobilizujących całą podłość świata przeciw wolnym ludom. I obok wzruszenia i radości z pozytywnych naszych osiągnięć zrodzi się inne uczucie, uczucie gniewu przeciw wszystkim, którzy zagrażają budowie socjalizmu, którzy zagrażają Polsce Ludowej.

Między tymi dwoma biegunami — dodatnim i ujemnym, leży magnetyczne pole poezji dzisiejszej. Poezja polska była zawsze patriotyczna. Ta tradycja narodowa dziś bardziej niźli kiedy, ożywiać winna wiersze po polsku pisane.

Antoni Słonimski

Z życia Z.L.P.

O PIEŚNI MASOWEJ

Dyskusja o problemach pieśni masowej była przedmiotem jednego z burzliwszych zebrań warszawskiej sekcji poezji.

Zagajenie dyskusji wygłosił Jerzy Ficowski. Jego ocena bieżącej produkcji pieśniowej wypadła na ogół negatywnie. Referent przytaczał przykłady tekstów schematycznych, deklaratywnych i noszących charakter szlagierów kabaretowych. Tezą podstawową referatu było stwierdzenie, że istnieje specyfika literacka tekstu pieśniowego i że wobec tego ocena tekstu pieśni wymaga specyficznych kryteriów. Referent podkreślił wielkie społeczne znaczenie pieśni oraz stwierdził, że poziom naszej pieśni jest coraz wyższy.

Wokół tej tezy rozwinęła się ożywiona dyskusja. Anna Kamieńska sprzeciwiając się założeniom Ficowskiego podkreśliła, że tekst pieśni może i powinien być oceniany jako zwykły utwór poetycki. Cechy specyficzne tekstu pieśni — zwartość, prostota, sensowność treści, prawda sytuacji i postaci—mieszczą się w granicach poezji. Kamieńska podkreśliła zwężenie światopoglądowe naszej pieśni, drobnomieszczański smak, schematyczność postaci i frazeologię polityczną.

Jan Spiewak w swoim przemówieniu wskazywał na niebezpieczeństwo wyolbrzymiania specjalizacji, mającego na celu izolowanie pieśni od krytyki. Śpiewak rozwinął następnie sprawy tradycji pieśni francuskiej, niemieckiej, rosyjskiej, i polskiej, wskazując na fakt, że były one tworzone przez najwybitniejszych poetów.

Stanisław Wygodzki twierdził, że przyczyną niepowodzeń naszej pieśni masowej jest fakt, że autorzy jej posiadają zbyt mało osobistej pasji politycznej, zbyt mało przekonania do spraw, o których piszą.

Podjął tę sprawę również Jerzy Putrament. Stwierdził on, że schematyzm zwalczany w prozie powieściowej szczególnie dotkliwie zaatakował naszą pieśń masową. Pieśni naszej brak elementów dramatyczności i walki, tak charakterystycznych dla naszego życia. „Pieśń masowa w naszym ustroju, przy naszym pojmowaniu zadań pisarza wobec społeczeństwa, to najwyższa ranga twórczości artystycznej" — mówił Putrament w związku ze sprawą szerokiego zasięgu oddziaływania pieśni. Zarzuty Putramenta dotyczyły również muzyków, którzy piszą niekiedy muzykę do tandetnych tekstów, nie próbując poszukać tekstów dobrych w tomach naszych najwybitniejszych poetów.

Zdaniem Arnolda Słuckiego najlepsze wiersze, najlepsze osiągnięcia prostoty poetyckiej powinny się stać masowymi pieśniami. Teksty pieśni jako utwory poetyckie nie mogą być pozbawione, jak to często u nas bywa, wartości poznawczych.

Wśród rozważań przypominających piękno i sławę radzieckich pieśni masowych zabrała głos muzykolog Bekierowa. Przyznała, że istotnie niedobrze się dzieje w naszym pieśniarstwie, ale przecież i w Związku Radzieckim nie od razu stworzono tych kilkadziesiąt arcydzieł, którymi się teraz zachwycamy i które śpiewa cały świat. Wyłoniły się one spośród innych nie zawsze słusznych i dobrych. Bekierowa stanęła na stanowisku, że specyfika pieśni nie pozwala stosować wobec tekstów takich kryteriów, jakie stosuje się wobec poezji. Wielu dyskutantów ganiło brak współpracy między poetami i kompozytorami i podkreślało jej ogromne znaczenie.

Ze strony kompozytorów przemówił Alfred Gradstein. Dyskutantom twierdzącym, że dobry wiersz, to dobra pieśń, zwrócił on uwagę na specyfikę poetycką pieśni masowej różniącej się zasadniczo od estradowej, gdzie rzeczywiście tekstem może być po prostu dobry wiersz. St. Ryszard Dobrowolski mówił o specyfice warsztatowej pieśni twierdząc, że nie wolno odcinać pieśni od poezji. Nawiązując do konkretnych spraw oceny tekstów pieśni Dobrowolski jest zwolennikiem stopniowego zaostrzania kryteriów.

Szeroko była dyskutowana działalność delegatów ZLP na przesłuchaniach „Czytelnika". Grzegorz Lasota zalecał ściśle polityczne kryteria oceny, które by niszczyły wrogie ideologicznie szlagiery, a wyróżniały pieśni posiadające walory ideowe.

Prócz osób wymienionych głos w dyskusji zabierali: Gaworski, Gołębiowski, Grygolunas, Hordyński, Zofia Meissner, Pasternak, Pollak, oraz kompozytor Olearczyk.

DZIAŁALNOŚĆ WARSZAWSKIEGO KOŁA MŁODYCH

29 listopada br. odbyło się doroczne sprawozdawczo-wyborcze zebranie Warszawskiego Koła Młodych Literatów. Referat sprawozdawczy ustępującego zarządu omówił pracę członków Koła (liczącego 22 członków).

W ubiegłym roku Koło zorganizowało 22 zebrania, które w większości poświęcone były omówieniu nowych utworów członków Koła. Literaci starszego pokolenia wygłosili dla Koła Młodych kilka prelekcji, i tak np. J. Andrzejewski — mówił o zagadnieniach warsztatu pisarskiego, Antoni Słonimski — o literaturze zachodniej. Odbyło się także kilkanaście wieczorów autorskich członków Koła — na terenie warszawskich zakładów pracy i szkół.

W wyniku wyborów do nowego Zarządu Warszawskiego Koła Młodych weszli: Józef Rurawski — przewodniczący, Tadeusz Jaszczyk — sekretarz, Józef Lenart i Mirosław Szypowski — członkowie Zarządu.

Na następnym zebraniu omówiony będzie plan pracy na rok 1953. (t)

POZNAŃSKIE CZWARTKI LITERACKIE

Czwartki oddziału ZLP w Poznaniu to reprezentacyjna impreza literacka Wielkopolski. Tradycja ich wiąże się z zasłużoną postacią prof. Heliodora Święcickiego, współzałożyciela i pierwszego rektora Uniwersytetu Poznańskiego, który w r. 1898 zapoczątkował regularne odczyty czwartkowe, pomyślane jako zalążek przyszłej polskiej uczelni. Z czasem czwartki utraciły charakter popularyzatorsko-naukowy i stały się domeną literatów. Prezentując zrazu wyłącznie sylwetki pisarzy, poszerzyły następnie swój program o ogólniejszą problematykę literacką i naukę o literaturze.

Tegoroczny (powakacyjny) program czwartków, obejmował głównie spotkania literatów z czytelnikami Pierwszym czwartkiem był wieczór autorski Jarosława Iwaszkiewicza. Gośćmi „czwartków" byli poza tym Julian Stryjkowski, Wojciech Żukrowski, Stanisław Wygodzki i Franciszek Fenikowski.

W imprezach czwartkowych brali udział również pisarze miejscowi: B. Kogut, E. Paukszta, E. Herbert i St. Łukasiewicz. (pim)

Z PRACY SEKCJI DRAMATU W POZNANIU

Sekcja Dramatu w Poznaniu rozpoczęła swą działalność konferencją organizacyjną w dn. 19. XI. 52. Zaplanowane są trzy rodzaje posiedzeń: dyskusje nad twórczością własną, referaty z zakresu wiedzy o teatrze i wreszcie omówienia bieżącego repertuaru teatrów poznańskich. W działalności swej sekcja współpracuje ściśle z miejscowym ośrodkiem SPATIF-u, uczestnicząc również w niedzielnych konferencjach i dyskusjach aktorskich w Państw. Teatrze Polskim w Poznaniu.

Na program najbliższych posiedzeń roboczych zespołu złożą się: referat dr L. Eustachiewicza z UP pt. „Dramat europejski 1890—1914", dyskusja nad przekładem komedii „Kandydat" G. Flauberta w opracowaniu St. Hebanowskiego, prelekcja E. Naganowskiego o warunkach literackich słuchowiska radiowego i analiza warsztatowa sztuki J. Morawskiej pt. „Żelazny Pierścionek".

W skład Sekcji Dramatu ZLP w Poznaniu wchodzą: J. Brudkiewicz, J. Czyński, S. Hebanowski, K. Iłłakowiczówna, Z. Kawecki, J. Koller, T. Kraszewski, W. Maciejewski, J. Morawska, L. Prorok i M. J. Sypniewska. Kierownikiem Sekcji jest T. Kraszewski. (pim)

WIECZÓR POŚWIĘCONY PAMIĘCI JÓZSEFA ATILLI

Staraniem Związku Literatów Polskich i Węgierskiego Instytutu Kultury w Warszawie w sali konferencyjnej Domu Literatury (Krakowskie Przedmieście 87-89) odbył się w dniu 8 bm. wieczór literacki poświęcony 15-ej Rocznicy śmierci poety węgierskiej klasy robotniczej, Jozsef'a Atilli. Na program złożyły się: prelekcja Izabelli Czermakowej, oraz występ znakomitej pianistki Barbary Hesse-Bukowskiej. Wiersze Atilli recytowali studenci Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej kol. kol. Gogolewski i Kłosowski oraz stypendystka węgierska SGGW Margit Vörös.

Wśród licznych gości na wieczór przybyli: Poseł Węgierskiej Republiki Ludowej, Minister Pełnomocny Lajos Drahos, Przewodniczący Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju Jarosław Iwaszkiewicz, przedstawiciele ZG ZLP: Lucjan Rudnicki, Janina Broniewska, Seweryn Pollak, oraz licznie zaproszeni literaci. (bzp)

ZAWIESZENIE DZIAŁALNOŚCI CENTRALNEJ PORADNI LITERACKIEJ

Zarząd Główny Związku Literatów Polskich podaje do wiadomości, że działalność Centralnej Poradni Literackiej została zawieszona aż do odwołania.

Wobec powyższego prosimy zainteresowanych o nienadsyłanie prac pod jej adresem.

Nowe formy poradnictwa dla młodych talentów literackich są w stadium opracowywania. W niedługim czasie ukaże się w tej sprawie osobne zawiadomienie.

O MATERIAŁY DOTYCZĄCE KOLBERGA

W związku z przygotowaniem do druku pełnego wydania listów Oskara Kolberga, Polskie Towarzystwo Ludoznawcze prosi wszystkie osoby i instytucje, posiadające jakąkolwiek korespondencję związaną z życiem lub działalnością Kolberga, o przesyłanie odnośnych informacji na adres: Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Poznań, Fredry 10.

Zebrane listy zostaną opublikowane w odrębnym tomie, który będzie wydany jako pierwszy tom reedycji dzieł Kolberga.

KONKURS NA FILM RYSUNKOWY

W związku z konkursem na opracowanie projektu scenariusza filmu rysunkowego, ogłoszonego przez Centr. Zarząd Wytw. Film. z terminem do 15.I 53 r. *Zarząd Główny PCK* wyznacza *dodatkowe nagrody* za najlepsze z tych filmów, o tematyce CZYSTOŚCI I HIGIENY.

I nagroda — 1 500 zł.
II „ — 1 000 zł.
III „ — 500 zł.

Prace konkursowe należy składać w CZWF Warszawa, ul. Puławska 61, Biuro Scenariuszów.

PRZEGLĄD PRASY ZAGRANICZNEJ

NIEZADOWOLONY SALACROU

W tym czasie kiedy dyskutuje się u nas o kryzysie dramaturgii i tzw. „ucieczce" pisarzy od tematyki współczesnej, ciekawym będzie przytoczenie zdania Armanda Salacrou, jednego z najwybitniejszych dramaturgów francuskich, o podobnym zjawisku dającym się zaobserwować (jego zdaniem) we Francji.

„Jest wojna w Korei, wojna w Indochinach, komunizm, rasizm, kolabracja... Otóż chodzi o to, że problemów tych nie spotykamy w teatrze. Nasz teatr jest teatrem łatwej ucieczki, która nie atakuje wielkich problemów. Ma się wrażenie, że nasz teatr nie jest teatrem współczesnym". (Salacrou zwraca uwagę na jeden tylko wyjątek od reguły „nie dotykania wielkich problemów współczesności" — sztukę „Pułkownik Foster przyznaje się do winy" i wyraża żal, że Vailland nie otrzymał nagrody Goncourtów.[1])

W dalszym ciągu cytowanej tu wypowiedzi, Salacrou porusza zagadnienie obniżenia poziomu współczesnej powieści francuskiej, obniżenia wymagań selekcji nawet wśród cieszących się dotąd dobrą opinią wydawców — stąd zalew powieściowej szmiry: „Czytałem w tym roku 150 powieści. Otworzyłem je wszystkie. Skończyłem zaledwie kilka. Jestem przygnębiony tym faktem.. Między tymi 150 powieściami było co najmniej 65 takich, które wprawiły mnie we wściekłość: dlaczego do diabła publikuje się takie świństwo. Przypominają mi się słowa Brianda, który zapytany dlaczego nie pisze pamiętników — odpowiedział: Aby napisać książkę potrzeba dużo papieru, aby był papier trzeba ściąć drzewo. Bardziej kocham drzewo niż książkę". (kos)

[1]) Salacrou jest członkiem jury Nagrody Goncourtów.

GDY POLICJA POŚREDNICZY W HANDLU DZIEŁAMI SZTUKI...

Cała prasa francuska od dłuższego czasu świetnie zabawia publikę żądną sensacji podawaniem dosadnych szczegółów tyczących nowej (policyjnej) metody handlu dziełami sztuki.

Kilka miesięcy temu z zamku będącego własnością księcia de Lyunes skradzione zostały: obraz pędzla Rafaela „Anioł" oraz obraz Rubensa „Dzieciątko Jezus". Śledztwo w sprawie kradzieży zostało powierzone przez księcia Urzędowi Bezpieczeństwa (Surete Nationale). Przez długie tygodnie nic nie wykryto.

Dopiero w ub. miesiącu książę otrzymał telefon od wysokiego urzędnika policyjnego, z-cy dyrektora oddziału śledczego — Ballyot'a. Rozmowa telefoniczna (wg „France Soir") brzmiała mniej więcej tak: DOSTOJNIK POLICYJNY: — Spieszę zawiadomić księcia o wielkim sukcesie naszego dochodzenia w sprawie kradzieży obrazów. Obrazy są właściwie odzyskane. KSIĄŻĘ: — Kiedy się mogę po nie zgłosić? DOSTOJNIK POLICYJNY: — Chociażby zaraz. Ale, ale — zapomniałem księciu zaznaczyć, aby nie zjawiał się z pustymi rękami. Koszt odzyskania obrazów, które jak sam książę mówił, mają wartość 40 milionów franków — wynosi, cóż, to dla księcia drobiazg — zaledwie jeden milion. Ten milion wręczymy donosicielowi, znającemu miejsce ukrycia obrazów.

Ponieważ książę był skąpy, a przy tym dość krewki, zaczął interweniować, dopytywać się z jakiej racji ma płacić policji. Najpierw interweniował u prefekta Surete Nationale — Prefekt nie uznał za stosowne uznać pretensji księcia. Przyszła wówczas kolej na odwołanie się o protekcję samego premiera. Ten musiał wyjaśnić sprawę, bo prasa narobiła już wielkiego hałasu. I wówczas okazało się, że najwyższe władze policji (węsząc prawdopodobnie suty zarobek) weszły w porozumienie ze złodziejami i wzięły na siebie trud pośrednictwa w dość dziwnym handlu obrazami z ich — właścicielem.

Rezultat awantury skrupił się oczywiście na złodziejach. Zostali aresztowani. A z-ca dyrektora oddziału śledczego został tylko „czasowo zawieszony w czynnościach służbowych".

REWELACJE Z „WIADOMOŚCI NAUKOWCA ATOMOWEGO"

Znany matematyk angielski zajmujący się ostatnio statystycznymi badaniami nad zagadnieniem kosztu zabicia jednostki ludzkiej na przestrzeni historii różnych wojen, opublikował w poważnym wydawnictwie naukowym angielskim pt. „Wiadomości Naukowca Atomowego" artykuł, w którym dowodzi, że „bomba atomowa może zabić człowieka *śmiesznie tanim* kosztem" jednego funta szterlinga. W czasie drugiej wojny światowej koszt zabicia jednostki ludzkiej dochodził do wysokości kilku tysięcy funtów — dowodzi Hoyle — co stanowczo było *nieekonomiczne*. Natomiast jedna bomba atomowa, kosztująca stosunkowo niewiele funtów szterlingów, może pozbawić życia ok. 25 tysięcy istnień ludzkich. (Kos)

PISARZ I REŻYSER W USA

Tygodnik amerykański „Saturday Review" zamieszcza obszerny artykuł, z którego można dowiedzieć się ciekawych szczegółów o polityce, stosowanej wobec literatów i filmowców w Stanach Zjednoczonych:

...„New York Times" pisze o spadku wypowiedzi na tematy socjalne ze strony studentów wyższych uczelni. Powodem tego jest strach przed posądzeniem o „czerwoność"...

...Scenarzyści radiowi i telewizyjni, tak jak i pisarze, zagrożeni są ruiną w swym zawodzie, w wypadku gdy nazwisko ich ukaże się na cotygodniowej „czarnej liście". Lista ta obejmuje niepożądane organizacje polityczne lub społeczne, do których autorzy mogliby należeć, lub którym mogliby użyczyć swego imienia...

W Hollywood pewien producent filmowy śmieje się: „ustąpię chyba ze wszystkich organizacji. Nawet z Klubu Automobilowego". Za śmiechem tym kryje się strach przed zdradzeniem się z czymś, co mogłoby go wyeliminować w tym okresie Nowego Purytanizmu...

Reżyser filmu „Najlepsze lata naszego życia" przyznaje: „Bałbym się dziś takiego filmu. Był on wprawdzie uznany za najlepszy film w roku jego wyprodukowania i przyniósł największy dochód. Popularność jego była olbrzymia. Dziś jednak uznano by go za „komunistyczny"...

Ofiarą epidemii strachu stał się nawet Graham Greene, znany brytyjski pisarz katolicki. W drodze do Stanów na konferencję z producentami filmowymi adaptującymi jego dzieła, został on zatrzymany i poddany czterotygodniowemu śledztwu w związku z faktem, iż należał on też przez cztery tygodnie do Komunistycznej Partii.. trzydzieści lat temu"... jg

„POWRÓT" PANA DIELSA

W miarę rozbudowywania paktu atlantyckiego rośnie liczba faszystów przywracanych do łask. Jednemu z nich poświęca artykuł wstępny wychodząca w Monachium „Deutsche Woche". Mowa o pierwszym szefie Gestapo, dr Rudolfie Dielsie, który w porozumieniu z czynnikami rządowymi w Bonn i amerykańskim wysokim komisarzem, ma w najbliższej przyszłości zająć wysokie stanowisko w rządowym aparacie wywiadowczym zachodnich Niemiec.

Dr Diels — pisze „Deutsche Woche" został w lutym 1933 powołany dla stworzenia pruskiej tajnej policji, którym to urzędem kierował przez lat kilka. Na okres rządów Dielsa przypadają pierwsze potworne gwałty reżimu narodowo - socjalistycznego oraz pierwsze morderstwa polityczne na wielką skalę. Diels zdobył sobie wielkie uznanie swego przełożonego Goeringa za to, że przez stosowanie najbrutalniejszych metod potrafił obezwładnić niemiecką lewicę. Jakkolwiek terror stosowany przez Dielsa nie da się porównać z tak zwanymi akcjami masowymi Himmlera, których widownią były obozy w Mathausen i Oświęcimiu, konto jego obciążają tysiące zmasakrowanych i pomordowanych. Dr Diels ponosi pełną odpowiedzialność za znęcanie się i morderstwa w piwnicach berlińskiego Gestapo, za wprowadzenie różnych typów przesłuchań, poczynając od pierwszego stopnia, kończąc na stopniu piątym. Dr Diels jest tym, który wynalazł osławiony termin „zastrzelenie w czasie próby ucieczki", dr Diels był równocześnie tym, który przemycał za granicę majątki żydowskie. Obecnie pan Diels, wykorzystując to, że jego gestapowska kariera nie trwała zbyt długo, przedstawia się wszędzie jako ofiara „humanitarnych metod policyjnych". Niedawno nawet ogłosił książkę „Lucyfer ante portas", w której Lucyferem jest oczywiście Adolf Hitler (warto zaznaczyć, że po przejęciu Gestapo przez Himmlera, Diels objął z rozkazu Hitlera wysokie stanowisko administracyjne w Kolonii).

Cytowane pismo monachijskie mówi w dalszym ciągu o tym, że po klęsce narodowego socjalizmu Diels, tak samo jak jego późniejszy kolega Kaltenbrunner, miał stanąć przed Trybunałem Norymberskim. Ale miał szczęście. Panem doktorem zajął się oskarżyciel amerykański, prof. Robert Kempner, któremu kiedyś Diels, jako szef Gestapo, dopomógł do opuszczenia Niemiec. Pod opiekuńczymi skrzydłami wysokiego protektora Diels żył sobie po zakończeniu wojny „jak u Pana Boga za piecem". Pod Norymbergą nabył kawałek ziemi, zajął się hodowlą kwiatów i handlem paczkami amerykańskimi, podczas gdy jego ofiary pozostawały bez dachu nad głową i głodowały. Nie koniec na tym. Władze okupacyjne przypomniały sobie, że dr Diels był „fachowcem" w zwalczaniu komunizmu. Został więc na początku tak zwanym rzeczoznawcą, a po ogłoszeniu książki „Lucyfer ante portas", w której w rozczulający sposób opowiada jak to po zamachu na Hitlera w lipcu 1944 cudem nie został rozstrzelany. Jakim to był demokratą, i jak bardzo sprzyjał ruchowi oporu, obejmie teraz u Adenauera taką samą posadę, jaką mu kiedyś ofiarował jego możny protektor Herman Goering. (fr.)

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa, ul. Żurawia 32 I p Tel 7 36 23 Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska 12 tel 7 52 50. Wydaje RSW „Prasa"

Prenumerata i kolportaż: P. P. K. „Ruch". Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804 20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 4—, kwartalnie zł 12 —, półrocznie zł 24.—, rocznie zł 48.—. Wpłaty na prenumeratę indywidualną przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa" Warszawa, Poznańska 38, konto PKO I 5589/111, tel. 7 38 05

Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca

Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa", Warszawa, Marszałkowska 3/5.

3-B-17456